cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 11 987 indeks 211060 #175 12/2020

Agnieszka Kowalczyk
MAGIA HOLLYWOOD. CHAPLIN I INNI

Piotr Lisiewicz
STEFAN LOTH, CZYLI JAK KMICIC BOLSZEWIKÓW PODCHODZIŁ

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

PRAWDA WAS WYZWOLI

Jan Paweł II był pierwszym papieżem, który zmierzył się ze zjawiskiem pedofilii w Kościele katolickim, i pierwszym, który zaostrzył prawodawstwo kościelne w tej kwestii.

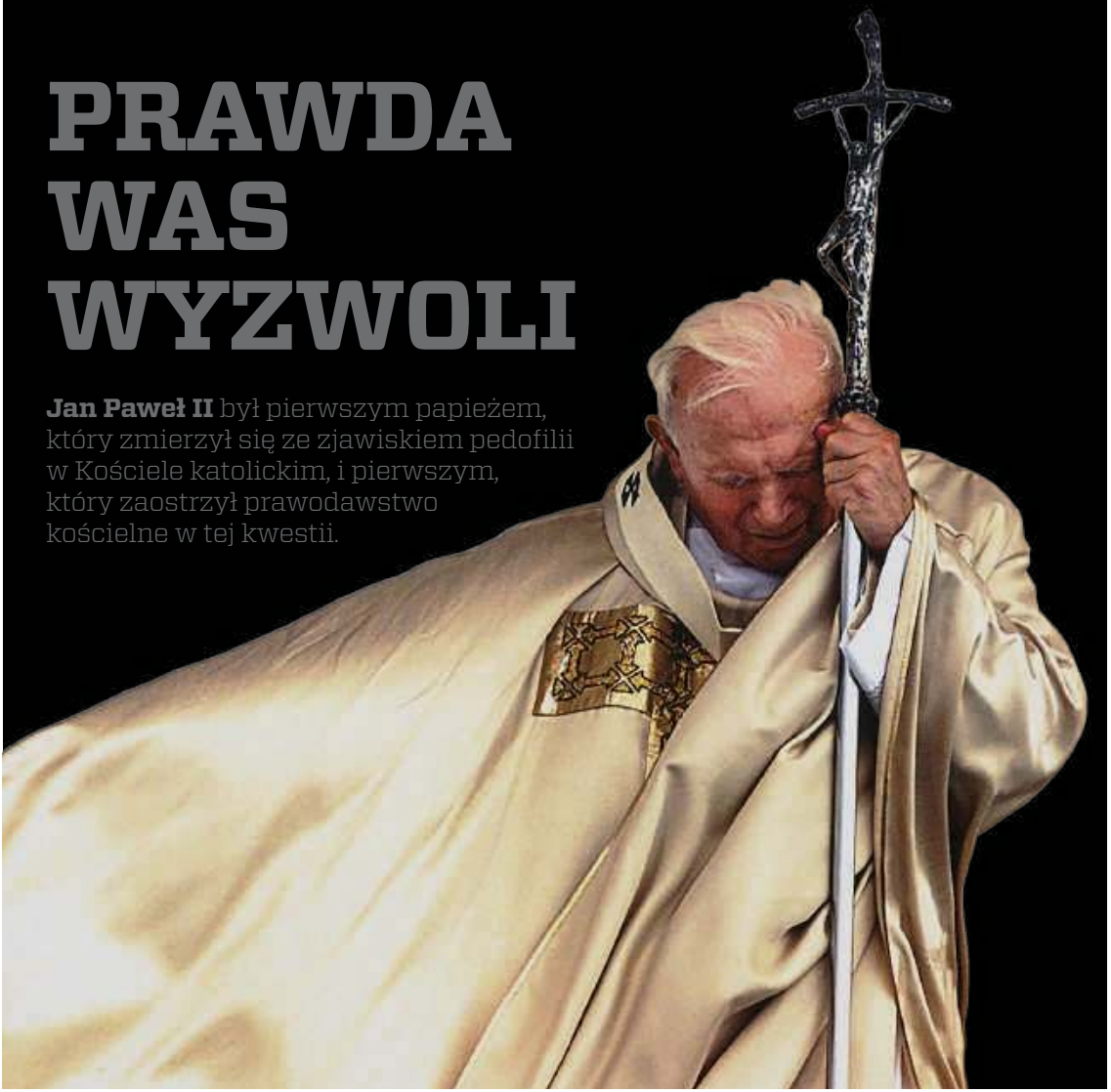

OKŁADKA MARIUSZ TROLIŃSK. FOT. GABRIEL BOUYS/PAP/EPA

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 78edc793a0

TEMAT NUMERU ▼ 4–17

Jak Jan Paweł II walczył z pedofilią w Kościele / 4

IDEE ▼ 18–26

Ustanowić własny establishment / 18

HISTORIA ▼ 28–56

Jak Kmicic bolszewików podchodził / 28

KULTURA ▼ 58–67

Magia Hollywood / 58

ŚWIAT ▼ 68–96

Droga / 68

Spis treści

TEMAT NUMERU

Grzegorz Polak
Jak Jan Paweł II walczył z pedofilią w Kościele /4

Grzegorz Górny
Jan Paweł II: dziedzictwo do odkrycia /10

Dawid Wildstein
Jak pomogliśmy zaatakować Papieża /14

Ryszard Czarnecki
Polski papież – wróg dla anty-Polaków /17

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Ustanowić własny establishment /18

Małgorzata Matuszak
Pułapki współczesnego feminizmu /24

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Jak Kmicic bolszewików podchodził /28

Dariusz Jarosiński
Czarnyszewicz. Świat, który zaginął /34

Ewa Polak-Pałkiewicz
Harda, niepokorna i miłosierna pani /40

Kaja Bogomilska
Powołany /46
Kazanie Jana Pawła II z 1982 roku

Święta sprawa niepodległości /48
Rozmowa z generałem Klemensem Rudnickim

Naszą emigrację stworzył generał Anders /52

KULTURA

Agnieszka Kowalczyk
Magia Hollywood /58

Krzysztof Karnkowski
Pożegnanie z „Suburrą" i powrót prokuratora /66

ŚWIAT

Stefan Czerniecki
Droga /68

Olga Doleśniak-Harczuk
Biało-czerwone troski Bundestagu /76

Antoni Rybczyński
Car i sułtan grają w szachy /81

Hanna Shen
Czy Pekin ograł Watykan? /86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

oprac. Antoni Rybczyński
Czego Kreml może oczekiwać od nowego prezydenta USA? /94

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Szturm neobolszewików
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... symbolika gwiazd
KATECHIZM INTELIGENTA 27

Marek Kalinowski
Między Ziemią a Saturnem
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 65

Ryszard Czarnecki
Wigilia – czas narodzin Chrystusa. I nie tylko...
CZARNECKO TO WIDZĘ 97

Marcin Wolski
Nasz oręż
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Warto walczyć
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 78edc793a0

Katarzyna Gójska

Szturm neobolszewików

Współcześni bolszewicy zdali sobie sprawę z tego, iż by być skutecznym w atakowaniu chrześcijaństwa, trzeba obedrzeć ze świętości Papieża Polaka.

Wiele lat temu na łamach „Nowego Państwa" opisywaliśmy powody, dla których część mediów zaczęła natrętnie lansować niejakiego „Nergala". Dosłownie w ciągu kilku miesięcy uczyniono z niego pierwszoplanową gwiazdę, eksperta-celebrytę od wszystkiego. A przecież „muzyka" tego indywiduum była nieakceptowalna dla znakomitej większości widzów śniadaniówek, tok szołów, które niemalże wyrywały sobie tę „gwiazdę". Więcej – żadne z tych mediów nawet nie próbowało serwować swoim widzom choćby krótkich próbek popisów wokalnych nowego celebryty. O co zatem chodziło? Dlaczego wyjący obrazoburcze i prymitywne teksty „Nergal" nagle doświadczał takiej promocji? Nie o jego karierę wokalną chodziło, a o satanizm. Był potrzebny do wprowadzenia wulgarnych, antychrześcijańskich treści na tzw. salony. Postkomunistyczne media potrzebowały nowego Urbana, który potrafiłby przemówić do młodszych pokoleń i zaprezentować pogardę i nienawiść wobec wiary katolickiej jako jednego z dopuszczalnych – a wręcz modnych w nowoczesnym świecie – poglądów czy sposobów na życie. I to się w jakimś zakresie na pewno udało.

Dziś „Nergal" jest już rzadkim gościem mediów. Zużył się. Ale też nie przystaje do nowych czasów. Bo teraz bluzg na Kościół jest już czymś w miarę powszechnym w celebryckim światku i bardziej porządane są deklaracje osób prezentujących się jako wierzące, a jednocześnie podważające niemal wszystkie prawdy wiary. To katolicy spod znaku żony prezydenta Warszawy, którzy mówią, że nie chodzą do kościoła, nie uczestniczą w Mszach świętych, nie przestrzegają przykazań, nie przystępują do sakramentów, bo Kościół jako instytucja jest tak zły, że muszą się od niego odciąć i pielęgnować swą wiarę w zaciszu domowym. Dziś taka postawa jest przedstawiana ludziom jako naturalny i prawidłowy wybór, jakiego może dokonać przyzwoity człowiek. Jesteśmy zatem na kolejnym etapie atakowania chrześcijaństwa – po oswojeniu z wulgarnością wobec Kościoła, nastąpił czas przekonywania, iż jest on zły, zepsuty i niepotrzebny, bo wystarczy być dobrym człowiekiem, żeby być chrześcijaninem. Nieważne, że to kompletna nieprawda. Ważne, iż recytują tę prawdę objawioną tabuny celebrytów rozsiadających się wygodnie na telewizyjnych kanapach.

Jesteśmy na kolejnym etapie atakowania chrześcijaństwa – po oswojeniu z wulgarnością wobec Kościoła, nastąpił czas przekonywania, iż jest on zły, zepsuty i niepotrzebny, bo wystarczy być dobrym człowiekiem, żeby być chrześcijaninem.

Sęk w tym, iż w Polsce niezwykle żywa jest pamięć świętego Jana Pawła II, tysiące słyszały na własne uszy Jego słowa i wychowywały się w poczuciu dumy z Papieża Polaka. Ten wybitny nasz Rodak jest dla rzesz katolików w Polsce najważniejszym i najpotężniejszym szańcem przywiązania do Kościoła. Dlatego właśnie w ostatnich dniach obserwujemy bezpardonowy atak na pamięć i dziedzictwo naszego Ojca Świętego. Współcześni bolszewicy zdali sobie sprawę z tego, iż by być skutecznym w atakowaniu chrześcijaństwa, trzeba obedrzeć ze świętości Papieża Polaka. Trzeba wszelkimi sposobami zohydzić Go w oczach polskich wiernych, a jeśli nie zohydzić, to przynajmniej obudzić w nich wątpliwości, czy rzeczywiście Jan Paweł II był postacią wybitną. W najnowszym numerze naszego miesięcznika analizujemy to zjawisko i rozprawiamy się z absurdalnymi zarzutami formułowanymi pod adresem tego, który doprowadził do zmiany „oblicza tej ziemi" i całego świata. ■

eprasa.pl 78edc793a0

Grzegorz Polak

Jak Jan Paweł II walczył z pedofilią w Kościele

Jan Paweł II był pierwszym papieżem, który zmierzył się ze zjawiskiem pedofilii w Kościele katolickim i pierwszym, który zaostrzył prawodawstwo kościelne w tej kwestii. Machina propagandowa wymierzona w papieża, pełna hejtu i haseł często rodem z kloaki, nie liczy się z faktami, uznając w Janie Pawle II obrońcę pedofilów. Nikt ze szkalujących papieża nie zadaje sobie trudu, aby je poznać. Dlatego Ojca Świętego trzeba bronić nie tyle w imię apologii, ile w imię prawdy.

fot. GABRIEL BOUYS/PAP/EPA

eprasa.pl 78edc793a0

eprasa.pl 78600793

Środowiska lewicowe, liberalne, proaborcyjne, antykatolickie chcą zniszczyć ostatni autorytet, jaki nam pozostał, nasze dobro narodowe, wykorzystując słabość Kościoła.

Sprawa jest poważna. Nie chodzi tylko o zniesławienie człowieka świętego, który do niedawna wydawał się dla Polaków niekwestionowanym autorytetem. Przypomnijmy sobie choćby trzy ostatnie papieskie pielgrzymki do Polski: w 1997, 1999 (zwłaszcza ta) i w 2002 roku, które spotkały się ze znakomitym odbiorem całego społeczeństwa. Nie mówiąc już o trzech podróżach apostolskich w czasach PRL-u, kiedy to Jan Paweł II przemawiał „do nas" i „za nas", uosabiając nasze aspiracje do wolności i niezależności.

Czyżby budowany przez lata jego autorytet miał zostać nadszarpnięty przez lawinę pomówień, oszczerstw i bzdur wyssanych z palca?

Próba utrwalenia w świadomości społecznej, zwłaszcza wśród młodych, stereotypu papieża biernego wobec haniebnego zjawiska pedofilii, może w znacznym stopniu zaważyć na dalszej recepcji nauczania Jana Pawła II w Polsce.

Nadzieja w tym, że Polacy nie ulegną perfidnej propagandzie tych rozzuchwalonych środowisk lewicowych, które domagają się „dekanonizacji" Jana Pawła II, „odjaniepawlenia" Kościoła za to, że – ich zdaniem – papież tuszował pedofilię. W mediach społecznościowych i w prasie mainstreamowej odbywa się sąd na papieżem. Wyrok za każdym razem jest ten sam: winny!

Papież perfidnie oszukany

Paliwem do ataku na Jana Pawła II stał się watykański raport w sprawie byłego kardynała Theodore`a McCarricka. „Wina Jana Pawła II w tuszowaniu pedofilii jest bezsporna" – orzekł po ukazaniu się raportu eksjezuita, prof. Stanisław Obirek, dając – jako jeden z pierwszych – sygnał do ataku na papieża.

Tylko że z ani jednego zdania raportu nie wynika, iż papież bagatelizował pedofilię, lecz że został oszukany przez cynicznego gracza, jakim był amerykański biskup.

Przez jakie okulary patrzył prof. Obirek, czytając watykański raport, o ile go w ogóle czytał? Chyba przez okulary przyciemnione uprzedzeniem, przyjmując *a priori* tezę o winie Jana Pawła II. Za nim ochoczo podążyli inni z wiadrem pomyj.

Argument najważniejszy i nie do zbicia przez wrogów papieża jest taki: pierwszy zarzut o pedofilię kard. McCarricka pojawił się dopiero w 2017 roku, kiedy Jan Paweł II od 12 lat już nie żył. Jak więc mógł tuszować haniebne zachowania amerykańskiego purpurata?

Argument drugi: procedura, którą uruchomił Jan Paweł II przed nominacją McCarricka na arcybiskupa Waszyngtonu, dotyczyła kierowanych przeciwko niemu zarzutów czynów homoseksualnych z osobami dorosłymi, a nie pedofilii. Papież podjął wówczas działania, przewidziane procedurą kościelną, nie stosując taryfy ulgowej wobec hierarchy, którego cenił i którego znał od czasu swojej podróży do Stanów Zjednoczonych w 1976 roku jako metropolita krakowski.

Z raportu dowiadujemy się, że 28 października 1999 roku kard. John O`Connor, arcybiskup Nowego Jorku, napisał list do papieża, informując, że nominacja arcybiskupa Newark McCarricka na arcybiskupa Waszyngtonu grozi skandalem, gdyż pojawiły się podejrzenia o nadużycia seksualne, jakich miał się dopuścić na klerykach i młodych księżach. Kardynał przytoczył niepokojące informacje związane z wyjazdami McCarricka nad morze wraz z grupą seminarzystów, które miały miejsce w latach 80. Informacje pochodziły jednak od osób trzecich, a nie naocznych świadków.

Mimo braku dowodów papież poprosił o usunięcie nazwiska arcybiskupa Newark z listy kandydatów. Polecił zbadać sprawę nuncjuszowi apostolskiemu w USA, Gabrielowi Montalvo, który zasięgnął opinii czterech biskupów, pytając ich, czy posiadają wiedzę o „poważnej słabości moralnej" arcybiskupa McCarricka. Wydali oni pozytywną opinię o kandydacie, gdyż był on rzeczywiście hierarchą bardzo aktywnym, o niezaprzeczalnych osiągnięciach, podejmującym delikatne misje, jak na przykład nieoficjalne rozmowy z Kościołem podziemnym w Chinach.

Teraz dochodzimy do momentu, który pokazuje niewydolność i nieszczelność struktur watykańskich. Najwyraźniej ktoś złamał sekret papieski, informując McCarricka o nieprzychylnym mu liście kard. O`Connora do papieża i o jego kandydaturze na arcybiskupa Waszyngtonu, co wiąże się z godnością kardynalską. Przebiegły hierarcha uprzedził bieg wypadków i wysłał list do biskupa Stanisława Dziwisza. Była to ewidentna manipulacja. McCarrick wiedział, że gdyby jego korespondencja została wysłana drogą oficjalną przez nuncjaturę, dotarłaby albo do Sekretariatu Stanu albo do Kongregacji ds. Biskupów. To by go zdyskwalifikowało, gdyż od razu by się zorientowano, że doszło do złamania sekretu papieskiego, bo McCarrick wiedział o czymś, o czym nie powinien wiedzieć.

We wspomnianym liście zapewniał: „w ciągu siedemdziesięciu lat mojego życia nigdy nie miałem stosunków seksualnych z żadną osobą, mężczy-

eprasa.pl 78edc793a0

zną czy kobietą, młodą czy starą, duchowną czy świecką, nigdy też nie wykorzystywałem innej osoby ani nie traktowałem jej bez szacunku". Dziś z raportu wiemy, że McCarrick cynicznie kłamał i nie zawahał się oszukać samego papieża, gdyż doskonale wiedział, że jego list wysłany do biskupa Dziwisza trafi do Ojca Świętego.

Tak też się stało i papież przywrócił McCarricka na listę kandydatów na arcybiskupa Waszyngtonu. Ale to nie było jednoznaczne z nominacją, gdyż sprawę musiała jeszcze zbadać Kongregacja ds. Biskupów. W łonie tej dykasterii były rozbieżne opinie co do nominacji McCarricka, w końcu przeważyła jednak opinia dla niego pozytywna. Dopiero wtedy papież mianował go na stolicę arcybiskupią w Waszyngtonie, a następnie włączył do Kolegium Kardynalskiego.

dochodzić do pomyłek w kwestiach ludzkich, zwłaszcza gdy zostało się okłamanym".

Jest rzeczą nie do pomyślenia, żeby Jan Paweł II, człowiek o niezwykłej wrażliwości na ludzką krzywdę, człowiek, który z taką miłością odnosił się do dzieci i walczył ze wszelkimi formami niesprawiedliwości wobec nich, mógł pobłażać największej zbrodni dokonywanej na najmłodszych.

„Byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi"

Jan Paweł II zadbał, aby sprawa nadużyć seksualnych dokonywanych przez duchownych miała sankcje prawne. Promulgowany przez niego w 1983 roku nowy Kodeks Prawa Kanonicznego w kanonie 1395 stwierdza: „Duchowny, który

Nadzieja w tym, że Polacy nie ulegną perfidnej propagandzie tych rozzuchwalonych środowisk lewicowych, które domagają się „dekanonizacji" Jana Pawła II, „odjaniepawlenia" Kościoła za to, że – ich zdaniem – papież tuszował pedofilię.

To był błąd, ale widzimy to wyraźnie dopiero z dzisiejszej perspektywy, kiedy ciemna przeszłość McCarricka została oficjalnie ujawniona przez Watykan. Nikomu nie przyszło do głowy, że wydalony ze stanu duchownego przez papieża Franciszka emerytowany arcybiskup Waszyngtonu prowadził cyniczną grę i był postacią dwulicową. Miał opinię jednego z najwybitniejszych hierarchów amerykańskich, a na dodatek stroił się w piórka bojownika walczącego z pedofilią w Kościele, stwarzając sobie zasłonę dymną. W budowaniu pozytywnego wizerunku swojej osoby pomagał mu osobisty urok, na co zwrócił uwagę, już po ujawnieniu raportu watykańskiego, kard. Timothy Dolan. Purpurat przyznał, że on sam uległ czarowi McCarricka.

Taki właśnie człowiek oszukał papieża. Raport na pewno nie jest świadectwem, że Ojciec Święty tuszował pedofilię, i nie kładzie się cieniem na jego świętości. W wywiadzie dla KAI ks. Andrzej Dobrzyński, dyrektor Ośrodka Dokumentacji i Studium Pontyfikatu Jana Pawła II w Rzymie, stwierdził: „Fakt tej nominacji, która okazała się promocją niegodnej osoby na ważne stanowisko, nie powinien wpływać na sposób postrzegania św. Jana Pawła II, na jego świadectwo wiary i umiłowania Chrystusa i ludzi. Biskup Rzymu jest następcą Piotra, a nie doskonałym zarządcą wielkiej korporacji. Sprawując ten urząd może w inny sposób wykroczył przeciw szóstemu przykazaniu Dekalogu, jeśli jest to połączone z użyciem przymusu lub gróźb, albo publicznie lub z osobą małoletnią poniżej lat szesnastu, powinien być ukarany sprawiedliwymi karami, nie wyłączając w razie potrzeby wydalenia ze stanu duchownego". Zgodnie z kodeksem z 1983 roku procesy wobec sprawców miały być przeprowadzane w diecezjach. Do Stolicy Apostolskiej mogły być wnoszone natomiast apelacje od wyroków sądowych wydanych przez trybunały diecezjalne, a konkretnie do Roty Rzymskiej.

W praktyce było jednak różnie, co skłoniło Jana Pawła II do innych rozwiązań prawnych, o czym będzie jeszcze mowa.

Na początku lat 90. opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych została poruszona ujawnionymi licznymi przypadkami wykorzystywania seksualnego dzieci przez duchownych. Powstał wówczas komitet ekspertów Stolicy Apostolskiej i Konferencji Biskupów USA do zbadania tej sprawy. Podczas serii audiencji dla biskupów amerykańskich wiosną 1993 roku papież poruszył ten bolesny problem. Natomiast 11 czerwca tego roku napisał list do biskupów amerykańskich, w którym z wielkim bólem odniósł się do tego zjawiska, domagając się ukarania winnych i okazania empatii ofiarom.

eprasa.pl 78edc793a0

Długo nie znaliśmy tego dokumentu, świadczącego o zdecydowanej reakcji papieża na gorszące zjawisko w Kościele. List nie został opublikowany w polskiej wersji „L`Osservatore Romano" zapewne dlatego, że w Polsce o zjawisku pedofili wśród duchownych jeszcze się nie mówiło. Potem, gdy zaczęło być o niej głośno, nikt nie przypomniał bezkompromisowych słów papieża. Dopiero w ubiegłym roku Jolanta Sosnowska, publicystka zasłużona dla popularyzacji życia i nauczania Jana Pawła II, zamieściła ów list na łamach miesięcznika „Wpis" (nr 5/2019). Papież podkreślił, jak bardzo grzechy duchownych „wstrząsnęły wrażliwością" wielu ludzi.

W tekście wielokrotnie pojawia się ewangeliczne słowo „biada" w odniesieniu do przypadków zgorszenia najmłodszych. Papież zacytował porażające wręcz słowa Jezusa Chrystusa, wypowiedziane wobec gorszycieli: „Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą we Mnie, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić go w głębi morza" (Mt 18,6). Bardziej dosadnych słów nie ma w całym Nowym Testamencie.

Jan Paweł II stwierdził, że „grzech zgorszenia popełniony wobec niewinnych" popełniony przez „niektórych sług ołtarza" musi „naprawdę boleć serce Jezusa".

W tym czasie nikt nie zarzucał papieżowi tuszowania pedofilii w Kościele katolickim. Wręcz przeciwnie. W grudniu 1994 roku Jan Paweł II otrzymał tytuł Człowieka Roku przyznany przez amerykański tygodnik „Time". Działo się to w czasie, kiedy w USA huczało od coraz nowszych przypadków wykorzystywania seksualnego dzieci przez duchownych. W uzasadnieniu decyzji redakcja napisała: „W roku, w którym tak wielu ludzi oglądało upadek wartości moralnych albo próbowało usprawiedliwić złe postępowanie, Papież Jan Paweł II z całą mocą głosił wizję prawego i wzywał świat do jej przyjęcia. Za tę jego niezłomność, czy też bezwzględność – jak powiedzieliby jego krytycy – został ogłoszony Człowiekiem Roku".

„Prośmy Boga o przebaczenie"

Papież nie ukrywał bolesnego problemu pedofilii, jednak bardzo uważał, aby nie uczynić z niego sensacji medialnej, gdyż, jego zdaniem, stawianie zła w centrum przekazu może być zagrożeniem dla moralności. Może trudno w to uwierzyć, ale zjawisko to, w sposób, ze zrozumiałych względów, zawoalowane, lecz czytelne dla dorosłych, zostało wymienione w papieskim „Liście do dzieci" z 13 grudnia 1994 roku. Papież wyraził w nim ubolewanie ze względu na „rozmaite formy gwałtu i przemocy ze strony dorosłych". „Czy można przejść obojętnie wobec cierpienia tylu dzieci, zwłaszcza gdy jest to cierpienie w jakiś sposób zawinione przez dorosłych?" – pytał Jan Paweł II.

Kiedy latem 1993 roku papież przyjechał do Denver w USA na Światowe Dni Młodzieży, obiecał, że Kościół katolicki podejmie się poważnego rozwiązania problemu wykorzystywania seksualnego duchownych. I słowa dotrzymał. Najpierw Jan Paweł II wydał dwa dokumenty mające chronić dzieci i młodzież przed wykorzystaniem seksualnym, w krajach, gdzie przypadków pedofilii ujawniono najwięcej.

> Po śmierci papieża niemiecki tygodnik „Der Spiegel" pisał: „nie trzeba dodawać, że nakazywał postępować jak najsurowiej wobec winnych pedofilii we własnych szeregach".

W 1994 roku ukazał się indult dla Kościoła w Stanach Zjednoczonych, a w 1996 roku dla Irlandii. Spotykając się 26 czerwca 1999 roku z biskupami irlandzkimi mówił o „diabelskiej naturze" czynów pedofilskich.

Indulty dawały biskupom zarówno w USA, jak Irlandii możliwość interweniowania tam, gdzie unikano procesów wobec sprawców, i stosować adekwatną karę do popełnionych czynów, włącznie z wykluczeniem ze stanu kapłańskiego.

Zdruzgotany skalą przestępstw w USA i opieszałością, z jaką biskupi amerykańscy podchodzili do ich ujawniania, wezwał na 23 kwietnia 2002 roku tamtejszy Episkopat USA do Watykanu, gdzie określił pedofilię jako „przerażający grzech" i zaapelował o skuteczną ochronę nieletnich.

Mówiąc kolokwialnie papież zbeształ biskupów, żądając oczyszczenia Kościoła z tej „wstrząsającej zbrodni". Stwierdził, że dla duchownych wykorzystujących seksualnie małoletnich nie ma miejsca w stanie kapłańskim i zakonnym. Papież zauważył, że nadużycia wobec młodych są poważną oznaką kryzysu, dotykającego nie tylko Kościół, lecz także całe społeczeństwo. Nie nałożył jednak sankcji na bisku-

eprasa.pl 78edc793a0

pów, którzy ukrywali takie przypadki. Charakterystyczne, że tytuł papieskiego przemówienia do biskupów brzmiał: „Prośmy o przebaczenie, uzdrowienie i łaskę".

W świetle faktów nie do utrzymania jest pogląd, że schorowany, walczący ze swoją słabością i ułomnością papież, nie był w stanie nic zrobić w celu zapobiegania wykorzystywania seksualnego dzieci przez duchownych oraz rozliczenia winnych.

Faktem jest natomiast, że Jan Paweł II nie nałożył sankcji na biskupów, którzy ukrywali przypadki pedofilii wśród duchowieństwa.

▶ Przełomowy dokument

Najważniejszym krokiem papieża była zmiana prawodawstwa w tej kwestii w skali całego Kościoła. Jeszcze do 2001 roku obowiązywała instrukcja Świętego Oficjum (dzisiejsza Kongregacji Nauki Wiary) z 1922 roku „Crimen sollicitationis", uzupełniona 16 marca 1962 roku przez papieża Jana XXIII i wydana z klauzulą poufności. Zobowiązywała ona osoby zaangażowane w proces kanoniczny do zachowania go w tajemnicy, której naruszenie pociągało za sobą automatyczne zaciągnięcie ekskomuniki (nie spadała ona jednak na ofiarę ani na zeznających świadków). Chciano w ten sposób chronić dobre imię zarówno samych ofiar, jak i oskarżonych, którzy nie zawsze okazywali się winnymi zarzucanych im czynów. Chodziło o to, by strony i świadkowie mogli składać swoje zeznania bez obaw, że szczegóły delikatnej natury wycieką na zewnątrz. Instrukcja nie zawierała zakazu donoszenia ofiarom o przestępstwie władzom cywilnym, w praktyce jednak tak ją interpretowano.

Przestarzałą instrukcję Jan Paweł II zastąpił w 2001 roku listem apostolskim „Sacramentorum sanctitatis tutela" (O ochronie świętości sakramentów), potwierdzając, że wykorzystywanie seksualne małoletnich należy do katalogu najcięższych przestępstw znanych prawu kościelnemu. Papież przychylił się do wniosku kard. Josepha Ratzingera, aby rozpatrywanie spraw o pedofilię, łącznie z nakładaniem sankcji karnych, znalazło się w gestii Kongregacji Nauki Wiary. Była to decyzja przełomowa, bo kongregacja, pod wodzą kard. Ratzingera, bardzo energicznie zajęła się badaniem przypadków pedofilii wśród księży. Pierwszoplanową postacią stał się ówczesny promotor sprawiedliwości, ks. prałat Charles Scicluna, duchowny maltański, obecnie arcybiskup, który z taką determinacją i bezwzględnością badał przypadki pedofilii wśród księży, że zyskał miano „młota na pedofilów".

Jeszcze w tym samym roku Kongregacja wydała normy wykonawcze („De delictis gravioribus") do listu Jana Pawła II. Pod karą ekskomuniki zobowiązywała każdego biskupa do informowania Kongregacji Nauki Wiary o każdym przypadku pedofilii w diecezji. Ponadto wydłużała okres przedawnienia z 10 do 20 lat, a w wyjątkowo ciężkich przypadkach w ogóle znosiła przedawnienie. Ale klauzulę milczenia instrukcja zachowywała.

Rok później Stolica Apostolska zatwierdziła wypracowane przez biskupów Stanów Zjednoczonych konieczne normy postępowania diecezji w sprawie zarzutów seksualnego wykorzystywania małoletnich przez księży. Rozciągnięto je na cały Kościół katolicki. Mówiły one wyraźnie, że jeśli potwierdzi się choćby „pojedynczy akt seksualnego wykorzystania przez księdza lub diakona", osoba ta „zostanie na stałe zwolniona z posługi kościelnej, nie wyłączając wykluczenia ze stanu duchownego".

Diecezje – i tu był milowy krok w zwalczaniu przypadków pedofilii w Kościele – zostały zobowiązane do stosowania się „do wszystkich przepisów prawa cywilnego w sprawie informowania władz cywilnych o zarzutach" i pełnej współpracy z nimi podczas dochodzenia. Normy te, w formie tzw. wytycznych, były stopniowo wdrażane przez krajowe konferencje biskupie. Z czasem prawo to było udoskonalane przez następców Jana Pawła II – Benedykta XVI i Franciszka.

Za życia Jana Pawła II nie zarzucano mu tuszowania przypadków pedofilii wśród księży. Jeszcze po śmierci papieża niemiecki tygodnik „Der Spiegel" pisał: „nie trzeba dodawać, że nakazywał postępować jak najsurowiej wobec winnych pedofilii we własnych szeregach".

Dowodem na niewinność papieża wobec stawianych mu zarzutów może być proces beatyfikacyjny Jana Pawła II. Podczas takiego procesu bez taryfy ulgowej badane są wszelkie zastrzeżenia, zarzuty i wątpliwości zgłaszane wobec kandydata na ołtarze. Ksiądz Sławomir Oder, postulator procesu beatyfikacyjnego Jana Pawła II, wielokrotnie oświadczał, że eksperci badający jego życie i nauczanie pod kątem świętości nie znaleźli dowodów na to, że papież świadomie zaniedbał lub ukrył skandale związane z wykorzystywaniem seksualnym dzieci przez duchownych. ■

Autor jest zastępcą dyrektora Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego w Warszawie.

W tekście wykorzystano źródła z serwisu informacyjnego KAI z 14 maja 2019 roku i z 20 listopada 2020 roku oraz z artykułu Jolanty Sosnowskiej pt. „Lepiej byłoby wam uwiązać u szyi kamień młyński" (miesięcznik „Wpis").

eprasa.pl 78edc793a0

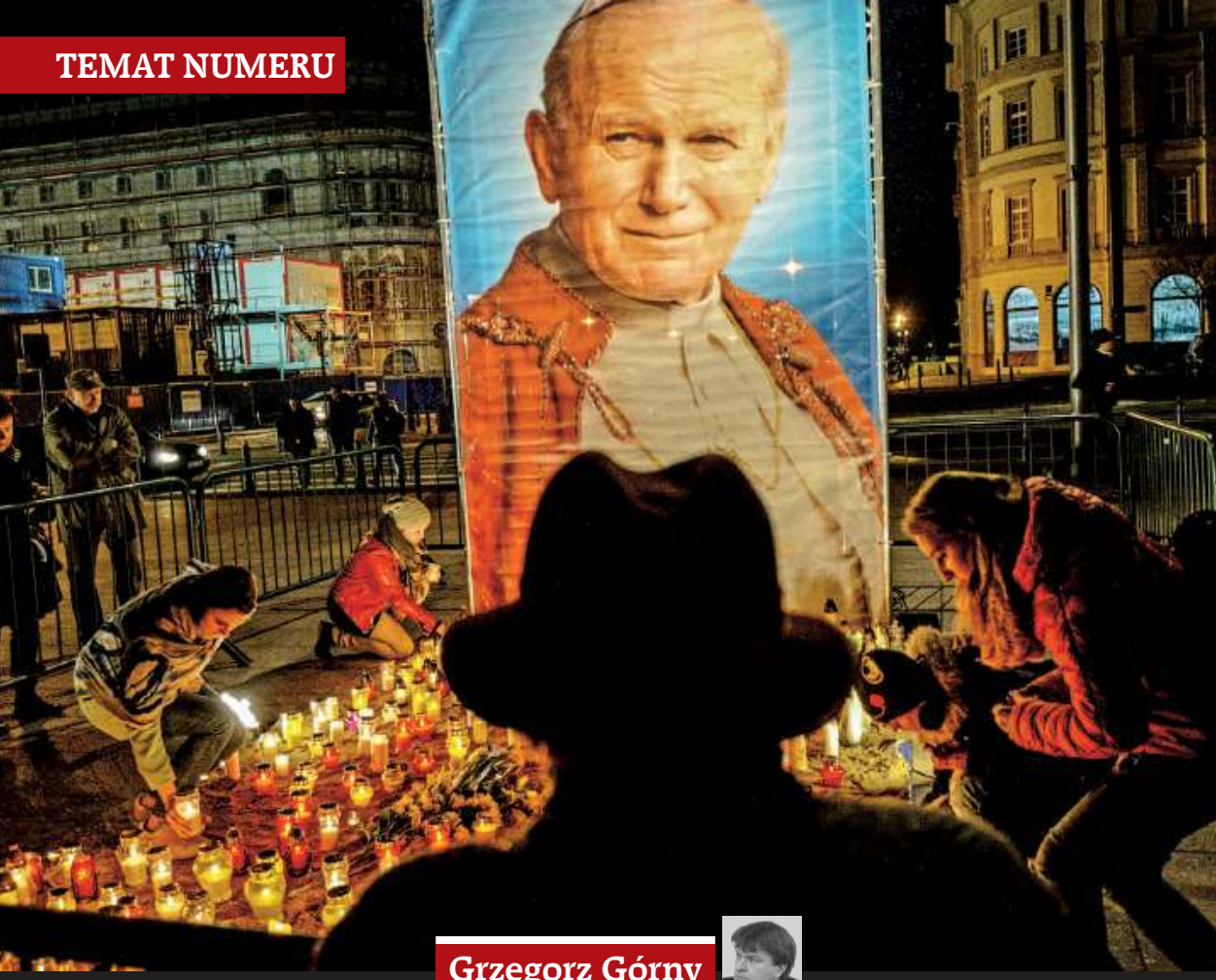

Grzegorz Górny

JAN PAWEŁ II: DZIEDZICTWO DO ODKRYCIA

Nauczanie Jana Pawła II wymaga odkrycia na nowo i twórczego odczytania. Zarówno w Kościele powszechnym, gdzie mówi się już o „dewojtylizacji", jak i w polskim społeczeństwie, w którym pojawiają się głosy o „odjaniepawleniu".

eprasa.pl 78edc793a0

Kiedy kilkanaście lat temu rozmawiałem z biografem Jana Pawła II, amerykańskim myślicielem Georgem Weigelem, powiedział mi, że Ojciec Święty pozostawił po sobie tak ogromną spuściznę intelektualną i duchową, że Kościół na świecie potrzebuje kilkudziesięciu, a może nawet kilkuset lat, by przemyśleć, zrozumieć i przyjąć bogactwo nauczania papieża rodem z Polski. Jak podkreślał inny znawca myśli papieskiej, włoski filozof Rocco Buttiglione, Karol Wojtyła został ukształtowany przez specyficzne doświadczenie polskiego katolicyzmu, które pozwoliło mu tak trafnie odczytywać znaki czasu i odpowiadać na wyzwania współczesności.

Z tych dwóch spostrzeżeń wynikać może wniosek, że najlepszym programem dla Kościoła w Polsce, w największym stopniu odpowiadającym jego charakterowi, jest przejęcie się papieską refleksją duszpasterską i teologiczną oraz twórcze wcielanie jej w życie. Wydaje się, że zadanie to nie zostało należycie podjęte. Funkcjonowanie Kościoła w naszym kraju po śmierci Jana Pawła II opierało się nadal na autorytecie papieża, ale już bez niego samego, na zasadzie siły inercji.

Wciąż powtarzano słowa pierwszego papieskiego wezwania, jakie padło z balkonu Bazyliki św. Piotra w Rzymie 16 października 1978 roku: „Nie lękajcie się!". Słowa te, choć brzmiały wówczas w innym niż dziś kontekście politycznym i społecznym, nadal zachowały swą aktualność. Problem polega jednak na tym, że w praktyce zbyt często katolicy w Polsce, w tym także hierarchowie, ulegają lękowi, a nawet paraliżuje ich strach.

Wyzwanie sekularyzacji

W tamtych czasach papieskie przesłanie odebrało osobiście do siebie wielu ludzi Kościoła na Zachodzie, który przeżywał wtedy ciężkie chwile. Po Soborze Watykańskim II, zwłaszcza w krajach wysoko rozwiniętych, nastąpiło gwałtowne załamanie się religijności wśród katolików. Fałszywe interpretacje soborowe w duchu wyimaginowanego Vaticanum Tertium siały zamęt wśród wiernych. Świątynie zaczęły pustoszeć, księża i zakonnicy masowo porzucali kapłaństwo, nastąpiło zahamowanie nowych powołań, zanikła praktyka sakramentów, zwłaszcza spowiedzi. Mnóstwo katolików odeszło od wiary, a w serca wielu z tych, którzy zostali, zaczął się wkradać strach o przyszłość Kościoła.

Dziś podobne wątpliwości żywi wielu ludzi Kościoła w Polsce, gdzie te same prądy cywilizacyjne co na Zachodzie docierają z pewnym opóźnieniem. Co prawda sekularyzacyjny Blitzkrieg, jaki zapowiadano po 1989 roku, połamał sobie w latach 90. zęby na polskim katolicyzmie ludowym, ale ten opór funkcjonował dobrze, dopóki żył Jan Paweł II. Pierwsze symptomy załamania zaczęły pojawiać się jakieś trzy lata po jego śmierci, gdy opadła fala wzruszeń po jego odejściu. Wtedy nastąpiło pierwsze większe tąpnięcie liczby powołań kapłańskich.

W dzisiejszej sytuacji najpoważniejszym wyzwaniem dla polskiego Kościoła pozostaje pełzająca sekularyzacja, zaś przykłady Irlandii, Hiszpanii czy Malty pokazują, jak szybko z kraju określanego bastionem katolicyzmu można stać się państwem duchowej letniości lub nawet wojującego antyklerykalizmu. Niedawne zajścia uliczne, podczas których młodzież atakowała świątynie, obrażała księży i występowała publicznie przeciw nauce Kościoła, powinny stać się dla świadomych katolików w Polsce dzwonkiem alarmowym.

Kryzys samoświadomości

Jan Paweł II, który już przed niemal czterema dekadami stanął wobec tego wyzwania w skali Zachodu, zrozumiał, że największym problemem Kościoła jest kryzys jego tożsamości. Dostrzegł, że wielu katolików zatraciło samoświadomość własnej wiary. Dlatego postanowił z całą mocą powrócić do samego sedna chrześcijańskiego orędzia zbawczego – do prawdy o Jezusie, który jest Zbawicielem człowieka, Tym, który nadaje sens ludzkiemu życiu. Taki był wydźwięk jego pierwszej programowej encykliki Redemptor hominis (Odkupiciel człowieka). Po latach Papież stwierdzi, że encyklika ta była „wielkim hymnem radości na cześć faktu, że człowiek został odkupiony przez Chrystusa. Została odkupiona jego dusza i ciało".

Ten pierwszy dokument, który był zarazem programem całego pontyfikatu, Jan Paweł II zakończył zdaniem nawiązującym do „Wyznań" św. Augustyna: „stworzyłeś nas, Boże, dla siebie i niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie". Papież wskazał więc, że kluczem do przezwyciężenia niepokoju, strachu i nienasycenia, jakie trapią współczesny świat, jest zawierzenie Chrystusowi i uczestnictwo w Jego posłannictwie.

Ojciec Święty wielokrotnie powtarzał, że „człowiek nie może siebie sam do końca zrozumieć bez Chrystusa". I z tym ewangelicznym przesłaniem postanowił wkroczyć w obszary polityki, ekonomii, kultury. W swej mowie inauguracyjnej wołał: „Nie lękajcie się otworzyć Chrystusowi granic państw, systemów politycznych i ekonomicznych". W styczniu 1990 roku, niemal nazajutrz po zawaleniu się systemu komunistycznego w Europie Środkowo-Wschodniej, Jan Paweł II podczas spotkania z korpusem dyplomatycznym akredytowanym przy Stolicy Apostolskiej, powiedział, że decydujące znaczenie dla upadku komunizmu miało to, że „kobiety, młodzież, mężczyźni, wszyscy pokonali strach". Posłuchali papieskiego wezwania: przestali się lękać.

Potrzeba formacji

W tym kontekście najważniejsze wydaje się osobiste doświadczenie Boga we własnym życiu – ono pozwala przezwyciężyć strach i umocnić własną tożsamość. Swego czasu wizytując jedną z rzymskich parafii Jan Paweł II zauważył ze smutkiem: „wydaje się, że wierzący, czyli

fot. Marcin Obara/PAP

eprasa.pl 78edc793a0

ochrzczeni, nie potrafią się oprzeć zeświecczeniu, ideologiom, które przeciwne są nie tylko Kościołowi, religii katolickiej, ale religii w ogóle, są ateistyczne albo antyteistyczne". Dlatego też – jego zdaniem – tak kluczowa rola w dzisiejszym duszpasterstwie przypada głębokiej formacji duchowej świeckich.

W czasach średniowiecznych, kiedy cała cywilizacja przesiąknięta była pierwiastkami chrześcijańskimi, formację taką można było zdobyć, żyjąc normalnie w świecie i obcując z wytworami ówczesnej kultury. Dzisiaj jest to raczej niemożliwe, gdyż „katecheza tego świata" nie ma nic wspólnego z religią Chrystusową. Dlatego tak ważne stają się różnorakie duszpasterstwa, wspólnoty, grupy modlitewne i ruchy katolickie, w których świeccy mogą zdobyć formację chrześcijańską.

Dziś są one właściwie jedynym miejscem, gdzie głosi się kerygmat osobom niewierzącym oraz prowadzi się regularną katechizację ludzi dorosłych. Wtajemniczanie w prawdy wiary owocuje nawiązaniem żywej relacji z Bogiem. Ten zaś, kto ma osobistą relację z Chrystusem, może oprzeć się laicyzacyjnej presji współczesnego świata.

Zauważmy, że wielu ludzi nazywających siebie dojrzałymi uważa wiarę za rzecz dobrą dla dzieci lub zdziecinniałych staruszków. Tymczasem to właśnie ich pojmowanie wiary jest niedojrzałe i dziecięce. Jest faktem, że w okresie dorastania pozbywamy się dziecięcych wyobrażeń dotyczących wiary, porzucamy na przykład wyobrażenie Pana Boga jako siwobrodego starca (podobnie porzucamy inne dziecięce wyobrażenia, że bocian przynosi ludziom potomstwo). W okresie tym nasza wiara powinna stawać się głębsza i dojrzalsza. Tymczasem wielu ludzi dojrzało w innych sferach życia, natomiast w sprawach religijnych nadal zachowało perspektywę dziecięcą (to tak, jakby kwestionowali fakt narodzin dzieci tylko dlatego, że nie przynosi ich bocian). Odrzucają wiarę, ponieważ jej nie rozumieją. Nie ma jednak zbyt wielu miejsc, w których mogliby ją pogłębić. Regularna katechizacja kończy się przecież na okresie szkolnym (sakrament bierzmowania bywa często „sakramentem pożegnania się z Kościołem"), dla dorosłych zaś podobnych propozycji brak.

Duch misyjny

Wspomniane wspólnoty, ruchy czy duszpasterstwa nie powinny jednak zamykać się we własnym kręgu, lecz wychodzić na zewnątrz ze świadectwem i ewangelizacją, tak jak robili to pierwsi chrześcijanie. O tych ostatnich słusznie pisał o. Jacek Salij, że „udało im się uniknąć poczucia wyobcowania ze świata, w którym przyszło im żyć i który był im wrogi. Nie ogarnęły ich nastroje izolacjonistyczne ani duch sekciarstwa. Źródła starochrześcijańskie obficie świadczą o nastrojach dokładnie przeciwnych: pierwsi chrześcijanie mieli żywe poczucie, że stanowią integralną cząstkę społeczeństwa, która ich prześladuje, oraz że wykonują niezwykle ważną służbę na rzecz tego społeczeństwa".

Należy więc walczyć w tendencjami do prywatyzowania własnej wiary na rzecz nastawienia misyjnego w taki sposób, by nasycać życie społeczne pierwiastkami ewangelicznymi. Widać zresztą wyraźnie, że wewnętrzna dynamika wspomnianych wyżej formacji zmierza właśnie w tym kierunku, na przykład neokatechumenat nie tylko tworzy własne seminaria duchowne (Redemptoris Mater), po skończeniu których księża pozostają do dyspozycji lokalnego biskupa, lecz także wysyła na misje wędrownych kaznodziejów, rodziny wielodzietne, a nawet całe wspólnoty.

Szczególną rolę w posłudze owych wspólnot odgrywa osobiste świadectwo życia. Dlatego tak wielką wagę przywiązywał do niego Jan Paweł II, zauważając, że w dzisiejszej epoce szumu informacyjnego i wielkich słów ludzie bardziej niż pouczania potrzebują świadectwa; jeśli zaś przyjmują kogoś jako nauczyciela, to dlatego, że jest on także świadkiem. Takim wymownym świadectwem dla innych ludzi może być nawet modlitwa. Nieżyjący już włoski watykanista Domenico Del Rio wyznał, że stracił kiedyś wiarę i odszedł z Kościoła, ale pojednał się z Bogiem i Kościołem, kiedy zobaczył modlącego się Jana Pawła II.

Zadanie dla Polaków

Oprócz osobistego i wspólnotowego wymiaru wiary ważne jest też jej przeżywanie w kontekście szerszych zbiorowości, państwa i narodu. Jan Paweł II, podobnie jak prymas Stefan Wyszyński, potrafił ukazać dzieje Polski w perspektywie historiozbawczej i przenieść ją z poziomu refleksji teologicznej na poziom zbiorowego przeżycia, obrzędowości i poczucia wspólnoty. Widać to wyraźnie w papieskim stosunku do historii, którą traktował przede wszystkim jako miejsce spotkania człowieka z Bogiem. Punktem odniesienia były dla niego dzieje biblijne, których kamieniami milowymi są kolejne przymierza Stwórcy ze swym stworzeniem.

Jest w tym pojmowaniu dziejów pewien specyficznie polski rys tego pontyfikatu. Wielu biografów podkreślało mianowicie, że Karol Wojtyła „terminował w szkole" prymasa Wyszyńskiego, dla którego Śluby Jasnogórskie Narodu Polskiego w 1956 roku czy milenijny akt odnowienia Chrztu Polski w 1966 roku były właśnie, na wzór biblijny, rodzajem przymierza Boga ze swoim ludem.

W tej perspektywie należy też widzieć takie akty Jana Pawła II, jak akt zawierzenia Rosji i świata Niepokalanemu Sercu Maryi, dokonany w Fatimie w 1984 roku (co Papież uznał za wypełnienie proroctw fatimskich z 1917 roku), czy akt zawierzenia świata Bożemu Miłosierdziu, który miał miejsce w Krakowie-Łagiewnikach w 2002 roku (co z kolei Ojciec Święty uznał za wypełnienie proroctw zawartych w „Dzienniczku" św. siostry Faustyny).

„Niech to przesłanie rozchodzi się z tego miejsca na całą naszą umiłowaną Ojczyznę i na cały świat", mówił Jan Paweł II w łagiewnickim sanktuarium. „Niech spełnia się zobowiązująca obietnica Pana Jezusa, że stąd ma wyjść »iskra«,

eprasa.pl 78edc793a0

która przygotuje świat na ostateczne Jego przyjście". W ten sposób Papież nawiązał do zapisanych w „Dzienniczku" siostry Faustyny słów, jakie skierował do niej Jezus: „Polskę szczególnie umiłowałem, a jeśli będzie posłuszna Mojej Woli, wywyższę ją w potędze i świętości – z niej wyjdzie iskra, która przygotuje świat na powtórne Moje Przyjście".

Niektórzy komentatorzy tego tekstu interpretowali go w ten sposób, że „iskrą" jest właśnie osoba Jana Pawła II i jego pontyfikat. Sam Ojciec Święty, tak jak zawsze, wskazał jednak na osobę Tego, którego starał się być na ziemi uczniem i namiestnikiem. Ową iskrą, według niego, jest zawierzenie Bożemu Miłosierdziu, którego kult za sprawą św. Faustyny wyszedł z Polski, a rozprzestrzenił się na cały świat. Jan Paweł II był zresztą tym, który wprowadził do kalendarza liturgicznego nowe święto – Święto Bożego Miłosierdzia.

Jednym z zadań, jakie postawił przed polskim Kościołem Ojciec Święty tuż przed swoim odejściem, jest więc szerzenie na całym świecie kultu Miłosierdzia Bożego. Polacy są do tego zadania szczególnie predysponowani, gdyż mają własnego mistyka – siostrę Faustynę, i własnego proroka – Jana Pawła II, których przesłanie odwołuje się właśnie to bezgranicznego zawierzenia Miłosierdziu Boga.

Perspektywa teologiczna

Wzorem dla Kościoła w Polsce powinien być też papieski sposób odczytywania znaków czasu, który opierał się na tym, że Jan Paweł II obserwował rzeczywistość i odczytywał ją teologicznie. Nie oznaczało to wcale spirytualizmu i ukierunkowania się wyłącznie na doskonalenie duchowe, wewnętrzne. Wręcz przeciwnie, nigdy wcześniej w dziejach żaden Papież nie wypowiadał się publicznie tak często i na tak wiele tematów. Zarazem jednak starał się je wszystkie umieścić w perspektywie teologicznej.

Ważnym elementem tego pontyfikatu było zwłaszcza nauczanie społeczne, które miało charakter antyutopijny i antyideologiczny. Papież nie konstruował nowych systemów politycznych czy ekonomicznych, lecz starał się ocenić te istniejące w świetle Prawdy Objawionej. Miarą ich jakości czynił zwłaszcza stosunek do najuboższych i najsłabszych. Wiązało się to natomiast z miejscem, jakie w życiu publicznym przeznacza się prawdzie, wolności i moralności.

Ze wszystkich encyklik społecznych Jana Pawła II temat ten najpełniej rozwinięty został w Centessimus annus (Rok setny), wydanej w 1991 roku, sto lat po ogłoszeniu pierwszej w dziejach papiestwa encykliki społecznej – Rerum novarum Leona XIII. Dokument ten odbierany był powszechnie jako wskazówka dla narodów, które zrzuciły właśnie komunistyczne jarzmo, w jaki sposób powinny budować swoją przyszłość. W szczególnie wnikliwy sposób powinien być więc czytany, analizowany i wcielany w życie przez polskich katolików.

Z jednej strony znajduje się w nim pochwała demokracji, która zapewnia obywatelom udział w decyzjach politycznych, w wolnych wyborach i kontrolowaniu rządów, z drugiej jednak mamy ostrzeżenie, że demokracja bez fundamentu etycznego i odniesienia do prawdy zaprzecza samej sobie i zamienia się w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm. Jan Paweł II był więc obrońcą wolności, jednak wolność nie była dla niego celem samym w sobie – była ona warunkiem praktykowania wartości. Dlatego trzeba ją zawsze odpowiednio zagospodarować. Z tego powodu musi być ona zawsze podporządkowana prawdzie, gdyż dopiero wówczas znajdzie swe spełnienie w urzeczywistnianiu dobra. To podstawowy drogowskaz dla Kościoła w Polsce, gdy chce zabierać głos na forum publicznym w ważnych kwestiach politycznych, społecznych czy gospodarczych.

Dziedzictwo do podjęcia

Papieskie nauczanie zainspirowało do badań i przemyśleń wiele ośrodków intelektualnych i naukowych na całym świecie. Amerykański myśliciel ks. Richard John Neuhaus, założyciel wpływowego środowiska „First Things", zauważył, że za pontyfikatu Jana Pawła II „Kościół stał się podstawowym miejscem obrony praw człowieka, miejscem promowania nauki, miejscem uniwersalnego patrzenia na sprawy świata oraz stawiania fundamentalnych pytań współczesnej liberalnej demokracji".

Z kolei o. Maciej Zięba pisał: „Papież dał Kościołowi nowy wewnętrzny impuls i nową wizję relacji ze światem. Tak na płaszczyźnie intelektualnej, jak i pastoralnej nadał mu nową dynamikę".

Niestety, po śmierci Jana Pawła II jego dorobek nie został należycie podjęty, zarówno w Kościele powszechnym, gdzie karierę zrobił termin „dewojtylizacja", jak i w polskim społeczeństwie, gdzie coraz częściej mówi się o „odjaniepawleniu". Obserwowany obecnie atak na papieża nie jest przypadkowy. Ma na celu – poprzez zdyskredytowanie osoby Karola Wojtyły fałszywymi oskarżeniami – zdezawuowanie jego nauki, w której tkwi tak wielki potencjał duchowy i intelektualny.

Po kwietniu 2005 roku w mediach popularne stało się sformułowanie, że zostaliśmy przez papieża osieroceni i teraz dla polskich katolików nadszedł czas wykazania dojrzałości w wierze i podejmowania decyzji na własną odpowiedzialność. Każdy, kto rzeczywiście czuje się związany z duchową spuścizną Jana Pawła II, powinien zastanowić się, czy stara się wypełnić testament, jaki pozostawił w swych licznych homiliach, listach i wystąpieniach skierowanych do rodaków. Sądzę, że lepszego programu dla polskiego Kościoła niż ten, jaki da się wyczytać z papieskiego nauczania, dziś po prostu nie ma. To wielka skarbnica. Wystarczy tylko do niej sięgnąć. ■

Grzegorz Górny – reporter, eseista, publicysta, reżyser, producent filmowy i telewizyjny.

eprasa.pl 78edc793a0

Jak pomogliśmy zaatakować Papieża

Dawid Wildstein

Gdy usiłuje się kogoś zniszczyć, trzeba zacząć od ataku na to, co w nim najpiękniejsze, najbardziej atrakcyjne. Jeśli to uda się opluć, zohydzić najjaśniejsze karty – z resztą, kolokwialnie rzecz ujmując, pójdzie już łatwo. Dlatego frontalny atak na Jana Pawła II był tylko kwestią czasu. Dziedzictwo Karola Wojtyły, zarówno z czasów pontyfikatu, jak i wcześniejszych, jest zbyt silne i wyraźne, żeby mogło, nawet w ograniczonej formie, zostać zaakceptowane przez lewicę. Pytanie więc brzmi – czy właściwie się na niego przygotowaliśmy?

eprasa.pl 78edc793a0

To, że Jan Paweł II był niewygodny dla środowisk lewicowych, jest oczywiste. Dużo bardziej bolesną sprawą jest jednak to, że jego dziedzictwo okazało się także zagrożeniem dla wielu grup w obszarze Kościoła. Można zaryzykować stwierdzenie, że to, co obserwujemy dzisiaj, ta erupcja wrogości wobec katolicyzmu, ta kampania nienawiści wobec papieża, jest tak skuteczna z powodu swoistego „wbicia noża w plecy" naszemu papieżowi przez ludzi związanych z Kościołem. I to już po jego śmierci. To efekt bądź wrogości ze strony ludzi nazywających siebie katolikami, bądź pewnego typu gnuśności i grzechu zaniedbania.

Kościelny syndrom sztokholmski

Komu więc w obrębie Kościoła opłaca się ten atak na naszego papieża, na spuściznę jego pontyfikatu? Pierwszą grupą, która się nasuwa na myśl, są księża i intelektualiści, którzy od lat nawołują Kościół do większej „otwartości". Robią to głównie na łamach „Tygodnika Powszechnego", „Gazety Wyborczej", czasem są „wynajmowani" przez Lisa czy TVN, gdy trzeba zaatakować prawicę bądź skrytykować własny matecznik. Sami siebie lubią nazywać reprezentantami Kościoła otwartego albo katolicką lewicą. Nic dziwnego, że Jan Paweł II jest dla nich, na najgłębszym możliwym poziomie, problemem. Nie chodzi nawet o bieżącą politykę. Nasz papież pokazuje bowiem fałsz ich drogi, jej błędne założenia, jego pontyfikat jest dowodem na to, jak bardzo się mylą, przeczy ich najważniejszym dogmatom. Polscy akolici Kościoła otwartego na swoich sztandarach noszą slogan, że dzisiejszy Kościół zamknął się na świat zewnętrzny. Nie rozumie jego problemów, nie usiłuje wyjść naprzeciw realnym problemom współczesności, nie potrafi sprostać nowym wyzwaniom cywilizacyjnym. Ratunku upatrują więc w otwarciu na to, co na zewnątrz Kościoła. Odnową ma być dopuszczenie do jak najszerszej dyskusji, zrezygnowanie z autorytetu Watykanu, wycofanie się z polityki, gotowość do dyskusji z ideologiami najbardziej nawet wrogimi katolicyzmowi. Wszystko to, na poziomie idei, może brzmieć bardzo atrakcyjnie. Gorzej z praktyką. Owa „otwartość" okazała się odrzuceniem własnej tożsamości, akceptacją nawet najbardziej agresywnych, nienawistnych treści (księża i katolicy popierający Strajk Kobiet i wyrażający wręcz poparcie dla dewastowania kościołów to idealny przykład wspomnianej patologii). Postulowana dyskusja zamieniła się w rezygnację z jakichkolwiek poglądów, które mogłyby się „partnerowi" nie podobać – czy to będzie skrajna lewica, czy politycy Unii Europejskiej etc. W końcu – wycofanie się z polityki przybrało formę swoistego „syndromu sztokholmskiego". W każdej sytuacji konfliktu na linii politycy–Kościół środowisko to staje po stronie tego pierwszego podmiotu. W ten sposób, mając usta wciąż napchane frazesami o koniecznym rozdzieleniu Kościoła od państwa, o wyrwaniu go z kontekstu politycznego, skutki działalności „Kościoła otwartego" okazały się odwrotne do deklarowanych.

Kościół prawdziwie otwarty

Oczywiście wszystko to ubierane było i jest w odpowiednio atrakcyjne słowa. Oto mamy w teorii Kościół otwarty, czyli pozbawiony pychy, pokorny, świadomy swoich błędów, bez pretensji do wszechwiedzy. W praktyce – Kościół otwarty skapitulował przed światem. Zrezygnował z głoszenia wiary w zamian za głaskanie go po głowie przez polityków i celebrytów medialnych. Zamienił się w środowisko dyżurnych „autorytetów", używanych wtedy, gdy trzeba było za coś Kościół skrytykować i poprzeć tych, którzy go właśnie atakują. Środowisko, które weszło w politykę w pełni, stając się wręcz „dostawką" do Platformy – czego chyba najwyraźniejszym przykładem okazał się ks. Sowa. Zdaniem reprezentantów Kościoła otwartego wszystkie opisane tu procesy to bolesne, acz konieczne „lekarstwa", które umożliwią Kościołowi przetrwanie. Że ta „miękkość", „bezideowość", „letniość" spowoduje, że nie będzie odrzucany przez młodych, że stanie się bardziej dostępny. Tymczasem praktyka pontyfikatu Jana Pawła II pokazała wyraźnie, jak głęboki jest to fałsz, mający przykryć tylko skrajny konformizm. Nasz papież jest najwyraźniejszym dowodem na to, że Kościół prawdziwie otwarty, Kościół, który pociąga za sobą miliony i naprawdę zmienia oblicze tej ziemi – to Kościół wierny sobie. Kościół, który nie boi się stanąć przeciw współczesnemu światu. Który nie boi się skrytykować dzisiejszych władców zachodniego świata, piętnować patologii najpotężniejszych instytucji i korporacji. A nie, jak chcieliby tego najróżniejsi kapłani świeckiej otwartości, Kościół na klęczkach przed duchem dziejów, Kościół przepraszający za wszystko, Kościół ukrywający się. Kościół Jana Pawła II przyciągał niesamowite masy. Kościół otwarty nadaje się bardziej na rozmowy przy ośmiorniczkach z politykami PO. Nic więc dziwnego, że to właśnie ta grupa od początku miała problem z dziedzictwem Jana Pawła II. Najpierw usiłowała je bagatelizować, manipulując nim, wycinając z niego to, co jej odpowiadało, czyli warstwę najprostszych emocji, pomijając całą refleksję polityczną, społeczną, filozoficzną i teolo-

FOT. PAWEŁ KORCZYŃSKI/PAP

eprasa.pl 78edc793a0

giczną. Zamiast mówić o tekstach, encyklikach, esejach – usiłowała sprowadzić Jana Pawła II do miłego staruszka. Zawsze uśmiechniętego, otwartego, gotowego spotkać się z każdym. Takiego dziadka, którego każdy chciałby mieć. W ten sposób usiłowała wykastrować nauczanie naszego papieża ze wszystkiego, co mogło być dla jej postawy zagrożeniem, czyli... ze wszystkiego. Dziś zaś w większości milczy albo wręcz dołącza do tej nagonki – z zadowoleniem widząc, jak mieszany z błotem jest człowiek, którego całe życie i posługa zadała kłam jej własnej egzystencji.

„Jakoś to będzie"

Pozostawiając z boku kościelną lewicę, ciężko nie odnieść wrażenia, że nie tylko ona wewnątrz Kościoła zawiniła. Mówiąc najprościej – przecież atak na papieża można było przewidzieć. Żadna z informacji, które dziś są używane w kampanii nienawiści wobec Jana Pawła II, nie była nieznana. Pojawiające się kolejne teksty, pokazujące prawdziwą postawę naszego papieża wobec problemu pedofilii, mogły pojawić się wiele lat wcześniej. Mogły być podstawą do debaty na ten temat i pokazania go we właściwym świetle. Straciliśmy jednak tę okazję. A to dało paliwo wrogom Jana Pawła II. Największą bowiem siłą dzisiejszego ataku lewicy jest jego fragmentaryczność. Odpowiednie dozowanie wiadomości, umiejętne budowanie fałszywych skojarzeń, omijanie szerszego tła historycznego (pozostałe teksty w tym numerze wystarczająco poruszają ten temat). Powstaje więc pytanie – dlaczego wcześniej o tym milczano? Dlaczego nie rozpoczęto debaty na ten temat, wyprzedzając atak lewicy, uniemożliwiając jej manipulacje, osadzając podawane przez nią wiadomości w szerszym kontekście? Z dokumentów kościelnych wyłania się jasny obraz Jana Pawła II. Na pewno nie papieża nieomylnego – niektóre z jego ocen, z czasem, okazały się niewłaściwe, nic dziwnego zresztą, zważywszy że bardzo wiele informacji wtedy nie wyszło jeszcze na światło dzienne. Ale człowieka świadomego problemu i gotowego z nim walczyć. Papieża, który nie miał zamiaru „przejść do porządku dziennego" nad tymi przestępstwami. Odpowiedź wydaje się prosta. Bo uznano, że nie trzeba. I w tym prostym zdaniu tkwi chyba podstawowy grzech Kościoła dzisiejszych czasów, stojący u źródła jego kolejnych porażek w starciu ze współczesnością. Uznano zapewne, że mit papieża Polaka jest wystarczająco silny i nienaruszalny. Że siłą rozpędu będzie nadal konstytuował tożsamość Polaków. Że w związku z tym nikt nie ośmieli się zaatakować Karola Wojtyły. Że „wszystko to jakoś będzie". Że, mówiąc kolokwialnie, lepiej nie drążyć tematu.

Bolesna nauka na przyszłość

Obrona Jana Pawła II w pewien sposób musiałaby być związana z oskarżeniem wcześniejszych procedur Kościoła. Jeśli, co wynika z dokumentów, Jan Paweł II był papieżem, który nie tylko bardzo mocno zwracał uwagę na te przestępstwa, lecz nawet zmienił prawo kościelne, żeby móc je skuteczniej ścigać – z konieczności pokazuje to, jak głęboka była to patologia. Stanięcie w prawdzie co do grzechów wewnątrz Kościoła było jedyną drogą do obrony Jana Pawła II i jego dziedzictwa. Dziś zresztą się to dzieje. Ale jest to reakcja spóźniona. Gdy był na to czas, zrezygnowano z takiej debaty. W ten sposób umożliwiono atak na jeden z najważniejszych autorytetów, na jakich opiera się dziś Kościół, nie tylko zresztą w Polsce. Czy było warto? Odpowiedź wydaje się oczywista.

Sytuacja ta jest zresztą bardzo podobna w wielu aspektach do stosunku polskiego Kościoła do lustracji. Wtedy też uznano, że lepiej tematu nie drążyć. A tych, którzy próbowali, potrafiono odsądzać od czci i wiary. Dochodziło nawet do zupełnie kuriozalnych sojuszy części hierarchów z „Gazetą Wyborczą", w imię antylustracyjnej krucjaty. Rachunek był równie prosty jak i mylny. Uznano, że sytuacja sama się oczyści, że straty wizerunkowe będą większe niż zyski z napiętnowania grzechu i przestępstwa. Po prostu wygrała strategia korporacji, a nie wiary. Gdyby chociaż metoda ta była skuteczna, nadal stałaby ona w sprzeczności z całą nauką Kościoła, ale w prymitywnym, praktycznym ujęciu miałaby znamiona sensu. Tymczasem ta taktyka chowania głowy tylko odsunęła w czasie zmierzenie się z problemem. Więcej – pozwoliła mu nabrzmieć, urosnąć. Zarówno w wypadku lustracji, jak i pedofilii. A dziś ofiarą zaniechań w tej drugiej kwestii, co jest wyjątkowo ponure i jednocześnie perwersyjne, może okazać się człowiek, który z problemem pedofilii odważnie się zmierzył. I chyba ta konstatacja jest najboleśniejsza. Niezależnie bowiem od agresji lewicowej histerii i stopnia jej manipulacji, niezależnie od tego, jak wspierana jest przez potężne media, zachodnie środowiska, a także przez ludzi wewnątrz Kościoła – wszystko wskazuje na to, że tej sytuacji można było uniknąć. Można było im wytrącić broń z ręki. Dziś nasza obrona Jana Pawła II jest dużo trudniejsza. Mimo nadziei, że będzie jednak zwycięska, warto pamiętać o tej nauczce na przyszłość. ■

eprasa.pl 78edc793a0

Ryszard Czarnecki

Polski papież – wróg dla anty-Polaków

Dziś, gdy „nasz papież" stał się tarczą strzelniczą dla różnego rodzaju nikczemników – burzy się we mnie krew. Atakują świętego człowieka ludzie podli albo skrajnie głupi.

Do polskiego papieża mam stosunek emocjonalny, jak zapewne wielu ludzi mojego pokolenia. Tak, tak, „pokolenia JP2". Bo jest takie pokolenie. Jego wyróżnikiem nie jest to, że jesteśmy aniołami – co to, to nie! Nie jesteśmy dewotami, bigotami i pewnie wielu ludzi z tego pokolenia nie strzela cytatami z encyklik Jego Świątobliwości Jana Pawła II. Nie w tym rzecz. Na pewno dzięki papieżowi-rodakowi jesteśmy (trochę) lepszymi ludźmi. Czerpaliśmy z niego lekcje patriotyzmu – i to w nas, we mnie, zostało. Tak było przy okazji Jego pielgrzymek do Ojczyzny. Kiedy ich już nie ma, kiedy Jego nie ma – dopiero teraz widać, jak brakuje tego Człowieka. I jak brakuje tego Polaka.

Nie szukam prostych uogólnień. Nie będę głędził, że pokolenie moich dzieci jest mniej religijne, niż my byliśmy, uczestnicząc w katechezach Ojca Świętego jako cząstka milionowych audytoriów, czy mniej wrażliwe na wartości ponadczasowe, które były udziałem mojej generacji – dzięki, w wielkiej mierze, papieżowi „z dalekiego kraju". My mieliśmy historyczne szczęście urodzić się w czasie, w którym On nauczał – choć przecież w wielu aspektach był to parszywy czas i wcale nie mieliśmy szczęścia, że żyliśmy za komuny...

Polski papież nas wychował – jako Polaków, jako obywateli, jako – grzesznych – chrześcijan. Grzeszyliśmy zapewne dzięki księdzu Wojtyle nieco mniej. Dlatego dziś, gdy „nasz papież" stał się tarczą strzelniczą dla różnego rodzaju nikczemników – burzy się we mnie krew. Atakują świętego człowieka ludzie podli albo skrajnie głupi. Obojętne – na jedno wychodzi. Tyle że kilkunastoletni smarkacz-uczeń może z tego wyrośnie za lat dziesięć czy parenaście, gdy założy własną rodzinę i patrząc przez pryzmat własnych dzieci stanie się, kto wie, konserwatystą. Być może będzie mu głupio i nie przyzna się synowi i córce, co wykrzykiwał, a może i co malował na pomniku polskiego papieża. Nie ma natomiast nadziei, że wyrosną ze swojej prymitywnej propagandy anty-JP2 różne medialne szczujnie. One nie dojrzeją – one dokładnie wiedzą, co robią. Mają zohydzić świętości i czynią to w poczuciu dobrze spełnionego laicko-internacjonalistycznego obowiązku. Machiny medialne ruszyły – dotychczas świętego Jana Pawła niemal nie tykały, uważały, że to się nie opłaca, że jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie. Teraz wybił czas, teraz wybiło szambo.

Znam wielu ludzi, którzy – owszem – ochrzczeni, wychowani w duchu „świętej wiary rzymskokatolickiej", ale nie praktykują zbyt gorliwie, chodzą do kościoła „od wielkiego dzwonu", może na Boże Narodzenie, a może z wielkanocnym koszyczkiem. Ale właśnie ci ludzie, rodacy Jana Pawła II, wściekli się na bezczeszczenie papieskich pomników i szarganie dobrego imienia papieża-Polaka równie mocno, a może jeszcze gwałtowniej niż ci pokornego serca, którzy chodzą do swojej parafii co tydzień.

Bo trawestując wersy Jana Lechonia o Matce Boskiej Czestochowskiej – w świętego Wojtyłę wierzą nawet ci, którzy w nic nie wierzą...

Atakują Jana Pawła nikczemnicy tacy sami jak ci, którzy w ostatnim czasie zniszczyli w Szczecinie tablice upamiętniającą ofiary komunistów z Grudnia 1970.

Polskie państwo, jeśli jest silne – a nie jest „atrapą" państwowości – powinno takich ludzi napiętnować moralnie i karać prawnie. Czy tak czyni? ■

eprasa.pl 78edc793a0

Jakub Augustyn Maciejewski

USTANOWIĆ WŁASNY ESTABLISHMENT

Społeczeństwa demokratyczne funkcjonują według wielu mechanizmów, jednak większość z nich nie jest widoczna gołym okiem. Choć dostrzegamy, jak władza wyłania się w procesach wyborczych, to jednak pod powierzchnią debaty publicznej odbywa się kształtowanie grupy, której wpływ na państwo jest nieformalny, czasem niewidoczny. Establishment jest zjawiskiem, które kształtuje idee, politykę i gospodarkę, czasem silniej niż oficjalne organa konstytucyjne.

fot. ADOBE STOCK

Relacje prezydenta z rządem, premierem i sądownictwem określane są w ustawie zasadniczej, zapisach prawnych i praktyce politycznej. A co z nieformalnymi liderami politycznymi? Wpływowi intelektualiści, przywódcy religijni czy właściciele największych mediów mogą wywołać fale protestów, przestraszyć ministrów, powstrzymać reformę. Nie są oni wybierani w demokratycznych wyborach, lecz są trwałym elementem demokratycznej rzeczywistości. Bez zrozumienia nieformalnych powiązań potężnych osób we wspólnocie narodowej nie będziemy w stanie zrozumieć, dlaczego niektóre zjawiska mają miejsce, dlaczego dochodzi do przesileń i kryzysów, a także dlaczego jedne grupy polityczne mają łatwo, a inne zdecydowanie pod górkę.

Samo słowo „establishment" pochodzi z języka angielskiego i funkcjonuje głównie w społeczeństwach należących kiedyś do Imperium Brytyjskiego: Australii, Kanady, Irlandii i oczywiście Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Czasownik „to establish" oznacza „ustanawiać", „tworzyć", a więc „establishment" to warstwa społeczna mająca moc do tworzenia projektów politycznych czy instytucji. Owszem, sama władza – członkowie rządu i inni wysocy urzędnicy państwowi – także składa się na establishment, ale ta nieformalna część elit jest większością, a w słabych państwach – czynnikiem władzy ważniejszym niż premier i prezydent.

My w Polsce jesteśmy przyzwyczajeni do pejoratywnej roli establishmentu – elity III RP zostały bowiem utworzone przy Okrągłym Stole i w restauracji Magdalenka, a selekcja członków nowej klasy rządzącej rzadko kiedy opierała się tam na kryteriach wartości propaństwowych czy na kompetencjach. O ile władze pierwszej „Solidarności" zostały wybrane we wrześniu 1981 roku, o tyle „Solidarność" przy Okrągłym Stole nie została wybrana przez dziesięciomilionowy ruch, tylko na podstawie arbitralnych decyzji bezpieki oraz PZPR i choć w niektórych przypadkach reżim źle obstawił (część rozmówców stała się później kontestatorami systemu), to jednak tak ustanowiony establishment zdominował polską politykę na przynajmniej ćwierć wieku, ale również dzisiaj potrafi zablokować decyzję legalnie wybranej władzy.

Establishment sędziowski

Jednym z najbardziej czytelnych sygnałów ustanowienia grupy wpływu w III RP była sprawa sądownictwa. Akurat czytelnikom „Nowego Państwa" czy „Gazety Polskiej", w których Dorota Ka-

7eedc793a0

nia, dr Jerzy Targalskk i Maciej Marosz w setkach artykułów opisywali patologie polskiego sądownictwa, nie trzeba nic wyjaśniać, ale zobrazujmy rolę establishmentu chociaż na jednym prostym przykładzie: sądownictwa.

Już podczas obrad Okrągłego Stołu wpływowym obrońcą PRL-owskich sędziów okazał się Adam Strzembosz. W filmie dokumentalnym Krzysztofa Nowaka według scenariusza Krzysztofa Nowaka i Jarosława Rybickiego pt. „Tu jest Polska", autorzy pokazują, jak wspomniany sędzia przekonuje w kuluarowych rozmowach, że – uwaga, dosłowny cytat – „My nie możemy w tej chwili zaczynać od weryfikacji sędziów. Taktycznie to jest fatalne".

Tymczasem minęło już 30 lat i „ta chwila", w której nie można zweryfikować sędziów, nadal trwa, to chyba najdłuższa „chwila" nowożytnej Europy. I tak oto postpeerelowski establishment potrafił ustanowić swoje zasady, które okazywały się silniejsze niż prawo. Jak opowiadał w jednym z wywiadów sędzia Maciej Nawacki, środowiska sędziowskie potrafiły zbojkotować ustawę lustracyjną z 11 kwietnia 1997 roku i zmusić władze do jej poprawienia.

„Przypomnę, że prawomocną ustawą stworzono wtedy sąd lustracyjny, do którego mieli się zgłaszać sędziowie chętni do orzekania w takich sprawach. Okazało się jednak, że takich sędziów nie ma. Ostracyzm w środowisku spowodował zablokowanie procesu lustracyjnego i konieczne były modyfikacje ustaw, by to w ogóle ruszyło" – opowiadał prawnik w lutym tego roku. Działalność postpeerelowskiego establishmentu wyostrzyła się wobec sprawy współpracy Lecha Wałęsy z bezpieką – pod presją środowiska i w ogólnej aurze świeckiej świętości byłego prezydenta ówczesny prezes IPN Leon Kieres potrafił w 2005 roku osobiście stawić się u dawnego lidera „Solidarności", by – wbrew faktom i dokumentom – zapewnić: „Różni mali ludzie próbują zabłysnąć poprzez bezpodstawne ataki na prezydenta Wałęsę. Ja zawsze będę publicznie potwierdzał swoją wiarę w niego i walczył z tymi haniebnymi praktykami, które niektórzy stosują. Lech Wałęsa otrzyma z IPN status pokrzywdzonego – to moje przekonanie graniczące z pewnością". Kieres w samym Instytucie ustanowił co prawda jednostkę do zbadania sprawy, w samym piśmie dla Lecha Wałęsy nie zaprzeczał, że współpracował on z SB, ale publicznie nie śmiał otwarcie przyznać, kim był tajny współpracownik „Bolek". Zamiast prawdy opinia publiczna słyszała: „Podkreślam dzisiaj z najwyższą starannością. Instytut nie przyznaje statusu pokrzywdzonego, bo ten status Lech Wałęsa sam swoją działalnością sobie przyznał. My tylko potwierdzamy".

Moc establishmentu zasadzała się na tym, że zarówno prawie wszystkie media atakowały Kieresa, ostrzegając, by nie powiedział za dużo, jak i wewnątrz państwowych instytucji wysyłano prezesowi IPN sygnały, że jego stanowczość w dochodzeniu do prawdy nie znajdzie uznania. Kuriozum zakłamywania rzeczywistości ze strony establishmentu wobec Lecha Wałęsy objawiło się w 2008 i 2009 roku. Najpierw monografia Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka „SB a Lech Wałęsa", a następnie biografia Lecha Wałęsy do 1989 roku autorstwa Pawła Zyzaka, wstrząsnęły opinią publiczną, ale – choć były napisane i wydane legalnie przecież – na autorów spadły represje. Ostracyzm społeczny i instytucjonalny, szykany w mediach, a także groźby i szantaże wzmacniane były medialnym przekazem o rzekomo wywrotowych intencjach historyków. Nawet dziś, choć żaden historyk nie zakwestionuje już autentyczności donosów TW „Bolka", to w TVN24 czy „Gazecie Wyborczej" byle szeregowy członek PZPR będzie obiektem ataku, jeśli akurat wspiera PiS, a najwięksi kapusie i kolaboranci komunistycznego reżimu wypowiadają się tam jak autorytety.

Establishment par excellence

Istnienie elit i establishmentu nie jest żadnym problemem, dopiero funkcjonowanie tychże jako elementu antypaństwowego, który nie solidaryzuje się ze wspólnotą narodową, ale czerpie korzyści ze społecznego rozkładu, jest patologią, która może pogrążyć kraj. Jednym z najbardziej upodlonych fatalnym establishmentem krajów Europejskich jest Mołdawia, gdzie poszukiwany przez policję burmistrz miasta Bielce potrafił uciec na kilkuletnią (!) „delegację" zagraniczną, stamtąd zarządzać miejscowością, prowadzić interesy i politykę, jednocześnie robiąc interesy z tymi, którzy wspierają nieprzychylny mu rząd. Czyli ustawodawstwo i wyroki sądowe idą swoją drogą, a przy kieliszku wódki ustanawia się rzeczywistość dokładnie odwrotną – i z takiego zwarcia to państwo okazuje się bezradne, a establishment – zwycięski.

Jednak sam establishment to po prostu grupa społeczna, często zamożna, wpływowa, wykształcona, dysponująca siecią kontaktów i wiedzą o państwie, która daje im możliwość zmiany polityki nieformalnymi metodami: towarzyskimi spotkaniami, presją, oddziaływaniem finansowym.

eprasa.pl 78edc793a0

Brytyjski publicysta Owen Jones, opisując współczesny establishment swojego kraju, tak podsumował tę elitarną grupę: „Dzisiejszy establishment jest złożony z potężnych grup, które potrzebują chronić swojej pozycji w demokracji, w której przecież cała dorosła populacja ma prawo głosu". Jones pisze z nutą niechęci, bo jest lewicowym aktywistą, który tropi i uderza w konserwatywny establishment brytyjski – ale to pokazuje, że właśnie i prawicowe elity mogą dobrze funkcjonować, nawet gdy do władzy przychodzą „progresywiści". Warto jednak odnotować istnienie takiej wpływowej grupy, która istnieje niejako obok demokracji, jest z nią połączona, ale czasem potrafi działać równolegle.

▶ Życie towarzyskie jako procedury władzy

Każda grupa interesu, która jest ze sobą powiązana nie tylko finansami i wspólnymi korzyściami, musi mieć formuły wymiany opinii i sposoby podejmowania decyzji. Jak się okazuje, z badań nad establishmentem takich autorów jak Carroll Quigley, Owen Jones, a z badań nad postkomunizmem – Jerzy Targalski, kierunki działań omawiane są bardzo często nieformalnie, sankcjonowane ustnie, bez żadnego śladu na piśmie. To nie żadna teoria spiskowa, tylko zwyczajny mechanizm międzyludzki. W 1989 roku w Magdalence Adam Michnik wznosił toast słowami: „Piję, panie generale, za taki rząd, w którym Lech będzie premierem, a pan ministrem spraw wewnętrznych" – co prawda nie było to ustalenie dosłowne, ale przecież kierunek zmian został wyznaczony – funkcjonariusze krwawego reżimu mieli stworzyć władzę z uzależnionymi od nich agentami bezpieki. Zresztą warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz – Adam Michnik, zaliczywszy epizod poselski w sejmie kontraktowym, stwierdził, że bezpieczniej i bardziej perspektywicznie jest – właśnie – tworzyć establishment jako redaktor naczelny potężnej gazety, niż użerać się z politykami w partyjnych utarczkach.

Ale rozważając idee ustanowienia propaństwowego establishmentu na przykładzie brytyjskich elit z początków XX wieku, można znaleźć podobne mechanizmy. Trudno o coś bardziej przeciwnego do postpeerelowskiej Polski jak imperialna Wielka Brytania – potężna, chrześcijańska, napędzająca rozwój cywilizacji. A jednak i tutaj establishment funkcjonował często poza formalnymi strukturami, bez dokumentów czy protokołów ze spotkań.

Organizatorem proimperialnego brytyjskiego establishmentu początków XX wieku był potężny milioner Cecil Rhodes, właściciel działek diamentowych w Afryce Południowej, który zgromadził wokół siebie myślicieli, polityków i przedsiębiorców, z którymi rozmawiał o przyszłości Korony Brytyjskiej. W jego kolonialnej rezydencji Groote schuur, dziś w Cape Town, stolicy RPA, spotykali się jego przyjaciele i współpracownicy – ale w ciągu kilku, kilkunastu lat stali się potężnym kręgiem polityczno-intelektualnym, który przebudował rozległe imperium. Można więc śmiało stwierdzić, że skonsolidowany, patriotyczny i anglosaski establishment początków XX wieku zrodził się przy kominku pod galerią skór zdartych z upolowanych na afrykańskim safari dzikich zwierząt – panowie przy drogiej whisky i grubych cygarach rozmawiali o reformie swojej ojczyzny, a potem rozjeżdżali się po całym świecie i stopniowo naciskali na rzecz omówionych rozwiązań. I tak oto brytyjski dyplomata Arthur Henry Hardinge (1859–1933) przyjmował idee Cecila Rhodesa, a zostając dyplomatą króla w Belgii, Persji czy Portugalii, mógł zbierać dodatkowe doświadczenia i przekazywać je ludziom Rhodesa, a w zamian mógł liczyć na wsparcie w swoich kolejnych awansach. Wokół diamentowego potentata rodziło się środowisko – prawnik Alfred Milner (1854–1925) otaczał się młodymi urzędnikami, których kształcił i inspirował do tego stopnia, że całe pokolenie południowoafrykańskich Brytyjczyków zyskało miano „przedszkola Milnera". Lionel Curtis (1872–1955) był prawnikiem, który także opiekował się „przedszkolem" Milnera, ale jako wykładowca Uniwersytetu w Oksfordzie oddziaływał na elity w samym Londynie. Inny bliski współpracownik środowiska, baron John Buchan (1875–1940), z uwagą chłonął pomysły towarzystwa na przebudowę imperium, jako jeden z nielicznych opisał istnienie i spotkania establlishmentu, a jako uważny słuchacz i rzecznik programu Cecila Rhodesa, został później wypromowany na samego gubernatora Kanady – trudno o bardziej wyraźną miarę wpływów tego grona. Panowie zresztą, funkcjonując w tych swoich nieformalnych gremiach, czasem je nazywali – a to „Przedszkolem Milnera", a to „Grupą Okrągłego Stołu" lub „Wszystkimi duszami". Carroll Quigley, który opisał ten establishment, wymienia ponad sto nazwisk wpływowych urzędników, którzy zajmowali wysokie stanowiska, od samego rządu w Londynie, przez najważniejsze kolonie, takie jak wicekrólestwo Indii, Kanada, Australia i Południowa Afryka, po katedry uniwersyteckie, opiniotwórcze gazety czy nawet kluby literackie. Cecil

eprasa.pl 78edc793a0

Rhodes przeznaczył nawet w testamencie sporą kwotę na wspieranie środowiska, co odnotowano w pierwszych pięciu wersjach jego dokumentu – gdy jednak milioner stał się zbyt sławny, pieniądze (dziś byśmy powiedzieli: fundusz) ustanowił poza testamentem i powierzył je głównie Alfredowi Milnerowi.

Widać z powyższego, że oficjalne instytucje nie są potrzebne do zawiązania się grup interesu. Doktor Jerzy Targalski, w swojej monumentalnej, pięciotomowej pracy o pieriestrojce opisuje, jak rozkazy dotyczące ustanowienia koncesjonowanej pseudoopozycji pod koniec lat 80. były formułowane ustnie. Plany można było umawiać na regularnych zjazdach oficerów czy nawet na krymskich albo gruzińskich urlopach – trudno więc znajdować konkretne dokumenty, zawierające informacje o planach przebudowy systemu sowieckiego, jednak pozostało wiele osobistych wspomnień czy pojedynczych notatek, na podstawie których da się odtworzyć sposób funkcjonowania takiego establishmentu. Można więc powiedzieć, że takie biesiady jak w Magdalence są ważnym czynnikiem elitotwórczym, choć oczywiście jedne imprezy tworzą dystyngowaną klasę obrońców ojczyzny, a inne – zdegenerowaną grupę pasożytów osłabiających państwo. Brytyjskie whiskey towarzyszyło więc rozmowom o wprowadzeniu Imperium Brytyjskiego w nowe czasy, zaś rosyjska wódka pod Warszawą lała się ze słowami o rozkradaniu kraju. Choć więc wszystkie establishmenty świata mają wspólne mechanizmy funkcjonowania (zwłaszcza towarzyski), to różnią się swoimi celami, inspiracjami, czyli – ujmując jednym słowem – ideą.

Różne establishmenty, różne idee

Już marksistowski prawnik prof. Stanisław Ehrlich, notabene nauczyciel i promotor Jarosława Kaczyńskiego, badał i obserwował, jak partie polityczne i grupy interesu w państwach kapitalistycznych są sprawniejsze, jeśli opierają się na spójnej i autentycznej idei. Widać to zresztą w biografii prezesa Prawa i Sprawiedliwości, który – oprócz licznych mechanizmów władzy – trzyma się także konkretnych wartości, pozwalających mu przetrwać rozmaite zawirowania najnowszej historii. Czy gdyby prawica w Polsce nie stawiała na wzmocnienie państwa, dekomunizację, suwerenność i wartości narodowe, to czy przetrwałaby oligarchizację kraju czasów SLD, tragedię smoleńską albo hegemonię Donalda Tuska? Idea każdego ruchu może być paliwem, które nie tylko realizuje dalekosiężne cele, lecz także pozwala członkom establishmentu awansować. Mamy więc tu zasadę win-win, zyskują i twórcy systemu, i zwykli obywatele.

Tym, co trzymało establishment anglosaski I połowy XX wieku, było utrzymanie potęgi Wielkiej Brytanii, ale na zasadach innych niż dotychczasowe. Bo trzeba przypomnieć, że królowa Wiktoria panowała na jednej szóstej powierzchni świata! Jak to utrzymać? Wieloletnia działalność armii i przede wszystkim kompanii handlowych pozwoliła zająć ogromne połacie na wszystkich kontynentach (może poza Ameryką Południową), jednakże oprócz profitów i potęgi, koszta utrzymania takich posiadłości były nie tylko ogromne, lecz wręcz niemożliwe do zrealizowania. II wojna burska z lat 1899–1902 była ostatnim dzwonkiem, czerwonym alarmem przed rozpadem anglosaskiej wspólnoty. Przecież dwie małe republiki Transwalu i Oranii, zamieszkane przez holendeskich kolonizatorów, sparaliżowały Wielką Brytanię na ponad dwa lata – logistyka zarządzania rozległymi terytoriami okazała się wyzwaniem wyczerpującym całe imperium. Transportowanie wojsk z dalekich kolonii, by wesprzeć Anglików w walce z Burami, zawieranie skomplikowanych układów w innych częściach imperium, by i tam nie doszło do buntu, wreszcie koszta finansowe tak peryferyjnej wojenki i łatwość, z jaką Cesarstwo Niemieckie podsycało konflikt, przywodziły na myśl elitom, że w takiej formule Imperium się nie ostanie. Zwłaszcza Cecil Rhodes, który był niekoronowanym władcą Południowej Afryki i był blisko wojennych wydarzeń, potrafił sobie wyobrazić, co by się stało z jego ojczyzną, gdyby kilka takich lokalnych rewolt wybuchło w różnych częściach świata.

Jak to w przypadku nieformalnych środowisk, nie mamy zapisów rozmów jego licznych i wpływowych gości, z którymi milioner omawiał sposoby na ratunek brytyjskiej Korony. Ze strzępów wspomnień, a przede wszystkim z późniejszych programów politycznych uczestników „Grupy Okrągłego Stołu", „Przedszkola Milnera" i „Wszystkich dusz", wiemy, o co chodziło imperialnemu establishmentowi – znamy ich ideę.

Jest tym ważniejsze i ciekawsze, że właściwie idea ta zdominowała myślenie o Imperium Brytyjskim – panowie wymyślili bowiem „Brytyjską Wspólnotę Narodów". System imperialny, po przebudowie, miał polegać na stworzeniu w miejsce podległych kolonii niepodległych państw, które jednak poprzez liczne porozumienia ekonomiczne, ale przede wszystkim przez oddziaływanie kulturowe, nadal będą związane – ze sobą i z samym Londynem. Tym,

eprasa.pl 78edc793a0

który ideę sformułował na piśmie, był wspomniany wyżej prawnik Llionel Curtis, który w 1916 roku wydał pracę „The Commonwealth of Nations" („Wspólnota narodów"). Warto wspomnieć, że było to już 14 lat po śmierci Rhodesa, a więc stworzone przez niego środowisko nadal funkcjonowało i rozwijało omawiane przed laty idee. Curtis pisał m.in., że „państwa, czy to autokracje czy wspólnoty, ostatecznie opierają się na służbie, a nie na partykularnej sile". Zdaniem prawnika wspólnota narodów powinna być „podobnie jak więź małżeństwa, która w gruncie rzeczy jest nie tyle umowna, co sakramentalna". Nie chodziło tu o idealistyczne podejście do polityki, lecz o konstrukcję imperium – żadna siła bowiem nie zespoliłaby jednej szóstej świata, gdyby nie było tu oddania i wspólnych interesów. W 1917 roku miała się odbyć imperialna konferencja, na której na szczeblu państwowym omówionoby kierunek przemian w Koronie Brytyjskiej. Wtedy to, za cichym przyzwoleniem środowiska Milnera, opublikowano artykuł „Nowe wyzwania dla Konstytucji Imperium". Autor naciskał, by reforma objęła kolonię do tego stopnia, że odległe ziemie będą miały własnych przedstawicieli, reprezentujących te kraje na arenie międzynarodowej, pod życzliwą opieką Londynu. Wkrótce potem na konferencji pokojowej w Paryżu, która kończyła I wojnę światową, w stolicy Francji zjawili się przedstawiciele wielu kolonii brytyjskich, zyskując tym samym status partnera międzynarodowego.

To jest szczególny typ establishmentu, który potrafi inspirować przemiany w trosce o przyszłość swojej ojczyzny. Przecież formalnie poszczególnym członkom „Przedszkola Milnera" opłacałoby się, żeby imperium było nadal represyjnym mechanizmem wykorzystywania kolonii – sami by się na tym dorobili. Takie grupy interesu, jakie tworzyli ludzie Cecila Rhodesa, śmiało można by nazwać prawdziwymi elitami.

Wiele z reform opracowywanych w salonach establishmentu imperialnego zostało wprowadzonych zbyt późno – gdy w 1947 roku Indie uzyskały niepodległość, ich pozostanie we „Wspólnocie Narodów" było jedynie nominalne, nie tak to sobie wyobrażali teoretycy imperium sprzed półwiecza. Uwalnianie kolejnych krajów ze statusu kolonii stało się bardziej wynikiem społeczno-politycznych konieczności niż dobrowolności brytyjskiej władzy – a jednak do dziś istnieje formuła „Commonwealth", w której funkcjonuje luźno ponad 30 państw. Jak na środowisko, które było przecież nieformalnym klubem towarzysko-intelektualnym, a nie oficjalnie zarejestrowaną partią polityczną, panowie od Cecila Rhodesa osiągnęli bardzo dużo.

Lista osiągnięć establishmentu III RP również jest bardzo długa, jednak bardziej antypaństwowa. Elity postkomunistyczne nie zadbały o niezależność energetyczną czy politykę historyczną odpowiadającą potrzebom narodowej tożsamości, nie powołały w kraju dynamicznych i nowoczesnych instytucji – to właśnie postkomuniści byli i są największymi przeciwnikami Centralnego Biura Antykorupcyjnego, Instytutu Pamięci Narodowej, Wojsk Obrony Terytorialnej czy Sądu Lustracyjnego, a stawali w obronie Wojskowych Służb Informacyjnych. A właśnie instytucje są jednym z podstawowych narzędzi wzmacniania i rozwijania państwa – rozumieli to zresztą Anglosasi z omawianych przez nas kręgów, którzy powołali sieć takich instytucji, jak na przykład jeden z najważniejszych na świecie think tanków badających stosunki międzynarodowe: Królewski Instytut Spraw Międzynarodowych, tzw. Chatham House. Chatham House powstał w... 1920 roku – ta ciągłość funkcjonowania propaństwowego establishmentu jest jednym z kluczy brytyjskiej prosperity – bez względu na partię, która akurat jest u władzy.

Prawicowy establishment

Idea tworzenia establishmentu mającego w swoim interesie wzmacniać państwo i pilnować jego powodzenia powinna przyświecać i nam – tu i teraz. Nie wiemy, jak długo jeszcze Zjednoczona Prawica będzie sprawować władzę w Polsce – przynajmniej trzy lata, może jeszcze jedną, następną kadencję. Niezależnie od tego w Rzeczpospolitej potrzebna jest cała klasa rodzimej odmiany Milnerów, Curtisów i Hardinge'ów, ludzi, którzy mając zaplecze finansowe, intelektualne i instytucjonalne, będą bronić Polski przed szaleństwami lewicy i liberałów, gdy te powrócą do władzy. To już się dzieje na naszych oczach – powstają i rozwijają się niezależne media, konserwatywni i propaństwowi intelektualiści wydają swoje znakomite książki, a niektóre instytucje wręcz słyną z zawiązywania prawicowego establishmentu. W tym ostatnim przypadku można by wymienić Kongres Polska Wielki Projekt, który już dziesięć lat pomaga rozwijać sieć powiązań ludzi zatroskanych przyszłością kraju. A jednak – wciąż jesteśmy daleko za establishmentem postpeerelowskim. Wciąż daleko prawicy do rozmachu Cecila Rhodesa i Alfreda Milnera, a tymczasem w szybko zmieniającym się świecie jak rzadko kiedy potrzebujemy silnych i zwartych elit. ■

eprasa.pl 78edc793a0

Małgorzata Matuszak

Pułapki współczesnego feminizmu

W założeniach swych feminizm był słuszną walką z niesprawiedliwością i upokarzającymi kobiety stereotypami. Niestety walka o równe prawa kobiet przerodziła się w pewnym momencie w walkę z tradycyjnym modelem rodziny, istotą kobiecości, macierzyństwa oraz stała się pretekstem do propagowania wolności seksualnej.

eprasa.pl 78edc793a0

Madeleine Albright powiedziała kiedyś: „W piekle jest specjalne miejsce dla kobiet, które nie wspierają innych kobiet". Jej słowa nie straciły na aktualności, musimy jednak zadać sobie pytanie, czy każde z haseł postulowanych przez pewne grupy kobiet, a przede wszystkim sposób ich artykułowania, wyraża myśli i pragnienia wszystkich kobiet? Trudno wszak łączyć się z głosem i zrozumieć panie określające się mianem współczesnych feministek, chcących być sumieniem wszystkich kobiet, zachowujących się i wyrażających w sposób, który godzi w istotę bycia kobietą, istotę kobiecości wręcz zatracający. Trudno też oprzeć się wrażeniu, że niektóre z nich traktują „społeczną misję" jako sposób realizacji własnych interesów albo zapominają o tym, że celem feminizmu nie jest sam feminizm, lecz dobro kobiet.

Z dziejów feminizmu

Według najprostszej słownikowej definicji feminizm to ruch na rzecz prawnego i społecznego równouprawnienia kobiet. Sam termin po raz pierwszy został użyty w 1895 roku i rozumiano go jako ogół działań i zachowań wyrażających wszelkie idee związane z emancypacją kobiet. Badacze tematu wyróżniają trzy jego etapy, tzw. fale feminizmu. Pierwszy obejmuje lata 1840–1920 i jest okresem wzmożonych działań kobiet nazywanych sufrażystkami (od łac. „suffragium", czyli „głos wyborczy"), pochodzących głównie z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Ruch ten miał na celu doprowadzenie do reform prawa wyborczego i prawa rodzinnego, a także poprawy ekonomicznych warunków życia kobiet. Drugi etap feminizmu datowany jest na przełom lat 60. i 70. XX wieku i objął swym zasięgiem głównie Stany Zjednoczone i niektóre kraje Europy Zachodniej, głównymi zaś jego postulatami było równouprawnienie na rynku pracy oraz kwestie dotyczące kobiecej seksualności i prawa do aborcji. Trzeci etap feminizmu przypada na lata 80. XX wieku i był przede wszystkim reakcją na fakt, że dotychczasowe działania feministek nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Feministki trzeciej fali poruszały kwestie wcześniej pomijane, takie jak problemy etniczne, rasowe, podziały ekonomiczne czy religijne.

Feminizm w formie znanej z krajów zachodnich zaistnieć w Polsce nie mógł. Jak pisze Marzena Zdanowska w „Znaku": „Kiedy Amerykanki walczyły z presją otoczenia, nakazującą im bycie idealną żoną czekającą w domu na powrót z pracy męża i jednocześnie bohatera wojennego, w Polsce najwyraźniejszy podział przebiegał nie na linii kobiety–mężczyźni, ale na linii społeczeństwo–władza". Agata Bielik-Robson w rozmowie dla „Europy" zwraca zaś uwagę na to, że polskie realia nie do końca wpisują się w model społeczeństwa *stricte* patriarchalnego. Zauważa ona, że „słabością teorii feministycznej jest przekonanie, że każde ludzkie społeczeństwo, bez względu na różnice czasu i miejsca, jest z istoty swojej patriarchalne: nieomalże wszelka władza równa się tu patriarchatowi, czyli władzy mężczyzn. Tymczasem społeczeństwo polskie wydaje się raczej nieoczywistą mieszaniną elementów patriarchalnych (władza polityczna) i matriarchalnych (władza domowa)". Nie oznacza to jednak, że polskie feministki nie miały i nie mają o co walczyć. Polskie kobiety dobrze wiedzą o tym, że ich życie jest w ich rękach.

Dobro kobiet

W założeniach swych feminizm był słuszną walką z niesprawiedliwością i upokarzającymi kobiety stereotypami. Feministki osiągnęły swym działaniem wiele, zmieniły życie kobiet na wielu płaszczyznach. Niestety walka o równe prawa kobiet przerodziła się w pewnym momencie w walkę z tradycyjnym modelem rodziny, istotą kobiecości, macierzyństwa oraz stała się pretekstem do propagowania wolności seksualnej. W opinii swej chcą dobra kobiet. Czy jednak to, o co toczą bój, jest istotnie dobrem dla kobiety?

Jeśli przyjrzymy się postulatom głoszonym przez feministyczne ruchy, okazuje się, że najczęściej mamy do czynienia z miksem retoryki antyklerykalnej, antykapitalistycznej, anarchistycznej i libertyńskiej. W szczególności atakowany przez feministki jest Kościół katolicki, który postrzegają jako strukturę hierarchiczną i skrajnie patriarchalną oskarżaną o wielowiekowe zniewolenie kobiet i ich nieustanną dyskryminację. Jak jednak pisała siostra Barbara Chyrowicz z „Znaku": „Nie mam gotowej recepty na to, jak [...] partnerstwo w Kościele realizować, nie mam jednak równocześnie wątpliwości, że jest ono możliwe tylko wtedy, kiedy [...] feminizm w Kościele nie będzie miał charakteru odwetu za lata, w których nakazywano w nim kobiecie milczeć". Tymczasem feministki bardzo często kierują się prawem odwetu, zarówno względem Kościoła, jak i wszystkiego, co według nich nosi znamiona patriarchatu, a więc także względem społeczeństwa jako takiego. Odwetem, który przybiera niekiedy formę bardzo agresywną.

Przyglądając się takiej postawie feministek, możemy dojść do wniosku, że godzi ona w samą istotę feminizmu. Jeśli bowiem zakłada on, że perspektywa – według nich – typowa dla mężczyzn, czyli promująca agresję, konflikt, konkurencję i dominację, powinna zostać zastąpiona perspektywą kobiecą, czyli taką, która opiera się na empatii, trosce oraz pełniejszym kontakcie ze środowiskiem, to ich działania temu przesłaniu zaprzeczają.

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

eprasa.pl 78edc793a0

Ostatnio przez Polskę przelały się fale protestów po tym, jak Trybunał Konstytucyjny uznał aborcję eugeniczną za niezgodną z polską konstytucją. Zainicjowały go właśnie środowiska feministyczne. Oczywiście nikt nie podważa tego, że kobiety w Polsce mają prawo do wyrażania własnego zdania, także w formie protestów. Żyjemy w wolnym kraju i jesteśmy wolnymi ludźmi. Trzeba jednak wziąć pod uwagę sam czas odbywania się demonstracji – organizowanie ich w sytuacji covidowej to skrajna nieodpowiedzialność. Zatrważające jest także zachowanie wielu pań zaangażowanych w sprawę i uczestniczących w protestach. Znaczna część kobiet nie jest w stanie utożsamić się z taką wulgarnością i agresywnością, jakie przejawiały najgłośniej krzyczące z pań.

Agresja i nieposzanowanie wartości

Jakim językiem posługują się niektóre feministki, można się przekonać, czytając na przykład wpisy Manueli Gretkowskiej na Facebooku. Zagorzała przeciwniczka PiS i jej wyborców, zachęcając do udziału w protestach, zachwycała się Martą Lempart, która w jej oczach urosła do miana bohaterki, wręcz męczenniczki o sprawę: „Zdjęcie Marty Lempart powalonej na chodnik jest wycinkiem rzeczywistości: Skazanie kobiet (wyrok Trybiku Konstytucjonalnego) i bicie ich przed egzekucją". Otwarcie też pisze o tym, że chore dzieci nie powinny się rodzić, że jest zwolenniczką aborcji i z pogardą wypowiada się o hospicjach perinatalnych: „Hospicjum perinatalne proponowane miłosiernie torturowanym Polkom, brzmi jak placówka zdrowia pośmiertnego. Logika tych poj..ów jest nieubłagana. Świętość życia będzie wymagać gwałcenia nie tylko prawa, ale i kobiet, żeby tę świętość wbrew ich woli (jak bycie w ciąży z niechcianym albo chorym płodem) wyegzekwować. Bóg tak chce, bo w ich mniemaniu jest nieskończonym ch.. em, pie..olącym kobiety".

Jak Marta Lempart zachowywała się podczas protestów, dobitnie pokazują nagrania. Na jednym z nich widać, że w pewnym momencie usiłuje sforsować szpaler i rusza na policjantów. Na innym słychać, jak krzyczy w kierunku policji: „Zamknij się, ku...a. Musimy coś z tym zrobić, ja pier...ę". I dalej: „Nic nie mogę zdecydować, bo za każdym razem, kiedy zaczynam mówić, wy włączacie to gów... No brawo, kur..., dla dowódcy. Myślenia, kur... trochę, dajcie nam się zastanowić". Warszawska policja skomentowała na Twitterze jej zachowanie następująco: „Zachęcanie innych osób do konfrontacji z policją, podburzanie do zachowań zagrażających bezpieczeństwu, prowokowanie sytuacji konfliktowych. Kolejny czytelny i jasny przykład takiego postępowania ze strony protestujących".

Podczas demonstracji dochodziło także do prowokacji w kościołach i przerywania Mszy świętych. Joanna Scheuring-Wielgus na przykład stanęła przed wiernymi z napisem: „Kobieto, sama umiesz decydować", a niektórzy postanowili użyć jeszcze bardziej dosadnych słów. Podczas mszy w jednej z parafii ktoś stanął przed ołtarzem z kartonem, na którym widniał napis: „Módlmy się o prawo do aborcji". Dochodziło także do przemocy fizycznej i wulgarnych obelg pod adresem Kościoła, kapłanów, wiernych, a także obrońców życia.

Feminizm a agresja

Dariusz Zalewski, wielki zwolennik i propagator klasycznej etyki wychowawczej, zastanawiając się nad przyczynami agresji u dziewcząt, dochodzi do wniosku, że ważną rolę w nasilaniu się tego zjawiska odgrywa właśnie feminizm. Według niego, feministki nie są w stanie go wyjaśnić, gdyż musiałyby przyznać, że dziewczyny są agresywne, bo przejmują męskie sposoby rozwiązywania problemów. By problem wytłumaczyć, trzeba by sięgnąć do ideału kobiecości, ale przecież zaprzeczyłoby to tym samym idei feminizmu. Jego zwolenniczki zakładają przecież, że stereotyp kobiety panujący w społeczeństwach jest wytworem kulturowym, a zatem tworem sztucznym, w dodatku narzuconym przez „wrogich samców". Ideał kobiecości nie może więc być dla nich celem, bo go nie uznają.

Feministki fakt wzrastającej agresji wśród dziewcząt wytłumaczyłyby raczej tym, że dziewczęta, krzywdzone przez szowinistycznych mężczyzn, mszczą się za swoje prześladowania. Tylko rodzi się, jak zauważa Dariusz Zalewski, w tym miejscu pytanie: jeśli za przyczynę agresji uznamy stereotypy płciowe, a feminizm w ostatnich latach poczynił postępy, to dlaczego brutalność dziewczyn jest dziś większa niż kilkanaście czy kilkadziesiąt lat temu? Przecież agresja powinna dzisiaj być mniejsza, skoro feminizm oddziałuje już tak długo niż, dajmy na to, w okresie międzywojennym. Tak więc wytłumaczenie zjawiska przez ten pryzmat kończy się fiaskiem. Zdaniem Dariusza Zalewskiego nie ulega zatem wątpliwości, że sensownym jego wytłumaczeniem wydaje się to, zgodnie z którym za zjawiskiem narastającej brutalności wśród dziewcząt stoi w dużej mierze feminizm. Oczywiście to niejedyna przyczyna, bo dochodzi tu jeszcze kwestia wychowania, patologii w rodzinie, ogłupiającej telewizji czy Internetu, niemniej jednak wątek feministyczny odgrywa tu ważną rolę.

Czy w tym kierunku powinny podążać ruchy feministyczne, które – w opinii swej – walczą o prawa i dobro kobiet? Zdecydowanie nie. Chamstwo i agresja nie powinny cechować kobiet. Mężczyzn zresztą także nie. ■

eprasa.pl 78edc793a0

Małgorzata Matuszak

Czym jest... symbolika gwiazd

Gwiazdy fascynowały ludzi od czasów prehistorycznych, na długo przed pojawieniem się rozwiniętych cywilizacji. Rozgwieżdżone niebo prowokowało do narodzin różnych teorii na temat powstawania gwiazd i nadawania im wielorakich znaczeń. Dziś, choć wiemy o nich już dużo, ich światło wciąż niesie z sobą tajemnice, których zgłębianie zdaje się jednak wciąż zajęciem bez końca. W wielu dawnych kulturach gwiazdy były uważane za kosmiczne okna bądź drzwi, przez które bogowie spoglądają na ludzi. A cóż może czuć współczesny człowiek, patrząc na gwiazdy? Przerażenie własną znikomością czy raczej zachwyt nad stwórczą mocą Boga? Jedno i drugie pewnie, nasz rozum buntuje się bowiem w konfrontacji z ogromem wszechświata.

Gwiazdy są kulistymi ciałami niebieskimi, powstałymi wskutek zapadania grawitacyjnego chmury materii składającej się głównie z wodoru. To mówi nauka. Ich piękno i tajemnica sprawiają jednak, iż gwiazdy wymykają się wiedzy tylko naukowej. Przypisuje się im znaczenie symboliczne i profetyczne. Ich różnorodności wymienić w tym miejscu nie sposób. Gwiazdy uznawane są za symbol idei boskiej, boskiego oka, anioła, boskiego ognia, światła, także niebiańskiego walczącego z ciemnością, mądrości, nieskończoności, nieosiągalnego ideału, wiecznej szczęśliwości, szczęścia, sukcesu, nadziei, losu i przeznaczenia. Symbolika ich jest niezwykle bogata, one same zaś, w opinii obserwujących je ludzi, zwiastować mogły wiele zdarzeń.

Harmonijny ruch gwiazd i planet nadawał rytm życiu człowieka, nagłe zjawiska na niebie wskazywały zaś na to, iż wydarzy się coś niezwykłego. Jak na przykład „spadająca gwiazda", mająca w potocznym mniemaniu moc spełniania życzeń. Przeświadczenie to wypływa z chrześcijańskich wierzeń, wedle których oznaczała ona przejście duszy z Czyśćca do Nieba, w związku z czym, skoro udaje się przed oblicze samego Boga, może „wziąć" ze sobą nasze życzenie, a ono, kiedy trafi do samego Wszechmogącego, ma większe szanse na spełnienie. „Spadająca gwiazda" w innych tradycjach symbolizować może jednak również inne wydarzenia: śmierć kogoś znaczącego czy też narodziny dziecka albo bóstwa.

Gwiazdy uważane są także za przewodników, zwłaszcza Gwiazda Betlejemska, tak ważna dla nas, chrześcijan, stanowiąca bowiem nieodłączny atrybut Bożego Narodzenia. Znaczenie jej pojawienia się na niebie opisane jest w Ewangelii według św. Mateusza. Czytamy tam, że gwiazdę tę widzieli Magowie ze Wschodu i że prowadziła ich ona całą drogę aż do nowo narodzonego Jezusa. Wydaje się, iż nie widział jej ani Herod, ani arcykapłani i uczeni w Piśmie, ani mieszkańcy Jerozolimy, wszyscy oni byli bowiem zaskoczeni i przerażeni tym, co usłyszeli od Magów. Oni zaś, prowadzeni przez Gwiazdę Betlejemską, przez Boże światło, dostrzegli w małym dziecku Wielkiego Króla, przed którym upadli na twarz i któremu złożyli dary: złoto, kadzidło i mirrę.

W wyznaniu wiary mówimy, że Chrystus jest Światłością, która zrodziła się ze Światłości. Światło gwiazdy, która zajaśniała nad Betlejem i doprowadziła Trzech Mędrców ze Wschodu do Jezusa, jest również symbolem przejścia z ciemności do światła, symbolem dochodzenia człowieka do światła. Dochodzenia, które nie może obyć się bez pomocy Boga, będącego Światłością samą. I symbolem rozpoznania Jej jako Boga.

W codziennym życiu często tracimy z oczu tę gwiazdę, która zdolna jest rozświetlić mroki naszego życia, wskazać właściwą drogę. Ona wciąż jednak nas zaprasza, tak jak przed wiekami zapraszała Mędrców, na spotkanie z Bogiem. Ważne, by wsłuchać się w siebie, w głos dobywający się z naszego wnętrza, dopraszający się, byśmy zatrzymali się i pomodlili o Światło. Jak w słowach kolędy: „O gwiazdo Betlejemska, zaświeć na niebie mym./ Tak szukam Cię wśród nocy, tęsknię za światłem Twym./ Zaprowadź do stajenki, Leży tam Boży Syn,/ Bóg – Człowiek z Panny świętej, dany na okup win". Gwiazda Betlejemska to znak, że narodziło się Dziecię, Syn Boży – Światłość świata. Niech się narodzi na nowo i w nas. ■

eprasa.pl 78edc793a0

Jak Kmicic bolszewików podchodził

Piotr Lisiewicz

Podczas Bitwy Warszawskiej porucznik Stefan Loth mając zaledwie 80 żołnierzy, zaatakował tabory bolszewików i wziął do niewoli 823 jeńców. Swoim oddziałem dowodził... leżąc na zdobycznej „dwukółce" z krwawiącą, przestrzeloną w kolanie nogą. Za tę akcję dostał Virtuti Militari. A potem nogę wyleczył i po wojnie został piłkarzem Polonii Warszawa, a następnie trenerem piłkarskiej reprezentacji Polski.

Uroczystość jubileuszowa kapitana drużyny Polonii – Stefana Lotha (z prawej) z okazji 15-lecia gry w piłkę nożną oraz 200. meczu w barwach klubu. Gratulacje składa kapitan Wisły Kraków – Henryk Reyman.

fot. NAC

O młodych legionistach, którzy szli w 1914 roku na wojnę, pisze się, że byli wychowani na Sienkiewiczu: naśladowali Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego czy Kmicica. Było w tym sporo prawdy. A opisany wyżej przypadek to nie był jedyny nieprawdopodobny wyczyn Stefana Lotha w czasie wojny z bolszewikami.

O przemianie bohatera wojny polsko-bolszewickiej – oprócz Virtuti Militari dostał cztery Krzyże Walecznych – w piłkarza tak pisał „Głos Ewangelicki": „Świecił on młodym pokoleniom przykładem hartu ducha i kultury fizycznej, dawał przykład, jak należy w dżentelmeński sposób walczyć do ostatniego tchu z ambicją i najwyższą odwagą".

Czy ślub, czy raut, czy śmierć, czy nowy klub

Cytat z „Głosu Ewangelickiego" pojawia się tu nie przypadkowo. Stefan był bowiem jednym z czterech synów bardzo szanowanego ewangelickiego pastora Augusta Lotha. Rodzina Lothów była w Warszawie na tyle znana, że jeden z kabaretów tak śpiewał o niej:

Ach, pastor Loth, pastor Loth, mąż co się zwie
Bez niego obejść się
Nie może nikt, nie może, nie
Czy ślub, czy raut, czy śmierć, czy nowy klub
Bez niego, ach, zawiązać się
Nic wszak nie może, nie! [...]
Czterech aż synów ma,
A każdy, każdy gra!
Ojcowie cni, wierzcie mi
Dla waszych cór mężów wzór.

Stefan Loth urodził się 28 maja 1896 roku w Grodźcu. Rodzina przenosiła się wraz z kolejnymi zmianami miejsc posługi ojca. Synowie na imię mieli Stefan, Jan, Wacław i Wiktor. W 1910 roku August Loth został proboszczem parafii Świętej Trójcy w Warszawie. Kabaretowa piosenka mówiła prawdę – wspierał on piłkarskie zaangażowanie synów, a sam zostać miał trenerem Polonii Warszawa.

Jako swój rok założenia klub podaje dziś 1911. Emigracyjny publicysta Zygmunt P. Bobin tak opisywał powstanie Polonii i udział w tym Stefana Lotha („Dziennik Związkowy", 6 listopada 1985 rok, rubryka „Z Bocznej Trybuny Sportowej"): „Dokonali tego młodzieńcy, którzy jako Polonia wystąpili jesienią 1911 roku, wspominani jako »Stara Polonia«. Wszyscy z nich w dodatku występowali w tej statusowo działającej Polonii. Tyle że nie w pierwszych dniach działalności statusowej, ale fakt ten spowodowany był szczególnymi okolicznościami. Kilku zawodni-

eprasa.pl edc793a0

ków »Starej Polonii« miało nazwiska o niemieckim brzmieniu (Janusz Muck, Stefan Loth), w dodatku niektórzy byli wyznania ewangelickiego. Ich rodziny ewakuowano w głąb carskiej Rosji, która prowadziła wojnę z kajzerowskimi Niemcami".

Efekt tego był taki, że zostali oni na jakiś czas wyeliminowani z działania klubu: „Nie było więc w Warszawie pierwszych polonistów, gdy powstała ta do dziś działająca Polonia [...]. W mieszkaniu p. Marii Gebethnerowej zebrało się 8 października 1915 roku 24 młodzieńców. Założyli Klub Sportowy Polonia, wybrali zarząd, na którego czele stanął Tadeusz Gebethner. Tadeusz Gebethner (ciężko ranny w czasie Powstania Warszawskiego – zmarł w obozie jenieckim w Altengrabow) był też kapitanem pierwszej drużyny piłkarskiej Polonii przez wiele lat".

Na stepach nadwołżańskich

Co działo się w tym czasie ze Stefanem Lothem? Stefan ukończył warszawskie Gimnazjum Filologiczne im. Reja. Ale maturę zdał już w Saratowie nad Wołgą, po czym otrzymał powołanie do rosyjskiej armii, z której gdy tylko była taka możliwość, ewakuował się do polskiego wojska powstałego w ogarniętej rewolucją Rosji.

Ważną rolę w tych wydarzeniach odgrywał jego ojciec. Z opisów wyłania się postać ewangelika, a jednocześnie żarliwego polskiego patrioty. W „Głosie Ewangelickim" odnajdujemy „Mowę prezesa Kolegjum kościelnego, p. J. Everta w kościele warszawskim na jubileuszu XXV-lecia pracy duszpasterskiej, ks. pastora Lotha".

Mówił on o ojcu Stefana: „Zbór nasz pamięta, żeś objął jego szkoły początkowe w ilości 15, a doprowadziłeś do 21, walcząc z trudnościami nie tylko materjalnej natury, lecz i z warunkami ówczesnej niewoli narodu, zawsze przytem pamiętliwy będąc o dobro dzieci szkolnych i ich nauczycieli. A gdy w lipcu 1915 r. nawałnica wojny i złość ciemiężyciela naszego narodu wygnała Cię na stepy nadwołżańskie, podjąłeś i tam, w Saratowie, pracę opieki nad ofiarami wojny, objeżdżałeś rozproszonych naszych współwyznawców i rodaków, podejmując liczne a uciążliwe podróże".

W innym z tekstów „Głos Ewangelicki" opisywał losy samego Stefana: „Porzuca szeregi wojsk rosyjskich, do których został wcielony na początek wojny, i organizuje na obczyźnie w Saratowie szeregi pierwszych oddziałów polskich, poczem dzieli dolę i niedolę żołnierza polskiego w korpusie gen. Dowbór-Muśnickiego". Epopeja losów korpusu Dowbora, stacjonującego w twierdzy Bobrujsk, to temat na oddzielną opowieść, tu odnotujmy, że wielu jego żołnierzom, w tym Lothowi, udało się koniec końców dotrzeć do Warszawy.

„Niech się podchorąży cofnie pod cerkiew"

W wydarzeniach sprzed 11 listopada 1918 roku i z samego tego dnia w Warszawie Stefan Loth odgrywał wedle świadków ważną rolę. Bohdan O. Jeżewski, ważna postać niepodległościowej emigracji, wspominał w czasopiśmie „Orzeł Biały" (cytuję za „Dziennikiem Związkowym" z 14–15 listopada 1986 roku), jak zetknął się z Lothem, będąc jeszcze żołnierzem podległym w miarę lojalnej wobec Prus Rady Regencyjnej. Pod datą 9 listopada zapisał: „O g. 11, na godzinę przed zmianą warty, otrzymałem rozkaz rozpędzenia wielkiej manifestacji »Bundu« i »Socjal-demokracji« posuwającej się w tej chwili na plac Saski. Wziąłem jedną drużynę swego plutonu i stanąłem oko w oko z tłumem manifestantów. Moje wezwanie, aby się rozeszli, nie odniosło skutku, tłum zaczął mój mały oddziałek okrążać. Nie posiadałem wprawy, jak zachować się w takich wypadkach, i mogłem zostać wraz z moją garstką żołnierzy zgniecony. W tej chwili zauważyłem przy sobie młodego człowieka w szarej kurtce legionowej, bez żadnych oznak, który cicho, ale wyraźnie dał mi słuszną radę: Niech się podchorąży cofnie pod cerkiew, bo inaczej was rozniosą".

Tym młodym legionistą o dużej sile przekonywania był Stefan Loth. „Usłuchałem. W oparciu o cerkiew i mając tyły zabezpieczone wydałem ostrzeżenie, że w wypadku nie rozejścia się wydam rozkaz strzelania. Ponieważ to nie poskutkowało, dałem salwę w górę. Kilku mężczyzn i parę kobiet rzuciło się na żołnierzy, którzy dla własnej obrony musieli użyć kolby, ja zaś szabli. Na szczęście przyszedł nam z pomocą pluton pchor. Tadeusza Wallicha, gdy nadeszła pora zmiany warty" – wspominał Jeżewski.

Wyciskające łzy wspomnienie o przejęciu przez Polaków Warszawy brzmi dalej tak: „W godzinach przedwieczornych pluton staje w pobliżu wartowni belwederskiej obsadzonej przez oddział niemiecki. Sam udaję się do pałacu. Posterunek niemiecki prezentuje broń. Po dłuższych pertraktacjach z adiutantem gen. gubernatora stają na przeciw siebie przed wartownią w Al. Ujazdowskich oddziały: polski i niemiecki. [...] W nocy z 9 na 10 listopada łączy się ze mną telefonicznie komendant szkoły pilotów niemieckich stacjonujących w gmachu b. Szkoły Podchorążych z 1830 roku obok pałacu w Łazienkach. Komunikuje, że jest oblegany przez POW, gotów się poddać, ale tylko wojskowemu. Prosi o podanie warunków i natychmiastowe przybycie, gdyż inaczej będzie stawiał opór. W ciemną noc, w towarzystwie

eprasa.pl 78edc793a0

podoficera i paru żołnierzy mego plutonu maszeruję przez park łazienkowski omijając posterunki peowiackie do gmachu, z którego przed 88 laty wyszli podchorążowie pod Belweder. Ogarnia mnie uczucie szczęścia i radości".

Sam na siedmiu bolszewików

W listopadzie 1918 roku Loth uczestniczył już w tworzeniu 36. Pułku Legii Akademickiej – formacji wojskowej warszawskich studentów. W 1919 roku jednostka ta walczyła z Ukraińcami na terenie Galicji. 10 stycznia 1919 roku Polacy, w tym pułk Lotha, wkroczyli do Lwowa. Ale entuzjazm nie trwał długo. Jego pułk bił się w okolicach miasta i poniósł wielkie straty. „Wkrótce młody Loth, niezwykle waleczny na polu bitwy, był jedynym oficerem w dwóch kompaniach karabinów maszynowych" – piszą autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej".

przód, by odbić tabory, porucznik Loth pod osłoną karabinu maszynowego uprowadza zdobycz. Do niewoli wzięto 823 jeńców, w tym kilkunastu oficerów! Loth dowodził oddziałem... na leżąco, ze zdobycznej dwukółki, z krwawiącą nogą przestrzeloną w kolanie".

Mózg Polonii

Po zwycięskiej wojnie Loth został w maju 1922 roku zweryfikowany w stopniu kapitana ze starszeństwem (z dniem 1 czerwca 1919 roku). Obok służby w wojsku życiem Stefana Lotha stała się gra w piłkę w warszawskiej Polonii. Do warszawskiej piłki trafili wtedy faktycznie wszyscy czterej bracia Lothowie, w ówczesnych sprawozdaniach sportowych odnajdujemy to nazwisko wraz z odpowiednim numerem – jest „Loth I" (Stefan), „Loth II" (Jan), „Loth III" (Wiktor) i „Loth IV" (Wacław).

Po śmierci Stefana Lotha „Głos Ewangelicki" napisał o nim: „wartości, które wniósł do życia, są nieśmiertelne i grób ich narodowi polskiemu nie odbierze! [...] Jego wielki duch żyje i żyć będzie nie tylko w pamięci, ale w Jego wielkich czynach oraz czynach tych, co pójdą Jego śladami!".

A potem była wojna z bolszewikami, która przyniosła największą sławę Stefanowi Lothowi.: „Zachowała się relacja z jednej z akcji wywiadowczych z udziałem por. Lotha. Miał on przedostać się na terytorium zajęte przez bolszewików na lewym brzegu Dniestru i zdobyć informacje o ich sytuacji. Wioska, w której stacjonowali Rosjanie, była bardzo silnie obsadzona. Mimo to Loth przeprawia się przez nią i przenika na 5 kilometrów wgłąb nieprzyjacielskiego terytorjum. W powrotnej drodze wziął do niewoli placówkę rosyjską w sile 7 ludzi i zdobył 1 karabin maszynowy. Od jeńców uzyskano sporo wiadomości o sile i rozmieszczeniu Rosjan".

Kolejna niesamowita akcja z udziałem Stefana Lotha, już jako dowódcy, rozegrała się już w czasie pościgu za bolszewikami. Aleksandra Wójcik i Magdalena Stokłosa piszą: „Pod Lachowcami, mimo zdecydowanie przeważających liczebnie sił wroga (Loth miał do dyspozycji zaledwie 80 żołnierzy), zdecydował się zająć ich tabory. Porucznik Loth z częścią oddziału rusza wprost na Hulowce [...]. Śmiałem uderzeniem zdobywa część taborów, bierze jeńców i zmusza oddział eskortujący do ucieczki za Horyń. Kiedy zorjentowany wreszcie przeciwnik rusza na-

Ryszard Czarnecki, związany ze sportem polityk PiS, autor wstępu do „Sportowców dla Niepodległej", tak pisał w „Gazecie Polskiej Codziennie" o 10 latach Stefana Lotha w warszawskiej Polonii: „W wieku 29 lat jest piłkarzem o największej liczbie rozegranych meczów w barwach Polonii – ma ich 181. Nazywano go »mózgiem Polonii«. Grał ostro – ale fair. W kwietniu 1926 roku rozgrywa dwusetny mecz w barwach Polonii. Do historii przeszło zdjęcie uścisku dłoni z innym wielkim piłkarzem, kapitanem reprezentacji Polski i krakowskiej Wisły, Henrykiem Reymanem". Dwukrotnie zdobywał tytuł wicemistrza Polski – w 1921 i w 1926 roku.

W gazetach z tego czasu odnajdujemy urywki relacji, które oddają rangę Stefana Lotha jako piłkarza Polonii. „Robotnik" z 10 lipca 1922 roku relacjonując mecz Polonia–Makabi Kraków, który zakończył się wynikiem 3:0, pisał: „W pomocy zaś na czoło wybijał się niezmordowany Stefan Loth, najpracowitszy gracz na boisku".

Autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej" wspominając rekord występów Stefana w Polonii dodają: „Zaledwie pięć spotkań mniej miał na koncie Jan. W roku jubileuszu dziesięciolecia klubu redakcja

eprasa.pl 78edc793a0

»Przeglądu Sportowego« w humorystycznym tekście o piłkarzach wskazała, jakie książki mogliby napisać na podstawie swoich doświadczeń. Stefanowi przypisano temat »Przez grę ostrą – do zwycięstwa«. Był nazywany mózgiem Polonii. Jego zalety sportowe, jak i wielkie moralne, były dla nas wzorem trudnym do naśladowania... To prawdziwy wzór sportowca dżentelmena".

Religia źródłem siły

Postawy czterech braci Lothów nie można opisać w oderwaniu od ich wielkiego ojca, ewangelickiego duchownego, a jednocześnie gorącego polskiego patrioty. Zupełnie odmiennego od niektórych liderów obecnych polskich mniejszości religijnych.

Wracamy do jubileuszowej relacji „Głosu Ewangelickiego" z 1924 roku. Czytamy, iż syn wielkiego jubilata Stefan grał w jej trakcie na wiolonczeli. Niezwykła jest w owej relacji mowa ks. Juliana Machlejdy, szkolnego kolegi pastora Augusta Lotha: „Od chwili, gdy do jednego przedziału wagonu siedliśmy w Warszawie, żeby udać się na studia, 12 lat już wonczas upłynęło naszej znajomości i koleżeństwa; jako małe pacholęta znaliśmy się i kolegowali w szkole. Nie ulega wątpliwości atoli, że dopiero zbliżenie w uniwersytecie, gdy młodzieńcy mają już przed sobą wytknięty cel życia i sąd dojrzalszy, jest charakteru trwalszego na całe życie".

I tu padają niezwykłe słowa ewangelickiego duchownego, które są zaprzeczeniem całego współczesnego podejścia do religii: „Jakakolwiek byłaby droga jednostki i narodu, jeżeli tylko posiadają religię, bije dla nich zawsze źródło odradzające zwątlone siły. Tego nie da nigdy ani filozofia, ani świecka moralność. Przekonanie to wyrosło z doświadczeń i rozmyślań człowieka, którego zawsze paliła sprawa znalezienia oparcia moralnego dla mas i jednostek".

Na koniec dodaje ksiądz Machlejda słowa, które pokazują, że ludziom, którzy życie przeżyli dobrze, nie powinno być straszne przejście na drugą stronę: „Oczywiście, drogi Kolego, zbliża się wieczór życia! Przygasa dla oka naszego światło i tryskający pełnią kras świat szarzeje. Zacierają się kontury krajobrazu, pełne tętno istnienia ścicha i idzie wieczór, wieczór życia, kiedy coraz częściej spoglądamy poza siebie. Tam są nasze uczucia, tam są nasze czyny, tam nasze nadzieje, tam zawady i tam podniosłe chwile gromadzenia sił i ruszania naprzód!".

Trener reprezentacji

Krótko po zakończeniu kariery piłkarskiej Loth został selekcjonerem reprezentacji, zastępując Tadeusza Kuchara. Pełnił tę funkcję ponad dwa lata – od połowy 1929 do jesieni 1931 roku. Wówczas pełnienie tej funkcji bywało wymienne, a wiele meczów miało status amatorski, jak starcia z drużynami Węgier i Czechosłowacji. Gdy później trenerem reprezentacji został Józef Kałuża, Loth jeszcze dwa razy opiekował się biało-czerwonymi jako trener – w meczach z Łotwą w latach 1932 i 1934.

„Porzuca szeregi wojsk rosyjskich, do których został wcielony na początek wojny, i organizuje na obczyźnie w Saratowie szeregi pierwszych oddziałów polskich, poczem dzieli dolę i niedolę żołnierza polskiego w korpusie gen. Dowbór-Muśnickiego".

W tamtych latach sportowcy często startowali w konkurencjach, których pogodzenie dzisiaj byłoby niemożliwe. Piłkarz Stefan Loth grał też w tenisa. Autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej" piszą: „Warto podkreślić, że Stefan Loth był też znakomitym tenisistą. W 1927 r. zdobył mistrzostwo armii; brał udział w meczach międzypaństwowych – również w grze mieszanej, w parze z najlepszą polską tenisistką Jadwigą Jędrzejowską. Na korcie, tak jak na boisku, był niezwykle szybki. Chwalono go za świetny serwis i smecz".

Stefan ożenił się Wandą Kwaśniewską, lekkoatletką Polonii. Jej osiągnięcia sportowej również były imponujące: pięć tytułów mistrzyni Polski w biegach na krótkich dystansach i w sztafecie oraz 11 rekordów kraju. Wanda była jedną z pionierek warszawskiego sportu, współzałożycielką kobiecej sekcji gier sportowych w Polonii. Stefan i Wanda dochowali się trójki dzieci: Janinki, Wiesia i Hani.

Zdjęcie

Stefan Loth należał w wojsku do najbliższych współpracowników dawnego legionisty, generała

eprasa.pl 78edc793a0

Gustawa Orlicz-Dreszera. Autorki „Sportowców dla Niepodległej" piszą: „Od 1925 r. Stefan służył w Oddziale Wyszkolenia Dowództwa Okręgu Korpusu Nr 1 w Warszawie. Cztery lata później był już majorem. Ukończył kurs w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie, po czym otrzymał przydział do Dowództwa 28. Dywizji Piechoty na stanowisko szefa sztabu. Zwieńczeniem kariery oficerskiej była służba w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych. Loth został II oficerem sztabu inspektora armii gen. Gustawa Orlicz-Dreszera, a w końcu – szefem jego sztabu. Jako długoletni współpracownik cieszył się ogromnym zaufaniem generała i był uważany za jedną z najbliższych mu osób w armii".

Wraz ze swoim dowódcą przyszło Lothowi zginąć, i to nie w czasie wojny. Ryszard Czarnecki pisał w „Gazecie Polskiej Codziennie": „Patrzę na zdjęcie generała Orlicz-Dreszera i jego współpracowników z lipca 1936 roku, zrobione w II Pułku Lotniczym w Krakowie. Na fotografii jest sześciu ludzi w wojskowych mundurach. Równo dwa tygodnie potem trzech z nich: sam generał, pilot-kapitan Aleksander Łagiewski oraz właśnie podpułkownik Stefan Loth wsiedli na pokład samolotu RWD-9".

Spóźnieni ratownicy

Stefan Loth zginął w wyniku awarii RWD-9 pod Gdynią-Orłowem. Sebastian Balcerowski z portalu historia.org.pl pisze: „16 lipca 1936 r. gen. Orlicz-Dreszer leciał awionetką RWD9 z Grudziądza do Gdyni, gdzie miał spotkać się ze swoją żoną Olgą, wracającą z Nowego Jorku na statku M/S Piłsudski. Lot generała był zatem lotem cywilnym, nie związanym z wykonywaniem funkcji wojskowego. Dreszerowi towarzyszyli pilot kpt. Aleksander Łagiewski oraz ppłk Stefan Loth".

Do katastrofy doszło o godzinie 14.14. Według świadków samolot nadlatujący od strony Sopotu na wysokości około kilometra zatoczył kilka okrążeń nad niemieckim żaglowcem szkolnym „Deutschland", po czym niespodziewanie skierował się w stronę lądu. Słychać było nierówną pracę silnika. Pilot prawdopodobnie usiłował wodować na płyciźnie lub lądować na plaży, czemu przeszkodził podmuch wiatru. Ostatecznie samolot spadł do wody, której głębokość wynosiła około 5 metrów.

Balcerowski pisze: „W czasie upadku awionetki gen. Orlicz-Dreszera na pobliskiej plaży w Orłowie znajdowało się wielu kuracjuszy, którzy bezpośrednio widzieli przebieg wypadku. [...] Kuracjusze w momencie zepchnięcia maszyny nad wodę przestali słyszeć pracę silnika. Pilot próbował zawrócić awionetkę w stronę lądu, ale zrobił to prawdopodobnie w zbyt gwałtowny sposób, co spowodowało urwanie tylnego steru".

Jednymi z pierwszych osób, które przybyły w pobliże samolotu, byli dwaj ratownicy Polskiego Czerwonego Krzyża – Ignacy Walczyk i Alojzy Karolewski. Dystans dzielący ratowników od unoszącej się na wodzie awionetki wynosił około kilometra. „Dotarli do niej po 10 minutach, gdyż silny wiatr utrudniał im dotarcie na miejsce. Dwie minuty przed nimi dopłynęli dwaj kajakarze, którzy również znajdowali się w pobliżu. Ratownicy, nurkując, chcieli dostać się do wnętrza kabiny, Walczyk próbował wykorzystać w tym celu uszkodzone na szerokości 40 cm okno po lewej stronie. Rozbita szyba świadczyć mogła o dramatycznej walce o życie, jaka rozegrała się w kokpicie" – pisze Balcerowski.

Dobry bój

Po śmierci Stefana Lotha „Głos Ewangelicki" napisał o nim: „Wartości, które wniósł do życia, są nieśmiertelne i grób ich narodowi polskiemu nie odbierze! [...] Jego wielki duch żyje i żyć będzie nie tylko w pamięci, ale w Jego wielkich czynach oraz czynach tych, co pójdą Jego śladami!".

9 sierpnia 1936 roku w „Głosie Ewangelickim" czytamy, kto pojawił się na pogrzebie: „Rodzina Zmarłego tragiczną śmiercią podpułkownika Stefana Lotha, przedstawiciele władz wojskowych, poczet sztandarowy K. S. Polonia oraz liczne grono tych, dla których śmierć Zmarłego była bolesnym ciosem. Liturgję odśpiewał ks. Hławiczka, przemówienie poświęcone osobie Zmarłego i Jego Zasługom, wygłosił ks. Z. Michelis, biorąc za podstawę słowa ap. Pawła: »Dobry bój bojowałem, biegu dokonałem, wiary dochowałem«".

Autorki „Sportowców dla Niepodległej" relacjonują: „Ceremonię pożegnania gen. Orlicz-Dreszera, ppłk. Lotha i kpt. Łagiewskiego zorganizowano na Oksywiu. Ciało ppłk. Lotha zostało przewiezione do Warszawy, gdzie 21 lipca odbył się pogrzeb. Trumnę nieśli jego przyjaciele z armii, a w kondukcie żałobnym szli przedstawiciele Polonii Warszawa. Stefan Loth został pochowany w rodzinnym grobowcu na cmentarzu ewangelickim. Jeden z warszawskich dzienników napisał: Stefana Lotha już nie ma na świecie. Zginął na posterunku jak sportowiec – i jesteśmy pewni, że śmiało zajrzał w oczy śmierci, podobnie jak bez zmrużenia oka szedł naprzeciw bolszewickim kulom". ■

eprasa.pl 78edc793a0

Dariusz Jarosiński

CZARNYSZEWICZ. ŚWIAT, KTÓRY ZAGINĄŁ

W lipcu minęła 120. rocznica urodzin Floriana Czarnyszewicza, autora „Nadberezyńców", fascynującej książki, nie bez powodu porównywanej przez literaturoznawców z arcydziełami polskiej literatury, m.in. z „Panem Tadeuszem", „Nad Niemnem", nazywanej też „Panem Tadeuszem XX wieku". Książka porusza naszą uśpioną pamięć o najdalszych polskich Kresach, które w 1921 roku znalazły się po wschodniej stronie granicy ryskiej i zostały włączone do Rosji sowieckiej.

Florian Czarnyszewicz przemawia w czasie patriotycznych uroczystości w Berisso

eprasa.pl 78edc793a0

Polonijne uroczystości. W środku siedzi Florian Czarnyszewicz

Polski zaścianek na Białorusi

fot. Arch.

Bobrujsk, przełom XIX i XX wieku

Lektura „Nadberezyńców" nie pozostawia cienia wątpliwości, że zdradziliśmy polskie Kresy. Wypchnęliśmy z naszej narodowej świadomości wielkie dziedzictwo duchowe i kulturowe. Pusto brzmią dzisiaj takie nazwy jak Bobrujsk, Mińsk, Berezyna. Odcięliśmy się od tego, co nas przez wieki jako naród kształtowało.

Gorzka historia utraconej małej ojczyzny

Akcja „Nadberezyńców" toczy się w latach 1911 –1920, w rodzinnych stronach autora, w zaścianku szlacheckim w pobliżu Bobrujska, w widłach rzeki Berezyny i Dniepru. Ziemie te zagarnęła carska Rosja w XVIII wieku w czasie rozbiorów Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Mimo wielu przeciwności losu, dzięki patriotycznej postawie szlachty zaściankowej, na wschodnich rubieżach trwała polskość i nierozerwalnie z polskością związana religijność katolicka. Odrodzona w 1918 roku Rzeczpospolita obeszła się po macoszemu z Polakami zabiegającymi o powrót do Macierzy Kresów I Rzeczypospolitej. Na mocy podpisanego w marcu 1921 roku w Rydze traktatu pokojowego polscy politycy oddali te ziemie Rosji bolszewickiej. Negocjujący w Rydze nasi przedstawiciele zachowali się tak, jakbyśmy wojnę z bolszewikami przegrali.

Powieść Floriana Czarnyszewicza „Nadberezyńcy" jest wyrzutem sumienia wobec polskich polityków, gorzką historią utraconej małej ojczyzny. Powieść poprzedza smutna dedykacja: „Miłym Ziomkom znad Berezyny trwającym w wierności Ojczyźnie, ten opis krzywd doznanych od władz i pobratymców, opis triumfów i bolesnych rozczarowań, co nas spotkały w okresie zmagań o umiłowanie nasze – poświęcam i pozdrawiam Was, gdziekolwiek jesteście. Autor".

Czarnyszewicz potwierdził swój talent literacki w trzech innych powieściach opisujących losy kresowej szlachty zaściankowej: „Wicik Żywica", „Losy pasierbów", „Chłopcy z Nowoszyszek". Z przykrością należy to powiedzieć, ale mimo świetnych recenzji twórczość Czarnyszewicza nie ma większych szans na znalezienie się w kanonie literackim, bo ani polskość, ani patriotyzm, ani przywiązanie do tradycji, religii katolickiej nie są dzisiaj cenione przez środowiska dominujące w polskiej kulturze, a wręcz zwalczane i wyszydzane.

W Bobrujsku Polska się zaczęła

W lipcu 1917 roku generał wojsk rosyjskich Józef Dowbor-Muśnicki zorganizował na Białorusi z żołnierzy Polaków służących w Armii Imperium Rosyjskiego I Korpus Polski w składzie trzech dywizji piechoty liczący około 30 tysięcy żołnierzy. Do Korpusu dołączyli licznie kresowiacy, również ci znad Berezyny. Dzielnie wal-

epras.pl/7edc793a0

czyli z bolszewikami z nadzieją na odzyskanie niepodległości. W czasie walk poległy 2 tysiące polskich żołnierzy. Generał Dowbor-Muśnicki zdobył z rąk bolszewików m.in. twierdzę w Bobrujsku, Mińsk, Mohylew i wiele innych miejscowości. Powstała wolna „Polska Dowborowa", nazywana też Rzeczpospolitą Bobrujską, sięgająca od Słucka do Dniepru, do której przybywali Polacy z Rosji, Białorusi i Ukrainy.

„W Bobrujsku Polska się zaczęła, która ma być na całym naszym kraju" – mówi jeden z bohaterów „Nadberezyńców" Czarnyszewicza. „No bo jakżeż mógł nie cieszyć się człowiek? Gdzie nie spojrzy, w którą stronę się nie obróci: od Zielonki do cmentarza, od Nazarówki do wież kościelnych – wszędzie łopocze w takt twojego stęsknionego serca biało-czerwona chorągiew, srożą się białe orły, rysują się szkarłatem polskie napisy, dźwięczy słodką nutą harfy mowa polska, dochodzi echem alleluja chór pieśni żołnierskiej. O wiosnoż nasza dowborowa! Dumo nasza! Nagrodo za długoletnie szykany i krzywdy ciemiężców! Najsłodszy kwiecie naszego żywota! Wspomnienie, kojące ból tęsknicy, w długiej dalekiej tułaczce!".

Zapanowała wielka radość w sercach Polaków. „Opanowany przez polskie oddziały w lutym 1918 r. Bobrujsk stał się prawdziwą stolicą polskiego państewka na dalekich kresach I Rzeczypospolitej. Była to pierwsza enklawa wyzwolonej i zupełnie niezależnej od któregokolwiek z zaborców Polski. To wówczas na odległych kresach, a nie w listopadzie 1918 r. w centralnej Polsce, zaczęły powstawać zręby polskiego państwa, gdzie żołnierza regularnej polskiej armii nie widziano przynajmniej od 1791 r., jeśli nie liczyć wyprawy Napoleona na Moskwę w 1812 r. Było symbolicznym faktem, że gdy obradująca w Wilnie pod niemiecką kuratelą litewska Taryba (16 lutego 1918 r.) ogłaszała zerwanie wszystkich więzi łączących Litwę z Koroną Polską, to właśnie na terenach historycznego Wielkiego Księstwa Litewskiego odradzała się polska państwowość i jej armia" – pisał dr Wojciech Muszyński. Generał Dowbor-Muśnicki, nie uzyskawszy poparcia Rady Regencyjnej, zmuszony został do złożenia broni Niemcom. W lipcu 1918 roku rozformował Korpus Polski i opuścił twierdzę Bobrujsk. Na początku stycznia 1919 roku Naczelna Rada Ludowa delegowała generała Dowbor-Muśnickiego, wybitnego dowódcę, na przywódcę powstania wielkopolskiego.

Kiedy Niemcy opuścili wschodnią Białoruś, nadeszli bolszewicy. „W ślad za Niemcami ciągnęły watahy drugich barbarzyńców – pisał w »Nadberezyńcach« Czarnyszewicz. Bandy to raczej były partyzanckie, nie wojsko, jednak i tych nie było komu zatrzymać".

Pod koniec sierpnia 1919 roku nad Berezynę dotarł z 14. Dywizją Wielkopolską generał Daniel Konarzewski, przyjaciel i najbliższy towarzysz broni generała Dowbor-Muśnickiego. Było to już Wojsko Polskie odrodzonej Rzeczypospolitej. Generał Konarzewski ponownie odbił Bobrujsk, Kliczew i Mińsk z rąk bolszewików. Wielkopolskie oddziały generała Konarzewskiego, mimo iż posiadały świetne uzbrojenie, m.in. dysponowały czołgami, trzema eskadrami lotniczymi, wycofały się jednak z wcześniej zajętych terenów i zatrzymały się na linii Berezyny. Jedynie sporadycznie wypuszczały się na drugą stronę rzeki. Wielu młodych chłopców z polskich zaścianków zgłosiło się do wojska generała Konarzewskiego. Do służby zaciągnął się też Florian Czarnyszewicz – otrzymał zadania jako wywiadowca, prowadził działalność szpiegowską na rodzinnej ziemi między Berezyną a Dnieprem, zwalczał bolszewickich agentów. Kiedy w lipcu 1920 roku bolszewicy ruszyli na Polskę, Czarnyszewicz zaciągnął się do wojska i służył już jako żołnierz frontowy. Wziął udział w bitwie pod Warszawą, a następnie w walkach o Grodno i Lidę w bitwie niemeńskiej. Wojnę zakończył udziałem w tzw. buncie gen. Żeligowskiego, będącego w istocie zaplanowanym przez Józefa Piłsudskiego zajęciem Wilna.

Akcja powieści Czarnyszewicza kończy się na początku 1920 roku, a więc kiedy jeszcze Nadberezyńcy mieli nadzieję na powrót do Macierzy.

▶ Zmarnowane zwycięstwo

Odrodzona w 1918 roku Rzeczpospolita obeszła się po macoszemu z Polakami zabiegającymi o powrót do Macierzy dalekich Kresów. Na mocy podpisanego w marcu 1921 roku w Rydze traktatu pokojowego polscy politycy oddali te ziemie bolszewikom. Zwycięstwo odniesione w wojnie z bolszewikami zostało zmarnowane w czasie rokowań w Rydze. Przy stole negocjacyjnym dały o sobie znać partyjne animozje, otwarcie była zwalczana koncepcja federacyjna Józefa Piłsudskiego. Endecy uważali, że Rzeczpospolita nie powinna być zbyt daleko wysunięta na wschód, aby w jej granicach nie znalazły się nieprzychylne Polsce mniejszości narodowe, socjaliści uznali, że lepiej będzie, jeżeli duże majątki ziemskie, kresowe latyfundia, znajdą się po stronie Rosji sowieckiej. Niejasna była też postawa marszałka Józefa Piłsudskiego. Bolszewicy byli zaskoczeni, że polska delegacja lekką ręką oddała im swoją ziemię.

Profesor Marian Zdziechowski, wybitny filozof, konserwatysta, nie zostawił suchej nitki na polskiej delegacji biorącej udział w negocjacjach w Rydze. „Po zwycięskim w 1920 r. odparciu najazdu my, zwycięzcy, zawarliśmy z pokonanym wrogiem pokój, o jakim dotychczas nie słyszano w historii. Stanęliśmy przed nim jako strona pobita, prosząca uniżenie, o zmiłowanie żebrząca. Komisarze bolszewiccy w słusznym przeświadczeniu, że Polska zażąda przesunięcia granic swoich aż po Berezynę i Dniepr, naka-

eprasa.pl 78edc793a0

zali ewakuowanie ruchomego majątku z całego obszaru Orszy i Smoleńska. My zaś, ku ich zdumieniu, zamiast zatrzymać przy sobie zagarnięte przez nas i do nas garnące się obszary, oddaliśmy im na pastwę i śmierć te nawet, które w ręku naszym były. Przeszliśmy przez nową Targowicę" – pisał profesor Zdziechowski.

Okrutny los spotkał Polaków znad Berezyny, z Mińszczyzny, którzy pozostali w rodzinnych stronach po 1921 roku. Szczególnie dotkliwe represje dotknęły tych Polaków, którzy wzięli udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Polskie majątki zostały rozkułaczone, skolektywizowane. Bolszewicy w ramach Operacji Polskiej NKWD w latach 1937–1938 dokonali czystki etnicznej i zamordowali ponad 111 tys. Polaków strzałem w tył głowy, prawie 29 tys. deportowali na Syberię. Trudno nie zadać pytania: jak się czuli nasi politycy, którzy podpisali traktat ryski i wydali na pastwę bolszewików ponad półtora miliona Polaków?

Epopeja o zmierzchu polskości

Długi czas niewiele wiedzieliśmy o życiu autora „Nadberezyńców" – jeszcze nie tak dawno nawet rok urodzenia pisarza nie był pewny. To dzięki badaniom, dociekaniom Bartosza Bajkowa, Diany Maksimiuk, Pauliny Subocz-Białek i Ireneusza Staronia pojawiły się publikacje wiążące drobne nitki jego biografii w całość. Nie jest to zadanie łatwe, zważywszy, że pisarz przez 40 lat mieszkał w Argentynie, na uboczu, nie uczestniczył w życiu literackim polskiej emigracji. Ważnym źródłem wiedzy na jego temat pozostają listy, które są rozproszone. Duże zasługi w promowaniu twórczości pisarza znad Berezyny mają prof. Maciej Urbanowski oraz dr hab. Krzysztof Polechoński. W ocenie Urbanowskiego „Nadberezyńcy" to „jedna z najważniejszych i najpiękniejszych powieści polskich XX wieku". „Nadberezyńcy" „znakomicie kontynuują tradycję XIX-wiecznej powieści realistycznej i zarazem idą pod prąd dominujących w XX wieku tendencji głoszących śmierć powieści czy wyczerpanie się epiki. Czarnyszewicz naiwnie, ale prowokacyjnie sięga po wzorce gawędy szlacheckiej, literatury przygodowej i romansowej, sielanki, utopii perswazyjnej, powieści-rzeki i tworzy jedną z ostatnich, a może ostatnią epopeję w literaturze polskiej, epopeję o zmierzchu polskości".

Krzysztof Polechoński doszukuje się pokrewieństwa twórczego Czarnyszewicza i Sergiusza Piaseckiego. Obaj pochodzili z Kresów, obaj byli samorodnymi pisarzami. „[...] ich twórczość wykazuje sporo podobieństw [...].Widocznymi cechami ich pisarstwa są m.in. przywiązanie do autobiografizmu i autentyzmu jako zasady twórczej, traktowanie literatury w kategoriach świadectwa, dbałość o lokalny koloryt oraz przyrodzony dar narracji".

Mój życiorys nieciekawy

Florian Czarnyszewicz urodził się 2 lipca 1900 roku w szlacheckim zaścianku na środkowej Białorusi, nad rzeką Berezyną, koło Bobrujska, w dawnym Wielkim Księstwie Litewskim. Zdaniem Bartosza Bajkowa książkowa Smolarnia to rodzinna wieś Przesieka Druga, położona kilka kilometrów na wschód od miasteczka Kliczew; w powieści miasteczko to nazywane jest Wończa. Florian miał czworo rodzeństwa – starszego o rok brata Feliksa, młodszych braci Stanisława i Bernarda, najmłodszą w rodzinie była siostra Wiktoria. Brat Feliks w wieku 15 lat, w 1914 roku, wyjechał do Ameryki. Tam zdobył tytuł inżyniera, otrzymał obywatelstwo amerykańskie. To bodajże Bartosz Bajków dopatrzył się, że jego wnukiem jest wokalista zespołu Aerosmith Steven Tyler.

O życiu pisarza możemy dowiedzieć się co nieco z listów pisanych przez autora „Nadberezyńców" do Józefy Radzymińskiej, pisarki walczącej w Powstaniu Warszawskim, którą poznał w 1951 roku w Argentynie. Józefa Radzymińska otoczyła dużą pomocą pisarza amatora, dzięki niej m.in. nawiązał kontakt z pisarzami pochodzącymi z tych samych stron co on, wygnańcami z Kresów, a mianowicie z Michałem Kryspinem Pawlikowskim, Melchiorem Wańkowiczem, Marią i Józefem Czapskimi. Z listu pisanego 26 listopada 1956 roku: „Droga Paniusia. [...] Mój życiorys nieciekawy. Urodziłem się 2 lipca 1900 roku za Berezyną. Tam przeleciały mi miłe młodzieńcze lata. Naukę przerwałem w czwartej średniej »Gorodskoje Uczyliszcze«. Polską pisownię (tak jak piszę z błędami) zawdzięczam domorosłym nauczycielom tajnych polskich szkółek. Później kilka razy sam pełniłem dorywczo misję takiego nauczyciela. Brałem czynny udział w walce orężnej z bolszewikami, wpierw jako wywiadowca, później jako żołnierz frontowy w pierwszej linii. Po zwolnieniu się z wojska dwa lata z górą służyłem w policji na Wileńszczyźnie. W ostatnim półroczu mego pobytu w Kraju byłem wiejskim »adwokatem«, pisałem ludziom podania do sądu i urzędów administracyjnych. Do Argentyny przyjechałem w sierpniu 1924 r. Pracowałem trochę przy kolei, trochę na »koseczy« [przy żniwach – przyp. D.J.] i w końcu dostałem się do frigorifrico [chłodni – przyp. D.J.] Armour w Berisso, gdzie przepracowałem 31 lat. Zawsze brałem czynny udział w życiu polskich towarzystw. Jestem członkiem »honorowym« Związku Polaków w Berisso. Parę lat temu Rząd Polski na Wygnaniu nadał mi Złoty Krzyż Zasługi".

Józefa Radzymińska zapamiętała takim Czarnyszewicza: „Był wysokim, ale raczej szczupłym mężczyzną. Sprawiał wrażenie nieśmiałego, odzywał się i przemawiał cichym głosem. Spokojny i opanowany wypowiadał się rzeczowo, konkretnie, odważnie, kry-

eprasa.pl 78edc793a0

tycznie, a nawet bezkompromisowo. Bronił swoich przekonań. Zaangażowany społecznie, nie zadbał o siebie, rujnując sobie zdrowie ciężką pracą w przemysłowej chłodni. Skromny, miły i sympatyczny. Nie gonił za pieniądzem. Nie nadużywał, a może i wcale nie pił alkoholu. Nie grał w karty. Na emeryturze lubił prace w ogródku, sadzenie i pielęgnację roślin. Religijny i patriotyczny".

Gwoli uzupełnienia zdawkowego życiorysu. Na początku 1921 roku, po zakończeniu wojny z bolszewikami, Florian Czarnyszewicz został zdemobilizowany. Po zawarciu traktatu ryskiego nie mógł już wrócić do swego rodzinnego zaścianka. Za nową, ryską granicą pozostali rodzina, rodzice i rodzeństwo. W niedługim czasie represje sowieckie dosięgnęły rodzinę Czarnyszewiczów, odebrano im gospodarstwo rolne i skolektywizowano, brat Floriana Bernard został w 1937 roku aresztowany przez NKWD i rozstrzelany w twierdzy bobrujskiej.

Przyszły pisarz zatrudnił się w policji, służył na posterunku w Wojstomiu w powiecie święciańskim na Wileńszczyźnie. Co ciekawe, po pracy pobierał prywatne lekcje z gramatyki, historii i literatury polskiej, jakby przygotowując się do pracy pisarskiej. W 1922 roku ożenił się ze Stanisławą Ptosko. Rok później przyszła na świat córka Władysława. Córka była jedynym dzieckiem Czarnyszewiczów. Warto przy okazji wspomnieć, że w czasie II wojny światowej wyjechała do Anglii, gdzie w 1944 roku, po odbyciu przeszkolenia w Pomocniczej Lotniczej Służbie Kobiet, służyła jako radiooperatorka na lotnisku w Newton. Do Argentyny wróciła w 1949 roku.

Notatki po godzinach

W 1923 roku Czarnyszewicz odszedł z pracy w policji, bo jak pisał w liście do Marii Czapskiej, został z niej „wyżarty" – nie godził się na nadużycia, nieetyczne zachowania, bolało go też, że on, bohater wojny z bolszewikami, patriota, został nazwany obcokrajowcem. Honor mu nie pozwalał dalej pracować w takim środowisku. Był mężczyzną wrażliwym. Musiał czuć się mocno rozżalony, rozczarowany odrodzoną Rzeczpospolitą, skoro w 1924 roku zdecydował się na wyjazd do Argentyny. Dziesięć lat wcześniej do Argentyny wyjechał wspomniany już brat Floriana, rodzinę tam posiadała też żona Stanisława. Do Buenos Aires dopłynęli 20 sierpnia 1924 roku. Początkowo, aby utrzymać rodzinę, imał się różnych prac dorywczych, dopiero po paru miesiącach znalazł stałą pracę w Berisso, mieście oddalonym o 60 kilometrów do Buenos Aires. Zatrudnił się w amerykańskim koncernie Frigorifico Armour de La Plata S.A., rzeźni – chłodni. Przepracował w tej firmie 31 lat. Praca była niezwykle ciężka, dźwigał na ramionach mięso zarżniętych krów. Częste zmiany temperatury – przejścia z chłodni do rozgrzanego słońcem dworu – na pewno źle wpływały na organizm. Nic dziwnego, że nabawił się astmy, choroby serca, narzekał na bóle głowy, kaszel, ogólne osłabienie.

Wkrótce po osiedleniu się w Berisso Czarnyszewicz wstąpił do Towarzystwa Polskiego, polonijnej organizacji, która po połączeniu się z Kołem Polskim, utworzyła Związek Polaków. W 1930 roku ze składek polskich emigrantów, również Czarnyszewicza, powstał budynek Domu Polskiego. W Związku Polaków pełnił przez długi czas funkcję członka zarządu. Córka Władysława była pilną uczennicą polskiej szkółki imienia Henryka Sienkiewicza, prawdopodobnie należała też do polskiego harcerstwa.

Czarnyszewicz bardzo przeżywał niepokojące wiadomości, które docierały do niego w listach od rodziny, która pozostała za Berezyną. Może te złe wiadomości stały się impulsem, że zakupił zeszyty i postanowił prowadzić pamiętnik rodzinnych stron, może w ten sposób chciał koić ból tęsknoty. Z czasem pamiętnik przerodził się w kronikę, a ta w powieść. Historia Stacha Bałaszewicza jest w wielu fragmentach porte parole autora, jednak na pewno nie można uznać „Nadberezyńców" za powieść autobiograficzną.

Trudno nawet sobie wyobrazić, że człowiek pracujący ciężko fizycznie jest w stanie po pracy napisać kilkaset stron. Kiedy ukończył swoją książkę, z duszą na ramieniu udał się do Buenos Aires, do profesora Wacława Radeckiego, cieszącego się dużym autorytetem działacza polonijnego, i poprosił nieśmiało o opinię swego dzieła. Dwa tygodnie oczekiwania na werdykt potwornie się dłużyły, nie był w stanie na czymkolwiek się skupić. Nie mógł opanować swoich emocji, był bliski płaczu z radości, kiedy profesor Radecki oznajmił, że jest zachwycony książką i będzie skierowana do druku.

Powieść Czarnyszewicza ukazała się w 1942 roku ze wstępem prof. Radeckiego, który napisał m.in. o tym, że bohaterowie „Nadberezyńców" walczyli z bolszewizmem, bo widzieli w nim wroga wolności, „polskiego ukochania swobody i niepodległości, co tętni zawsze i wszędzie gdziekolwiek żyją polskie skupiska". Pierwszą recenzję książki napisał krajan Czarnyszewicza zza Berezyny, Witold Ipohorski-Lenkiewicz, przedwojenny dziennikarz „Gazety Polskiej", który nie krył zaskoczenia, że spod pióra debiutanta literackiego, samouka, wyszła dojrzała, świetnie skomponowana powieść. Wkrótce pojawiły się recenzje w „Głosie Polskim", gazecie ukazującej się w Argentynie. Powieść Czarnyszewicza stała się bardziej znana, kiedy dotarła do Ameryki Północnej.

eprasa.pl 78edc793a0

Jak „Cichy Don”

Wydaną w Argentynie w 1942 roku książką „Nadberezyńcy” zachwycali się polscy wygnańcy z Kresów rozsiani po świecie. Pisarz Michał Kryspin Pawlikowski, wychowany w majątku Pućków za Berezyną pod Bobrujskiem, nie szczędził słów uznania: „Jak »Cichy Don« jest eposem kozactwa w okresie pokoju i wojny, tak »Nadberezyńcy« są eposem szlachty zagrodowej, której mnogie setki tysięcy rozsiane były jeszcze przed 30 laty – w zaściankach, zagrodach, futorach i okolicach – w dorzeczach Berezyny, Ptyczy, Druci i Dniepru. Nie zawaham się użyć jeszcze mocniejszego porównania: »Nadberezyńcy« – to »Wojna i Pokój« naszych polskich kresów [...] Porównanie »Nadberezyńców« z »Wojną i Pokojem« robię nie tylko bez wahania, lecz z naciskiem. Czarnyszewicz – pisarz-samouk – nie dorósł, oczywiście, ani do mrożących krew, zawrotnych wyżyn tołstojowskiej myśli filozoficznej, ani do maestrii stylistycznej Tołstoja, tej maestrii, którą w prostocie ducha nazywamy – prostotą stylu... Ale: plastyczność i wstrząsająca prawda psychologiczna typów ludzkich – wartki, żywy, przykuwający, choć pozbawiony wszelkich tricków tzw. intrygi, tok opowieści – wreszcie piękny język, brzmiący odświeżająco dla uszu, nawykłych do hegemonii »oficjalnej« nieco zmazurzonej (czy może skrakowiałej) polszczyzny – wszystko to stawia książkę Czarnyszewicza na poziomie pierwszorzędnych arcydzieł eposu polskiego” („Braciom zza Berezyny”, „Lwów i Wilno”, 1949 nr 120).

Józef Czapski w liście do Jerzego Stempowskiego pisał w 1953 roku: „Czy wiesz, że dziesięć lat temu wyszła książka po polsku w Argentynie, o której boję się ci pisać w za dużych superlatywach, bo tak namiętnie ją pokochałem. Pisana przez zagrodowego szlachcica znad Berezyny. Język słowotwórczy, dźwięczny, półbiałoruski. Konkretność wizji, miłość ziemi, drzew, chmur, obok której Reymont sztuczny jest i zimny, obok której myśleć można tylko o »Panu Tadeuszu«. [...] Wierz mi, ta książka, nad którą z Marysią jak stare osły płaczemy, zostanie i będzie świadczyć o tamtej Atlantydzie”.

Pozytywne recenzje „Nadberezyńców” sprawiły, że Czarnyszewicz napisał kolejną powieść pt. „Wicik Żywica”, która ukazała się na początku 1953 roku. Książka została dobrze przyjęta przez krytykę, aczkolwiek nie były to już tak entuzjastyczne recenzje jak „Nadberezyńców”. Dzięki Marii Czapskiej powieść była czytana w odcinkach w Radiu Wolna Europa.

Na początku 1956 roku Florian Czarnyszewicz przeszedł na emeryturę i postanowił zmienić miejsce zamieszkania. W kwietniu przeprowadził się z żoną i córką do miasteczka nad jeziorem San Roque w pobliżu Cordoby. Tamtejszy klimat miał pozytywnie oddziaływać na coraz bardziej dokuczliwą astmę pisarza. Przez pół roku Czarnyszewiczowie sami budowali i wykańczali swój dom.

Wiosną 1958 roku dzięki staraniom Marii i Józefa Czapskich ukazała się trzecia książka Czarnyszewicza „Losy pasierbów”. Józef Czapski, który był niemal bezkrytyczny wobec twórczości pisarza zza Berezyny, napisał wstęp do książki i umożliwił jej wydanie w paryskim wydawnictwie „Libella” Kazimierza Romanowicza. Książka nie wzbudziła raczej większego zainteresowania, trudno było zresztą oczekiwać, że po „Nadberezyńcach” ukaże się lepsza pozycja. Michał Kryspin Pawlikowski zafascynowany pierwszą książką Czarnyszewicza uchylił się od recenzowania „Losów pasierbów”, bo nie chciał sprawić przykrości autorowi. W 1959 roku „Losy pasierbów” otrzymały trzecią nagrodę Radia Wolna Europa za najlepszą książkę napisaną na emigracji.

W 1963 roku ukazała się powieść „Chłopcy z Nowoszyszek”, wydała je Polska Fundacja Kulturalna w Londynie. W londyńskich „Wiadomościach” Karol Zbyszewski dał wyraz swemu zauroczeniu językiem, słownictwem dalekich Kresów, również Michał Kryspin Pawlikowski nie potrafił odmówić słów uznania dla nowej książki pisarza zza Berezyny.

Kiedy nieco poprawiło się samopoczucie pisarza, udało się wynająć letnikom pokoje na lato w Villa Carlos Paz, przyszła niespodziewana śmierć. Pisarz zmarł we własnym domu na zawał serca 18 sierpnia 1964 roku o godzinie dziewiątej rano. Egzekwie następnego dnia odprawił rektor Polskiej Misji Katolickiej ksiądz Wojciech Łuszczki. Pisarz został pochowany na miejscowym cmentarzu.

***

Jakże trudno nam, wychowanym w Polsce niemal jednolitej narodowo, pozbawionej Kresów, zrozumieć patriotyzm kresowy, jagielloński. „Kochałem i kocham swój kraj – pisał Florian Czarnyszewicz do Akuły, pisarza białoruskiego – dlatego, że żyli w nim obok siebie Białorusini, Polacy, Litwini, Żydzi, starowiercy i Tatarzy, że w miastach były kościoły, cerkwie, synagogi i kirki, że byli chłopi i szlachta i mieszczanie. Współżyciu naszemu szkodziły tylko niesprawiedliwy podział dóbr ziemskich oraz intrygi sąsiadów. Różnice ras i kultury wśród obywateli nie stają na przeszkodzie postępu i szczęśliwości. [...] jestem synem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Mój ojciec i dziad i dziad mego dziada urodzili się i złożyli swoje kości w tej ziemi i sądzę, że wolno mi rodzinny kraj kochać i tęsknić do niego i myśleć o nim, i cieszyć się, gdy gospodarze czynią coś mądrego i szlachetnego, a smucić gdy popełniają błędy” („Kultura” 1965, nr 1–2). ■

eprasa.pl 78edc793a0

Maria Rodziewiczówna zawsze traktowana była przez krytykę protekcjonalnie, jako pisarka trzeciorzędna, sentymentalna i pozbawiona talentu, a dodatkowo – przez postronnych – jako osoba ekscentryczna, nieco dziwna, by nie powiedzieć zdziwaczała. Jej męski strój i fryzura, dożywotnie panieństwo, pasje rolnicze i przyrodnicze w oczach rozplotkowanych pań z towarzystwa, ale i części środowiska literackiego, były czymś na pograniczu skandalu, prowokacji czy szaleństwa. Dodatkowo zadziwiająca płodność artystyczna pisarki i popularność jej książek budziły w tych kręgach żywiołową zazdrość.

Ewa Polak-Pałkiewicz

Harda, niepokorna i miłosierna pani

Maria Rodziewiczówna stoi z drągiem i kieruje łódką, siedzi m.in. Józef Chełmoński z córką i Jadwiga Skirmunttówna.

Maria Rodziewiczówna przed dworem w Hruszowej w otoczeniu przyjaciół i sąsiadów oraz młodzieży z pobliskiego gimnazjum handlowego

fot. Arch.

Miała wszelkie cechy wojownika w spódnicy. Nie walczyła jednak nigdy o popularność czy sławę. Pisanie książek nie było życiowym priorytetem tej kresowej szlachcianki. Jej sposób życia był świadomą postawą kogoś, na kim spoczywa odpowiedzialność za ziemię rodzinną i los współmieszkańców Polesia, wobec których czuła wyjątkowe zobowiązanie jako polska ziemianka.

Meandry losu

Jej rodzicom, Henrykowi Rodziewiczowi h. Łuk i Amelii z Kurzenieckich, Rosjanie zabrali rodzinny majątek Pieniuha w Wołkowyskiem i zesłali ich na Sybir. Była to kara za pomoc udzieloną powstańcom styczniowym (oboje współpracowali z Romualdem Trauguttem).

Zezwolono tylko jej matce na późniejszy o kilka miesięcy wyjazd na daleką północ (opłaconym przez nią prywatnym powozem). Mogła jeszcze w kraju urodzić Marię i oddać ją pod opiekę swoich rodziców w majątku Zamosze koło Janowa. Po ich rychłej śmierci wzięła ją do siebie arystokratka Maria Skirmunttowa, przyjaciółka i daleka krewna matki. Mała Marysia wychowywała się w dworze Skirmunttów w Korzeniowie na Pińszczyźnie.

Rodziewiczów objęła amnestia, gdy ich córka miała siedem lat; nie mogli jednak osiąść na Grodzieńszczyźnie, gdzie mieli bliskich krewnych i dach nad głową. Znaleźli się w Warszawie; ojciec zatrudnił się jako zarządca kamienicy, matka znalazła pracę w fabryce papierosów. Pomoc kuzyna Ksawerego Pusłowskiego, który uczynił Henryka Rodziewicza administratorem swoich dóbr, okazała się ratunkiem przed skrajnym ubóstwem. Prawdziwa odmiana losu przyszła cztery lata później, gdy ojciec Marii otrzymał w spadku po swym bezdzietnym bracie majątek Hruszowa (1533 ha) na Polesiu. Pradziadek Rodziewiczówny kupił go od Suworowa (wcześniej był własnością kolejno kilku polskich wielkich rodów, m.in. Sanguszków, zagrabioną przez Rosjan po III rozbiorze).

Dopiero wtedy można było zacząć myśleć o systematycznym kształceniu dzieci; dwunastoletnia Maria znalazła się w Jazłowcu u sióstr niepokalanek, w słynnej szkole, której przełożoną była Maria Darowska. Zaledwie kilka lat spędzonych tutaj dało jej więcej niż niejedne dzisiejsze studia. Nie mogła jednak ukończyć szkoły, w której była szczęśliwa i gdzie błyszczał jej żywy intelekt i której atmosfera, patriotyczne i religijne wychowanie były kapitałem na całe jej przyszłe życie. Nagła choroba ojca spowodowała, że pieniądze rodzinne zaczęły błyskawicznie topnieć.

7edc793a0

„Zdziczały umysł" uwodzi amatorów dobrej prozy

Po śmierci ojca w 1881 roku siedemnastoletnia Maria zaczęła samodzielnie gospodarować w Hruszowej. Ponadtysiąchektarowy majątek obejmował w większości nieużytki; trzeba było też spłacić długi ojca i stryja, wypłacić rekompensaty rodzeństwu. W 1887 roku Rodziewiczówna była już w pełni praw panią na Hruszowej, która jednak wciąż więcej wymagała nakładów niż dostarczała dochodów. Skąd jednak zubożała rodzina miała wziąć pieniądze? Nikt z bliskich nie potrafił jej pomóc. Pomysł dwudziestodwuletniej Marii wydawał się czysto pensjonarski: będzie zarabiać na utrzymanie majątku, pisząc beletrystyczne książki. Pierwsze nowelki i opowiadania wydawała pod pseudonimem, bardzo szybko jednak zyskała sławę poczytnej autorki, kolejne tytuły były sprzedawane na pniu, miewały po kilka wydań, nakłady rosły. Krytyka była zdezorientowana. Książki młodziutkiej autorki były bliskie zwykłemu życiu Polaka, a przy tym napisane ze swobodą, werwą, rozmachem. Akademicy od literatury nie potrafili brać ich na serio. „Już w roku 1902 ktoś pisał, że umysł Rodziewiczów jest... »zdziczały«, potem ktoś inny dodawał, że jest ona »ograniczona intelektualnie«; twierdzono też, że »Dewajtis« to plagiat, nie mówiąc już o tak ulubionych zarzutach, jak »wtórność«" – wylicza pretensje recenzentów prof. Piotr Jaroszyński.

Tymczasem budujące, patriotyczne książki Rodziewiczówny zdradzały nie tylko niebanalną wiedzę o ludzkich charakterach i zawiłościach ludzkiego serca. Były kalejdoskopem realiów historycznych i obyczajowych Kresów, wielkim pokrzepieniem w czasie zaborów. Ujmowały szczerością, czuło się, że ich autorka nie udaje, nie kokietuje nikogo. Żeromski po przeczytaniu „Dewajtis" – historii osnutej na realiach walki o utrzymanie polskości na rusyfikowanych Kresach – powiedział, że chciałby ucałować ręce nieznanej mu autorki „spod kresowych stanic".

Jej debiut powieściowy „Straszny dziadunio" zdobył główny laur w konkursie ogłoszonym przez „Świt" w 1886 roku, gdzie publikowano go w odcinkach. Nawet Czesław Miłosz wbrew opiniom nadąsanej krytyki docenił pisarkę. „W moim powrocie do Rodziewiczówny ktoś może dopatrzeć się przekory czy nawet perwersji. Otóż nie. U nikogo z powieściopisarzy nie znajduję tylu realiów dotyczących wschodnich ziem dawnej Rzeczypospolitej w drugiej połowie XIX wieku czy na początku wieku XX" (Cz. Miłosz „Szukanie Ojczyzny"). A „Lato leśnych ludzi" to wciąż jedna z najbardziej lubianych powieści dla młodzieży.

Pisała szybko, lekkim piórem, jędrną żywiołową polszczyzną, nigdy nie poprawiając i nie czytając tekstu przed oddaniem do wydawcy. Napisała trzydzieści sześć powieści. Spieszyła się. Była skrzętna i oszczędna, żyła bardzo skromnie. Dwór w Hruszowej zapełniony był książkami; nie było tu zbiorów dzieł sztuki; na wyposażenie składały się głównie meble z surowego drzewa, na wzór mebli szwedzkich, prostych i praktycznych, jakimi pisarka zachwyciła się, odwiedzając Szwecję. Maria nie znosiła zbytku; Hruszowa chłonęła jak gąbka każdy grosz.

Rodziewiczówna leczy, uczy i buduje

Była urodzoną społeczniczką, daleką jednak od chłopomanii. Choć w niczym nie przypominała delikatnej salonowej mimozy, sama miewała trudności z hardymi miejscowymi ludźmi. Burzliwie układały się stosunki dworu z prawosławnymi chłopami. W 1890 roku za „czynne zelżenie" (pobicie) pastucha z Antopola groziły pisarce dwa tygodnie aresztu (sprawę ostatecznie załatwiono polubownie, gdy Rodziewiczówna wypłaciła powodowi pięć rubli). W grudniu 1900 roku spłonęły zabudowania jednego z folwarków pisarki; stodoła, młockarnia i obora z pięćdziesięcioma sztukami bydła poszła z dymem. Rodziewiczówna była jednak niezmordowana w budowaniu więzi z sąsiadami, opartymi na trwałych podstawach. Nie było jakiegoś systemu pomocy, było przyglądanie się każdemu człowiekowi z osobna i odgadywanie jego biedy. Dwór w Hruszowej był zawsze oparciem dla miejscowych; chłopi znajdowali tu opiekę medyczną (sama pisarka miała w tej dziedzinie niebagatelną wiedzę), porady gospodarcze. Założyła szkołę dla wiejskich dzieci (opłacała nauczycielkę), ochronkę, kółko rolnicze dla chłopów, wybudowała dla wsi łaźnię parową. Wszyscy chętni mogli korzystać z jej bogatej biblioteki. Pomogła katolikom odzyskać kościół w Horodcu, finansowała budowę kościoła w Antopolu, miejscowym Żydom opłaciła odbudowę hederu. Pomagała siostrom urszulankom sprowadzonym przez rodzeństwo Skirmunttów do ich pałacu w Mołodowie założyć dom zakonny i prowadzić akcje charytatywne w okolicznych powiatach. Zorganizowała „Dom Polski" w Antopolu; z własnych skromnych środków sfinansowała budowę piętra w kobryńskim gimnazjum.

„Dziwaczka" była tajfunem energii, mogłaby być też z pewnością patronką dzisiejszej opieki społecznej. Widziała zawsze ludzi osobnych, nie ich zbiór. Pisarka z Kresów była prawdziwą chrześcijanką (choć dziś niektórzy ludzie z cenzusem bez żenady przypisują jej wolnomyślicielstwo i udział w masonerii).

A przy tym i w tej dziedzinie Rodziewiczówna uważana była za osobę o wybujałych ambicjach. „W częściowo autobiograficznej powieści »Kądziel« napisała o bohaterce zarządzającej, jak ona sama, majątkiem wiejskim: »Gdyby była mężczyzną, stałaby się luminarzem powiatu, ale że była kobietą, więc nie miała głosu ni

eprasa.pl 78edc793a0

w radzie, ni w sądzie, ni na zjazdach marszałkowskich – nigdzie. [...] Miała wszystkie ciężary obywatela, bez żadnych prerogatyw«".

Dwa lata przed II wojną światową nastąpiło w Hruszowej coś w rodzaju wielkiego pojednania dworu i wsi. Pani na Hruszowej przestała być uważana za przemądrzałą jędzę, miejscowi docenili też jej gruntowną wiedzę rolniczą i gospodarność. Chłopi z własnej inicjatywy za darmo zwieźli cegłę na budowany przez nią w Antopolu katolicki kościół. A z okazji pięćdziesięciolecia władania Hruszową (i pięćdziesieciolecia pracy literackiej) podarowali jej album z zupełnie nie „chłopską" dedykacją: „Sprawiedliwej Pani i Matce za 50 lat wspólnej pracy". Ofiarowali też dzwon do kościoła, który ufundowała w Antopolu. Został nazwany imieniem „Maria".

Po ostatniej wojnie Jadwiga Skirmunttówna, jej przyjaciółka i opiekunka, daleka krewna, przypominając o cywilizacyjnym, duchowym i kulturowym wpływ z urzędnikami nierozumiejącymi kresowej specyfiki. Ale jest czynna, walczy. Buduje kolejny kościół w sąsiedztwie, załatwia od władz kościelnych relikwie świętego Andrzeja Boboli dla ołtarza w nowej świątyni (później skradnie je jakiś bolszewik w czasie rewizji, myśląc że to jakieś klejnoty)" – pisze Mery Orzeszko.

Utrzymanie polskości na tych ziemiach wiązała ideowo z rolą Kościoła i wielkiej własności ziemskiej. Tymczasem zażądano od niej oddania 150 hektarów na potrzeby osadnictwa; doszły jeszcze do tego osobiste zatargi ze starostą Kobrynia. Była już starszą panią, gdy zdecydowała się zostać współzałożycielką i protektorką Związku Szlachty Zagrodowej.

Jak podkreślają autorzy jej oficjalnej biografii: „[...] miała wytworzony z doświadczeń własnych i z obserwacji otoczenia, krytyczny stosunek do Żydów, których uważała za wyzyskiwaczy (lichwa), w znacznym stopniu przyczyniających się do nędzy poleskiej wsi i kłopotów finansowych kresowych ziemian. Znalazło to niejedno-

Budujące, patriotyczne książki Rodziewiczówny zdradzały nie tylko niebanalną wiedzę o ludzkich charakterach i zawiłościach ludzkiego serca. Były kalejdoskopem realiów historycznych i obyczajowych Kresów, wielkim pokrzepieniem w czasie zaborów.

wie dworu hruszowskiego na cały obszar najbliższego sąsiedztwa i powiatu, wspomniała: „W miejscu dworu w Hruszowej jest dziś baza traktorów. Czym ona promieniuje na okolicę?".

▶ Gdy ma się dosyć urzędników, Żydów i narodowców

Po śmierci babki, matki i młodszej siostry życie w swoim majątku z monumentalnym dworem i ogromnym zdziczałym parkiem autorka „Dewajtisa" dzieliła już tylko z Jadwigą Skirmunttówną, która zajmowała się domem i gospodarstwem kobiecym, a Maria interesami i męską częścią gospodarstwa. Nie znosiła próżnowania, choć ceniła spokój rodzinnego gniazda. Ułożyła specjalny dekalog, który wisiał w sieni. Można było tam przeczytać: „Będziesz stale zajęty pracą według sił swych, zdolności i zamiłowania", „Pamiętaj, abyś nie kaził myśli ni ust mową o złym, marności i głupstwie".

Była krytyczna wobec polityki rządu na Kresach. „Rodziewiczówna nie jest zadowolona z nowej, wymarzonej, polskiej wolności. Drażnią ją głupie przepisy prawne, męczą liczne podatki, nie może dogadać się krotnie odbicie w jej utworach, gdzie występuje postać złego Żyda, w niektórych daje jednak przykłady postaci pozytywnych, życzliwych i w kłopotach pomocnych Polakom (np. »Jaskółczym szlakiem«)".

Nie znosiła jednak politycznego i religijnego fanatyzmu. W 1937 roku zaproszono ją do władz Obozu Zjednoczenia Narodowego. Skorzystała z zaproszenia, ale rok później opuściła organizację, przejęta głębokim niesmakiem wobec jej poczynań.

▶ „Natura ma jednak także drugą stronę"

Tak pisał Chesterton, rówieśnik Rodziewiczówny, zaniepokojony rodzącym się na jego oczach kultem natury, „którą doświadczenie i grzech odkrywają natychmiast, i nie będzie lekkomyślnością stwierdzenie, że ten bożek szybko pokazuje kopyta".

Każdy, kto czytał „Lato leśnych ludzi" Marii Rodziewiczówny, pamięta opis wyjazdu trójki przyjaciół na kilkumiesięczny pobyt w sercu puszczy. Gdy dowiadujemy się, co zabierają ze sobą, zastanawiamy się, czy mają zamiar dokonywać karczowania dziewiczego bezkresu lasu, bezlitosnej uprawy wydartej mu przestrzeni, serii

eprasa.pl 78edc793a0

polowań na grubego zwierza czy innego „krwawego" podboju, jak oceniliby to dzisiejsi „ekolodzy". Bo po co potrzebne są osobom, dla których las jest rzekomo najmilszym miejscem na świecie, które szukają tu duchowego ukojenia, siekiery, noże, strzelby, sieci, więcierze, mnóstwo metalowych przyrządów do badań glebowych, botanicznych, ornitologicznych, apiologicznych, a także atlasy ptaków z ilustracjami (w pięciu językach)? Ładują to wszystko na drewniany wóz... I jeszcze oswojona wiewiórka oraz jeż, a także koń i krowa (jakby w głębi puszczy zwierza było mało).

Stanowi to obraz „prowokacyjnie wrogi" wobec tego, czym raczy nas dziś rzesza aktywistów „ekologizmu", przyobleczonych w barwy zieleni. A którzy brzydzą się wszelkimi elementami cywilizacji, w świecie, w przyrodzie – a często brzydzą się samego człowieka – i zwalczają je bez pardonu. Akceptują to, co pierwotne, dzikie i chaotyczne. Chcą, by przyroda bez przeszkód pokazywała kły i pazury. Najczęściej są okazami niespotykanego tupetu i prawdziwej ignorancji.

Bohaterowie książki Marii Rodziewiczówny (wydanej w 1920 roku), choć to na pozór spragnieni surowej prostoty romantycy, są ludźmi dobrze wykształconymi, o wysokiej kulturze. Ich stosunek do lasu, choć entuzjastyczny, nie ma w sobie nic z sentymentalizmu ani bałwochwalstwa. Wychowana w kresowym dworze Rodziewiczówna znała podobne typy z własnego otoczenia. Sama razem z dwoma przyjaciółkami pomieszkiwała w letnich miesiącach w leśnej chacie nad jeziorem wybudowanej według własnego pomysłu. A borykanie się z trudami życia wśród przyrody, która była tu żywiołowa, ekspansywna, groźna (a przy tym wspaniała i tajemnicza), było chlebem codziennym. To była prawdziwa szkoła przetrwania. Za trudna, wydawałoby się, na wątłe kobiece siły. A jednak pisarka, obdarzona niepospolitymi cechami charakteru, potrafiła sobie z nią radzić, poznając przyrodę cierpliwie, obserwując ją, ucząc się jej, rozumnie z nią współpracując.

Dziś Rodziewiczówna i jej „leśni ludzie" bywają inspiracją dla tych, dla których las jest wybranym miejscem życia. Takich jak choćby Dariusz Morsztyn „Biegnący Wilk", harcerz, który założył wraz z rodziną na Mazurach ekologiczną osadę wzorowaną na życiu bohaterów powieści, gdzie hoduje kilkadziesiąt zwierząt. Nie jest to jednak z pewnością miejsce, które mogłoby uzyskać certyfikat czerwono-zielonych aktywistów. Za dużo tam prawdziwie naukowego podejścia do przyrody, paradoksalnie, też za dużo wolności i poezji, zbytek prawdziwej harmonii między światem ludzi i zwierząt. Obca współczesnym misjonarzom ekologizmu kapliczka z krzyżem, zbędne otwarcie na innych, tych spoza ekologicznej sekty.

„Są dwie potęgi..."

Autentyczne bohaterki „Lata leśnych ludzi" – Maria Rodziewiczówna, Jadwiga Skirmunttówna i Maria Jastrzębska skryte za pseudonimami Rosomak, Żuraw, i Pantera w słynnej powieści – nie uciekały w leśną gęstwinę, gdy nadeszła pożoga bolszewicka 1920 roku. Opuściły poleską przystań: obszerny dwór Marii w Hruszowej i majątek wraz z ustronną chatą w sercu puszczy. Klucze zostały w rękach trójki opiekunów majątku, poleskich chłopów. Maria obeszła uroczystym krokiem cały dom, przeżegnała go i razem z Jadwigą wsiadła do jednokonnego powozu. Odjeżdżając sprzed ganku śpiewały „Boże, coś Polskę". Przez cały czas wojny bolszewickiej pisarka działała z werwą w Zarządzie Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie. Została mianowana komendantką Kobiecego Komitetu Ochotniczej Odsieczy Lwowa na miasto Warszawa. Za działalność na rzecz walczącego Lwowa została odznaczona Odznaką Honorową „Orlęta", do której dołączony był dyplom podpisany przez gen. Rozwadowskiego. Uważała go za najważniejszą pamiątkę swej pracy dla Polski. Jadwiga była pielęgniarką w szpitalu polowym na Powiślu.

Po powrocie Marii i Jadwigi w progi hruszowskiego domu w dworskiej kaplicy co roku odprawiano dziękczynną Mszę świętą.

„Są dwie potęgi, którym trzeba dać wszystko, a w zamian nie brać nic – to Bóg i Ojczyzna", powtarzała Rodziewiczówna. Żeby wyśmiać jej patriotyzm i wiarę w PRL-owskich (nader rzadkich) recenzjach porównywana była z Heleną Mniszkówną, autorką kiczowatych

DWÓR W HRUSZOWEJ BYŁ ZAWSZE OPARCIEM DLA MIEJSCOWYCH; CHŁOPI ZNAJDOWALI TU OPIEKĘ MEDYCZNĄ, PORADY GOSPODARCZE. ZAŁOŻYŁA SZKOŁĘ DLA WIEJSKICH DZIECI, OCHRONKĘ, KÓŁKO ROLNICZE DLA CHŁOPÓW, WYBUDOWAŁA DLA WSI ŁAŹNIĘ PAROWĄ. WSZYSCY MOGLI KORZYSTAĆ Z JEJ BIBLIOTEKI.

eprasa.pl 78edc793a0

romansów „z wyższych sfer", ale poza tym w kulturze i historii literatury nie istniała. Jej książki komuniści wyrzucali z bibliotek i z listy lektur szkolnych.

Piotr Jaroszyński, podsumowując jej sukces u czytelników i zarazem odrzucenie jako pisarki, która powinna znaleźć się w kanonie literatury polskiej, zauważał: „Rodziewiczówna przemawiała głosem czystym i zasadniczym, bo nie musiała zastanawiać się, kim jest. Ona, córka zesłańców, wychowana i wykształcona w Jazłowcu przez siostry niepokalanki, na czele z siostrą Marceliną Darowską, dziś świętą, potomkini zasłużonego dla obrony polskości rodu – nie musiała zastanawiać się, czy jest Polką i czy Kościół katolicki jest dla niej schronieniem. To było jasne, opłacone daniną krwi, uświęcone starodawnym zwyczajem, zasłużone ciężką pracą, uproszone żarliwą modlitwą. W niej była Polska od pokoleń. W niej były Kresy". Propaganda PRL-u, która wykorzystywała literaturę wyłącznie do ideologicznych celów, tego strawić nie mogła.

A poza tym – gdyby dzisiejsi polityczni aktywiści przybierający barwy zielone w miejsce czerwieni mieli choć gram jej wiedzy przyrodniczej – botanicznej, zielarskiej, ornitologicznej, z zakresu pszczelarstwa, hodowli, rolnictwa (i to łącznie z historią rolnictwa poznawaną osobiście w różnych krajach Europy) – nie bawiliby się w tworzenie rezerwatów typu „tylko dla żab". Patrzyliby na przyrodę i środowisko jako na całość twórczego dzieła – nieprawdopodobne bogactwo subtelnych zależności, niezgłębionych tajemnic, z niczym nieporównywalnej hojności Stwórcy. Mieliby pokorę, jaką odznaczała się samotna z wyboru, dzielna kobieta na Kresach. Lojalna wobec Boga, ludzi, Polski i ziemi.

Ziemia nie kłamie

Wiedziała lepiej niż ktokolwiek z jej pokolenia, że ziemię trzeba szanować, nie ulegała jednak pokusie bałwochwalstwa wobec natury, która kiełkowała już za jej życia w głowach niektórych intelektualistów. Rodziewiczówna wiedziała, że wobec natury człowiek ma obowiązek być czujny. Przestrzegał przed nią także nawrócony na katolicyzm Chesterton: „Jedynym zarzutem, jaki można postawić kultowi natury jest to, że zawsze jakimś cudem zmierza on ku temu, co nienaturalne. Naturę kocha się rankiem za jej niewinność i przyjazne nastawienie, ale jeśli kocha się ją nadal o zmierzchu, to tylko za jej mroczność i okrucieństwo. [...] trzeba się nią cieszyć, a nie oddawać jej czci".

Gdy Maria Rodziewiczówna pisała o potędze i pięknie polskich dębów, bezkresnych lasów, przepastnych jarów, przeczystych źródeł, rozlewnych rzek, jeśli w nich dostrzegała niedościgły czar, poezję i tajemnicę, to zarazem pamiętała o obowiązku męstwa w obronie przed ich bezmyślną dewastacją – ale i w obronie przed nimi.

Mogłaby śmiało powtórzyć za Chestertonem: „Świat to nie pensjonat w Brighton, z którego możemy się wynieść, jeżeli okaże się nędzny. Świat to twierdza naszego rodu, ze sztandarem powiewającym na wieży; w im większą popada nędzę, tym bardziej nie powinniśmy jej opuszczać". Na tym zawsze polega męstwo życia.

„Jesienią 1939 roku, po wejściu bolszewików, znów ze Skirmunttówną opuszczają Hruszową, tym razem na zawsze. Z fałszywymi niemieckimi dokumentami starsze panie przekradają się przez zieloną granicę radziecko-niemiecką na Bugu i dostają się do Warszawy, gdzie przebywają do końca wojny. Kiedy wybucha powstanie warszawskie, Rodziewiczówna ma już 80 lat i jest bardzo chora. Udaje się jej przeżyć powstanie, umiera już po wyjściu z Warszawy w listopadzie 1944 roku. [...] Pałac w Hruszowej został spalony przez okolicznych chłopów jeszcze w czasie niemieckiej okupacji Polesia. Został tylko dąb zwany Dewajtis i budynki gospodarcze. Węgierski wartownik zastrzelił starego pracownika Rodziewiczówny, który nie opuścił majątku i do końca go pilnował, choć Niemcy uznali Hruszową za »niemieckie dobro państwowe«. Tak oto pisarka dwa razy straciła dom i dziedzictwo: raz jako niemowlę i drugi raz, stojąc już nad grobem" (Mery Orzeszko).

Po jej śmierci Jadwiga Skirmunttówna mogła żyć dzięki prawom autorskim pisarki, przekazanym jej przed śmiercią przez Rodziewiczównę. Wspomagała także brata Henryka; reszta rodzeństwa i ojciec, ambasador Konstanty Skirmuntt, zostali bestialsko zamordowani przez bolszewików po 17 września 1939 roku.

Rodziewiczówna, pisarka i społeczniczka, przyciągała zawsze ludzkie spojrzenia. Tak jak jej sąsiedzi, przyjaciele, młodzi i starsi mieszkańcy okolicznych dworów siadali zasłuchani przy jej spękanym kamiennym okrągłym stole przed dworem w Hruszowej i próbowali odkryć jej tajemnicę, tak próbują przeniknąć ją jej czytelnicy. To tajemnica kogoś, kto pozostając bezwzględnym sędzią swojego czasu, o każdym człowieku ma do powiedzenia coś dobrego. To rzeczy dobre tak przyciągają. Pocieszają. Naprawiają to, co popsute. Koją wszelki smutek. To jest kultura, stara jak pnie ukochanych lip i mocna jak dęby szumiące po lasach tej krainy. Mało jest narodów, zwłaszcza brakuje ich wśród naszych najbliższych sąsiadów, które mogłyby poszczycić się w czasie swojej długiej historii postaciami podobnymi do Marii Rodziewiczówny.

Może i stąd rodzi się dziś w ich sercach tak dzika zazdrość i tak nieposkromiona złość? ■

G.K. Chesterton, „Ortodoksja. Romanca o wierze", tłum. Magda Sobolewska, Warszawa–Gdańsk 1996.
Mery Orzeszko, „Maria Rodziewiczówna", Archiwum Mery Orzeszko/ polesie.org.

eprasa.pl 78edc793a0

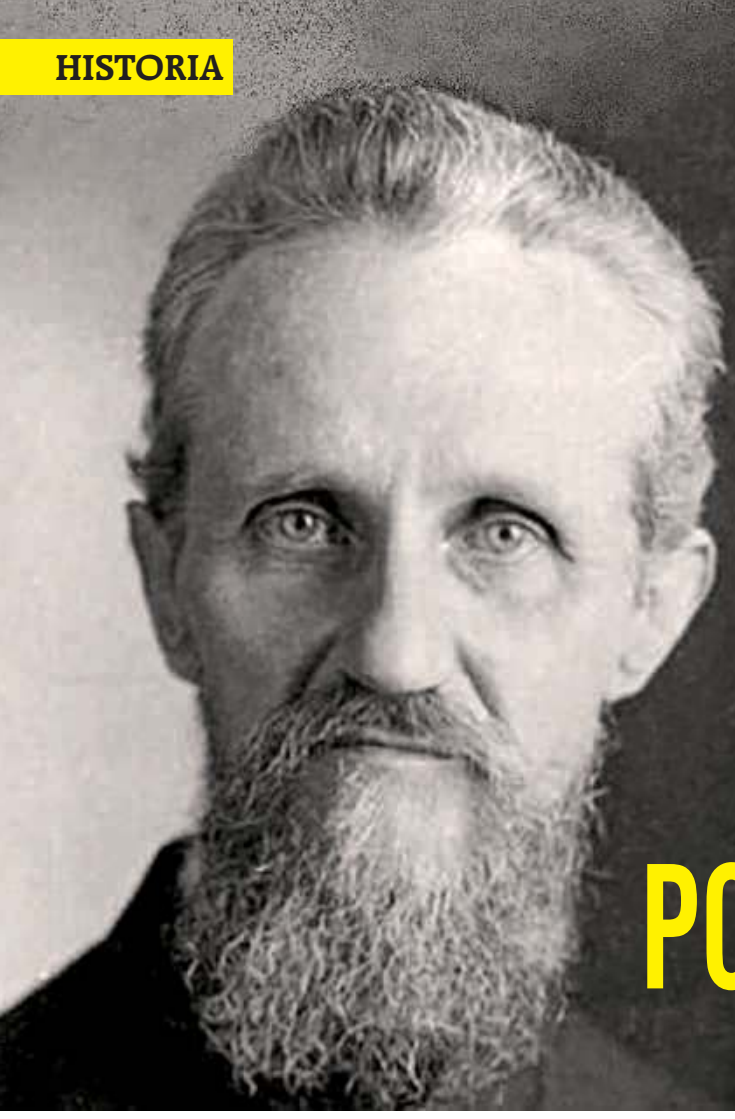

Kaja Bogomilska

Żył 77 lat, 7 miesięcy i 7 dni. 11 września 1926 roku zmarł w opinii świętości. Jeden z towarzyszących mu przy śmierci współbraci stwierdził, że ten zakonnik w opinii świętości przeżył całe życie...

POWOŁANY

Wywyższony, szanowany i czczony, jaśniejący cnotą, sam jednak pamiętał o. Paweł ustawicznie słowa Ewangelii: »Gdy uczynicie wszystko, co wam rozkazano, mówcie: słudzy nieużyteczni jesteśmy, cośmy byli winni uczynić, uczyniliśmy«". Fragment homilii, którą nad grobem przyjaciela wygłosił ks. arcybiskup Teodorowicz, najlepiej ukazuje istotę duchowości zmartwychwstańczej, której wzorem był ks. Paweł Smolikowski.

W powołanie nie wątpił nigdy

Pisząc życiorys przed ślubami wieczystymi, ks. Skolimowski wyznał, że od dziecka pragnął zostać zakonnikiem: „W całym marzeniu o moim powołaniu nigdy nie stawało mi na myśli zostanie biskupem lub piastowanie jakiej godności kościelnej, owszem, to wszystko wykluczałem. Ideał, do jakiegom się przywiązał, był zakonnik, będący przed zupełnym posłuszeństwem, w zupełnym ubóstwie, w ciągłej pracy misjonarskiej, bo w tym tylko widziałem dla siebie wielkość prawdziwą". I tak już jako bardzo młody człowiek był wierny nauce Chrystusa o cnocie pokory.

Paweł Klemens Smolikowski urodził się w Twerze. Jego ojcec Seweryn za udział w powstaniu listopadowym został wypędzony z ojczyzny. Był utalentowanym inżynierem, więc

eprasa.pl 78edc793a0

w końcu znalazł pracę przy budowie kolei żelaznej. Paweł urodzony 4 lutego 1849 roku został ochrzczony dopiero po roku. Tak długo czekać trzeba było na przyjazd katolickiego księdza do Tweru. „O powołaniu moim – czytamy w cytowanym już życiorysie – nie wątpiłem nigdy. Z natury lękliwy, bez żadnej energii, zmienny, zniechęcający się pierwszą lepszą trudnością (wszyscy, którzy mię bliżej znali i znają, za takiego mię uważali i uważają), w dziele powołania odważałem się na wszystko i na wszystko byłem gotów [...]. Nie miałem odwagi dorożką jechać ani żadnych sprawunków robić itp., kiedy szło o zostanie zakonnikiem, odważyłem się na daleką podróż. Czułem zawsze dość wyraźnie głos wewnętrzny powołujący mię do stanu doskonałego. I siła jakaś pchała mię zawsze naprzód w tym kierunku, choć natura moja i próżność psuła nieraz Dzieło Boże".

Ten wewnętrzny głos spowodował, że posłuszny zawsze swojemu ojcu młodzieniec w tym jednym nie uległ. Ojciec nie wierzył, że chłopcem powoduje prawdziwe, trwałe powołanie. Obawiał się, że to tylko słomiany zapał. Oświadczył więc stanowczo: „Po mojej śmierci zrobisz, jak zechcesz, ale póki żyję, nigdy na to nie pozwolę". Przyszły zakonnik odpowiedział co prawda, że nie chce śmierci ojca wyczekiwać, ale też zdania swojego zmienić nie chciał. Wreszcie ojciec zgodę podpisał i Paweł wstąpił do prowadzonego przez oo. jezuitów seminarium duchownego. Po roku został wysłany do Papieskiego Kolegium Polskiego w Rzymie, zaszczyt ten spotykał tylko najzdolniejszych. Sam jednak się za takiego nie uważał. „Pozwalał nam czasem o. Paweł zajrzeć w głąb swojej duszy – mówił jeden z jego wychowanków – i ze zdumieniem spostrzegaliśmy, jak ciężki nieraz bój staczał między naturą swą a swą wolą wyższą".

Smak woli Bożej

W Rzymie o. Paweł spotkał się z nowo powstałym zakonem zmartwychwstańców. Wtedy zrozumiał, gdzie jest jego miejsce. Nowicjat rozpoczął w październiku 1867 roku. Po roku przyszedł czas na pierwsze śluby zakonne, a pięć lat później na wieczyste. Wyrzeczenie się siebie, posłuszeństwo, rygorystyczne przestrzeganie ubóstwa przejawiało się w życiu codziennym. W końcu – pisze w swoich wspomnieniach o zakonniku arcybiskup Teodorowicz – „doszedł o. Paweł do takiego umorzenia swojej natury i swojego »ja« i takiego zjednoczenia z wolą bożą, że już nie można było dostrzec, gdzie pobyt i działalność, a gdzie mniej miłe. Najbystrzejsze oko nie mogło dostrzec, jakie powołanie go ciągnie, a jakie odpycha [...]. Sympatia, upodobania czy wstręty, czy słodycz stopiły się u niego w jeden smak, jakim jest smak woli bożej, i w jednym upodobaniu, jakie miał w jej pełnieniu".

W 1973 roku, w tym samym, w którym otrzymał święcenia w obrządku greckosłowiańskim, obronił też doktorat z teologii w Collegium Romanum. Nie pragnął zaszczytów czy stanowisk, ale nie mógł też ich odrzucać, bo to byłoby sprzeczne ze ślubem posłuszeństwa. Dwukrotnie był przełożonym generalnym zmartwychwstańców, trzykrotnie mistrzem nowicjatu. Otrzymał też tytuł archimandryty od zwierzchnika unitów biskupa Michała Petkowa. Sam na siebie nakładał coraz większe obowiązki. Pierwszy uznał, że koniecznie trzeba spisać historię zamartwychwstańców. Pracowicie przeglądał w archiwum każdą kartkę, każdy świstek. Sam segregował materiał, sam przepisywał na czysto i tak powstało dzieło liczące cztery tomy.

Gorąco kochał ojczyznę. Polacy przybywający do Rzymu zawsze mogli liczyć na jego pomoc i opiekę. „Nieraz w bardzo skomplikowanych sprawach narodowych miał sąd jasny – pisze biograf – i trafny, bo choć stał z daleka od wszelkich politycznych przemian, to jednak prawością swej duszy i wejrzeniem w wolę Bożą, orientował się zdrowo i rozstrzygał trafnie".

Czcigodny sługa boży

W spotkaniach z nowicjuszami, gdy już był bardzo słaby, mówił: „Czemu to bracia tak smutno na mnie spoglądają? Czy to nie szczęście być tak jak ja, na progu wieczności?".

19 grudnia 2017 roku papież podpisał dekret o heroiczności cnót o. Pawła Smolikowskiego. Od tego momentu przysługuje mu tytuł czcigodny sługa boży. W miesięczniku wydawanym przez oo. zmartwychwstańców pt. „Resurrexit" w artykule wstępnym redaktor naczelny o. Rafał Golina pisze: „Jański założył fundament pod gmach zgromadzenia. O. Semenenko i o. Kajsiewicz wznieśli mury tego gmachu, ale dopiero o. Smolikowski wykończył go w najdrobniejszych szczegółach. W wykończeniu jednak i upiększeniu tego gmachu nic nie zastosował takiego, coby mogło zagrażać sile wewnętrznej lub powadze zewnętrznej. On tchnął ducha w ten gmach i ożywił go swoim życiem". Słowa te wypowiadają świadkowie jego życia oraz współbracia w zakonnej profesji o. Pawła. ■

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 78edc793a0

Piotr Lisiewicz

Święta sprawa niepodległości

To było w 1982 roku. Jan Paweł II przybył z pielgrzymką do Wielkiej Brytanii, a w jej trakcie spotkał się na stadionie klubu z polskimi emigrantami. Tekst jego kazania będzie dla wielu odkryciem. Takiego Jana Pawła II nie znaliśmy, bo tych słów nie mogliśmy usłyszeć na krakowskich Błoniach, przed jasnogórskim klasztorem ani na skoczni w Zakopanem. Byłyby zbyt jasnym wypowiedzeniem wojny witającym go komunistycznym władzom, pewnie także dla większości Polaków tematyka emigracji, choć przecież słuchali Wolnej Europy, byłaby czymś zbyt odległym.

Poniżej przedrukowujmy tekst kazania na stadionie Crystale Palace. Jan Paweł II zwracał się do wyśmiewanego za „niezłomność" polskiego Londynu: „Mówicie o Polsce, jaka była – i jaka powinna być". Papież odrzucał nowomowę, zgodnie z którą polska emigracja polityczna miała być tylko jedną z wielu grup emigrantów, jakie z rozmaitych powodów trafiły do Wielkiej Brytanii. Uznawał ją za kontynuację niepodległej Polski. Mówił o tym: „Nie można o was myśleć, wychodząc od pojęcia »emigracja«; trzeba myśleć, wychodząc od rzeczywistości »ojczyzna«. To prawda, że przed drugą wojną światową była w Anglii pewna liczba Polaków – emigrantów. Jednakże ci, którzy znaleźli się w ramach wydarzeń wojennych, nie byli emigrantami. Byli Polską wyrwaną z własnych granic". Nie grupą oderwanych od rzeczywistości wygnańców, lecz samym centrum polskości: „To, co dzisiaj przywykliśmy nazywać »Polonią angielską«, zaczęło się jako sam rdzeń Polski walczącej o świętą sprawę swej niepodległości".

Wiedza o tym, w jak dużym stopniu przyszły papież wychowywał się na niepodległościowej emigracji, jest niewielka, a jej wpływ na jego formację był ogromny. Irena Szypowska, autorka biografii emigracyjnego poety Józefa Łobodowskiego, podczas spotkania z Janem Pawłem II wręczyła mu swoją książkę i była bardzo zdziwiona, gdy okazało się, że Ojciec Święty zna twórczość zapomnianego w PRL poety. Wśród kilku osób, które były z papieżem najbardziej zaprzyjaźnione i miały dostęp do jego ucha, był emigracyjny pisarz i felietonista Tadeusz Nowakowski.

Ta formacja miała ogromny wpływ na to, jak papież widział sens swojego działania wobec Polaków – w księżycowy krajobraz blokowisk, zamieszkany przez ofiary komunistycznego eksperymentu, który trwał przez kilka dziesięcioleci, postanowił wszczepić na nowo historyczną Polskę. Wspomniany Tadeusz Nowakowski opisał, jak w czasie stanu wojennego Jan Paweł II leciał samolotem nad Saharą. Jeden z dziennikarzy, któremu pozwolono porozmawiać z Ojcem Świętym, powiedział, że chyba teraz w związku z sytuacją w Polsce musi on zapomnieć o nadziei. Papież zareagował wybuchem gniewu „Tyś, synu, miał odwagę z tym do mnie przyjść?! Ja wychowany na Norwidzie, na Żeromskim, który pisał, że jest taki skarb zakopany na dnie duszy polskiej, jak wierność sprawie z pozoru przegranej... Proszę mi zejść z drogi – chwycił żelazną ręką dziennikarza".

Bohdan Urbankowski w poemacie „Pamięci Jana Pawła II" tak napisał o roli papieża w historii Polski:

Wyrywał najeźdźcom kraj
Nie krył się w cichych katakumbach modlitw
lecz wyrywał najeźdźcom kraj
skibę po skibie, człowieka po człowieku

Czy nie jest tak, że ktoś dziś usiłuje odwrócić ten proces i zniweczyć ten wysiłek? ■

Wy, którzy stworzyliście dzisiejszą „Polonię angielską", jesteście dla mnie nie przede wszystkim emigracją, ale przede wszystkim żywą częścią Polski, która nawet wyrwana z ojczystej gleby, nie przestaje być sobą. Owszem, żyje przeświadczeniem, że w niej, właśnie w tej części, w szczególny sposób żyje całość... „Nieobecni" nie tylko „nie mają racji" – oni równocześnie składają dziejowe świadectwo. Mówią o Polsce, jaka była – i jaką powinna być.

eprasa.pl 78edc793a0

Dziwnie mocno osadziły się w mojej pamięci słowa, które wypowiedział Kardynał Heenan, Prymas Anglii, odwiedzając podczas Soboru biskupów polskich, mieszkających w Kolegium na Awentynie. Zaczął swe przemówienie od słów: „Polscy lotnicy ocalili Wielką Brytanię".

Nawiązuję do tych słów w dniu dzisiejszym, ponieważ wydaje mi się, że w nich należy szukać odpowiedzi na pytanie o waszą tutaj tożsamość. Kim jesteście? Czy jesteście tylko wspólnotą emigracyjną, podobną do tylu, jakie istnieją na całym globie? Zapewne tak. I z pewnością trzeba tutaj szukać analogii z Wielką Emigracją ubiegłego stulecia, która skoncentrowała się głównie we Francji. A przecież jest coś szczególnego, co poniekąd nie pozwala o was myśleć w kategoriach „emigracyjnych" – przynajmniej nie pozwala tak myśleć o tych, których miał przed oczyma Kardynał Heenan, mówiąc: „Polscy lotnicy ocalili Wielką Brytanię".

Nie można o was myśleć, wychodząc od pojęcia „emigracja"; trzeba myśleć, wychodząc od rzeczywistości „ojczyzna". To prawda, że przed drugą wojną światową była w Anglii pewna liczba Polaków – emigrantów. Jednakże ci, którzy znaleźli się w ramach wydarzeń wojennych, nie byli emigrantami. Byli Polską wyrwaną z własnych granic, z własnych pobojowisk – Polską przed niespełna dwudziestu laty zbudzoną do niepodległego bytu, Polską, która w szybkim tempie odbudowywała się z wiekowych zniszczeń i upośledzeń – Polską wreszcie, którą usiłowano raz jeszcze podzielić jak w XVIII wieku, narzucając jej straszliwą, morderczą wojnę z przeważającymi siłami najeźdźców.

Tak jest. To, co dzisiaj przywykliśmy nazywać „Polonią angielską", zaczęło się jako sam rdzeń Polski walczącej o świętą sprawę swej niepodległości. Jeszcze raz według tego hasła: „Za wolność naszą i waszą". Taką Polskę stanowili lotnicy broniący Wysp Brytyjskich, dywizje i brygady walczące pod Narwikiem, dywizje i brygady nadciągające z głębi republik radzieckich wschodniej Europy i Azji, a potem przez Persję, Bliski Wschód. Egipt i Libię, na Półwysep Apeniński, pod Monte Cassino, przywracając wolność „ziemi włoskiej". Jeszcze mam przed oczyma ten napis w poprzek ulicy, jaka prowadzi w Bolonii od cmentarza poległych do centrum miasta (przejeżdżałem nią w dniu 18 kwietnia tego roku) – napis brzmiał: „Tą drogą Twoi Rodacy przynieśli nam wyzwolenie – tą samą drogą przybywaj umacniać naszą wiarę".

***

To, co mówię, płynie z żywego poczucia historii. Wy, którzy stworzyliście dzisiejszą „Polonię angielską", jesteście dla mnie nie przede wszystkim emigracją, ale przede wszystkim żywą częścią Polski, która nawet wyrwana z ojczystej gleby, nie przestaje być sobą. Owszem, żyje przeświadczeniem, że w niej, właśnie w tej części, w szczególny sposób żyje całość.

Skoro znalazłem się na ziemi angielskiej jako pielgrzym: papież pielgrzym – a zarazem syn tej samej ziemi co wy, nie mogę nie wypowiedzieć przede wszystkim tej prawdy o was: prawdy, którą zawsze czułem. Czułem jej organiczną prawdziwość – i zarazem jej głęboką tragiczność.

Bo przecież nie sposób, przyznając wam niepodważalne prawo do bycia u swoich zawiązków szczególną częścią Polski: rządem, armią, administracją, strukturami władzy na kraj i poza krajem – nie sposób, zwłaszcza z upływem lat, nie natrafić na tę bolesną fizyczną „nieobecność", w jaką musiała się zamienić wasza tak żywiołowa i tak wspaniała, historycznie nieusuwalna obecność Polski... poza Polską. Tu nie sposób raz jeszcze nie wspomnieć Wielkiej Emigracji i tych wielkich, największych duchów, którzy w poczuciu żywej obecności modlili się do nieobecnej: „Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie; ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie". Jakaś przedziwna tajemnica sumień i serc zaczęła się w ubiegłym stuleciu – i powtarza się w stuleciu obecnym. Polska jest jednym z krajów najboleśniej doświadczonych na globie ziemskim. Jedną z ojczyzn najgłębiej przeoranych cierpieniem – i równocześnie jedną z najbardziej miłowanych. Może na tajemnicę tej niezwykłej miłości Ojczyzny składa się i to przedziwne duchowe przemieszczenie: dla tylu jej synów i córek, i to często wśród tych najlepszych, jest ona duchowo obecna poprzez fizyczną nieobecność. Z kolei dla tych, co żyją w kraju, ta nieobecność nie jest nieobecnością tylko. Jest wezwaniem. „Nieobecni" nie tylko „nie mają racji" – oni równocześnie składają dziejowe świadectwo. Mówią o Polsce, jaka była – i jaką powinna być. Mówią o tym, jaką była jej prawdziwa cena – i jaką pozostaje.

Dlatego też wasze poświęcenie i trud, krew tylu naszych braci i sióstr, mimo że nie osiągnęły w pełni celów, o które walczono, nie były daremne.

Historia, zwłaszcza historia naszej Ojczyzny, pełna jest szlachetnych czynów. Widzimy je również i we współczesnych nam czasach. Wiadomo, że wysiłki zmierzające do wolności, poszanowania godności człowieka, poszanowania jego pracy, możliwości życia w zgodzie z własnym sumieniem i przekonaniami pozornie nie doprowadziły do zamierzonych celów. Zmieniły jednak duszę Narodu, jego świadomość. Wysiłki te podnoszą ducha. Wskazują na to, że

eprasa.pl 78edc793a0

w życiu istnieją inne wartości, duchowe, moralne, które nie mierzą się wartościami materialnymi, ale są decydującymi wartościami we właściwej hierarchii ludzkiego bytowania.

***

Skąd ta siła wewnętrzna polskiej emigracji? Źródeł jej trzeba szukać nad Wisłą, w wierze Polaków i ich kulturze. Jest ona, jak mówiłem w Gnieźnie w czasie pielgrzymki do Ojczyzny, „[...] wyrazem człowieka. Człowiek ją tworzy – i człowiek przez nią tworzy siebie. I równocześnie człowiek tworzy kulturę we wspólnocie z innymi [...]. Kultura polska jest dobrem, na którym opiera się życie duchowe Polaków. Ona wyodrębnia nas jako naród. Ona stanowi o nas przez cały ciąg dziejów. Stanowi bardziej niż siła materialna. Bardziej nawet niż granice polityczne. Wiadomo, że Naród Polski przeszedł przez ciężką próbę utraty niepodległości, która trwała z górą sto lat – a mimo to pośród tej próby pozostał sobą. Pozostał duchowo niepodległy, ponieważ miał swoją kulturę. Więcej jeszcze, moi kochani: wiemy, że w okresie najtragiczniejszym, w okresie rozbiorów, Naród Polski tę swoją kulturę ogromnie jeszcze ubogacił i pogłębił, bo tylko tworząc kulturę, można ją zachować".

Trzeba dziś powiedzieć, że tak też było po drugiej wojnie światowej. Znane są powszechnie zasługi waszej Emigracji w dziedzinie badań i publikacji dotyczących historii Polski, zwłaszcza jej dziejów w ostatnim stuleciu. Jest to ogromny wkład w poznanie prawdziwej przeszłości narodu. Gdyby zabrakło tego wkładu badawczego i wydawniczego, poznanie przeszłości narodowych dziejów byłoby niepełne.

Powiedziałem też w Gnieźnie, że kultura polska nosi bardzo wyraźne znamiona chrześcijańskie i nie jest przypadkiem, że pierwszym zabytkiem świadczącym o tej kulturze jest „Bogurodzica". Do tych właśnie chrześcijańskich korzeni musimy ciągle wracać i z nich na nowo wyrastać w każdej epoce, bo taka jest prawda o człowieku. Musi on ją wciąż na nowo odkrywać.

Emigracja spełni swoje posłannictwo tym skuteczniej, im wyższy będzie jej poziom etyczny, im bardziej Chrystus będzie ośrodkiem jej życia i działania, im bardziej uwierzy, że tylko On jest „droga, prawdą i życiem" (Io. 14, 6).

W encyklice „Redemptor Hominis" powiedziałem, że „Jezus Chrystus wychodzi na spotkanie człowieka każdej epoki, również i naszej epoki, z tymi samymi słowami: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli" [...]. Przeto również i dziś, po dwóch tysiącach lat, staje wśród nas jako Ten, który przynosi człowiekowi wolność opartą na prawdzie [...]" (IOANNIS PAULI PP. II Redemptor Hominis, 12).

Trzeba powiedzieć, że zrozumieliście i rozumiecie konieczność związania z wiarą i Kościołem. Dlatego też ta Emigracja, jako część Narodu, obejmowała wszystkie warstwy, z całym przekrojem społecznym, z instytucjami politycznymi, kulturalnymi, naukowymi, zawodowymi, ale też z całą organizacją kościelną. Był z wami od pierwszej chwili obecny Kościół ze swoimi strukturami, był Biskup, niezapomniany Arcybiskup Józef Gawlina, a później Rektor Misji, byli duszpasterze i rozwijające się organizacje religijne. Były to jedne z pierwszych ośrodków zorganizowanych. Dzięki zrozumieniu i życzliwości miejscowej hierarchii, ale przede wszystkim dzięki waszej ofiarności i pełnej poświęcenia pracy duszpasterzy powstało tyle polskich kościołów i kaplic, które służą właśnie pogłębieniu więzi z Chrystusem i wprowadzają was w Tajemnice Boże, jednocząc z Chrystusem. Przy ośrodkach duszpasterskich powstały również i szkoły uczące języka polskiego.

JEDYNIE RODZINA BOGIEM SILNA, RODZINA ŚWIADOMA SWYCH CHRZEŚCIJAŃSKICH ZADAŃ MOŻE PODOŁAĆ W REALIZOWANIU ZADAŃ WYCHOWANIA PEŁNEGO CZŁOWIEKA

***

Związanie z kulturą polską dokonuje się w domu rodzinnym, życiu religijnym i organizacyjnym. Natomiast szkoła, studia i życie zawodowe wiąże z kulturą kraju zamieszkania. Więź między krajem ojców a krajem zamieszkania dokonuje się właśnie na płaszczyźnie kulturowej. Ona daje właściwą perspektywę współżycia i przez wychowanie przygotowuje młodego człowieka zarówno do zadań w środowisku emigracyjnym, jak i do przyjęcia właściwej postawy życiowej.

eprasa.pl 78edc793a0

Dlatego też jednym z najważniejszych zadań jest przekazywanie własnej idei następnemu pokoleniu. Emigracja musi więc być zdolna do właściwego wychowania pełnego człowieka. Tylko wówczas młode pokolenie będzie zdolne podjąć idee wolności i prawdy odchodzącego pokolenia.

Wychowanie pełnego człowieka, wychowanie do prawdy i wychowanie w duchu chrześcijańskiej polskiej tradycji rozpoczyna się w rodzinie. Obecny stan moralności publicznej nie zawsze zapewnia rodzinie, a zwłaszcza rodzicom, im właściwy i konieczny autorytet. Wiele na to składa się przyczyn. Wymaga więc rodzina szczególnej troski duszpasterskiej. Jedynie rodzina Bogiem silna, rodzina świadoma swych chrześcijańskich zadań może podołać w realizowaniu zadań wychowania pełnego człowieka, bo – jak mówiłem przy innej okazji – „dzieła wychowania człowieka nie dokonuje się przy pomocy samych instytucji, przy pomocy środków organizacyjno-materialnych, choćby najlepszych [...]. Najważniejszy jest tu znowu człowiek oraz jego moralny autorytet wynikający z prawdziwości zasad i zgodności z nimi jego czynów" (IOANNIS PAULI PP. II Allocutio ad »UNESCO« habita, 11, die 2 iun. 1980: Insegnamenti di Giovanni Paolo II, III, 1 (1980) 1645).

Wołam więc dziś z tego miejsca słowami Adhortacji Apostolskiej Familiaris consortio: rodzino katolicka, odkrywaj znajdujące się w tobie i niedające się stłumić wezwanie! Rodzino, stań się tym, czym jesteś! Zgromadzona razem przez Słowo i Sakrament jako Kościoł domowy, stań się tak jak wielki Kościół, nauczycielem i matką! (EIUSDEM Familiaris Consortio, 17. 38).

***

Dzisiejsze nasze spotkanie chcieliście uczynić równocześnie waszą centralną pielgrzymką z okazji 600-lecia obecności Matki Bożej w Jej Cudownym Obrazie na Jasnej Górze. Wiemy, czym było i czym jest to sanktuarium, ten Jasnogórski Wizerunek dla polskiego narodu.

Włączając się w tę wspólną intencję, która jest i moją, pozwólcie, że wywołam przed oczyma naszej pamięci wielką postać zmarłego Prymasa Polski, śp. Księdza Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Czynię to w naszym zgromadzeniu w pierwszą rocznicę Jego śmierci i pogrzebu, Jego przejścia z tej ziemskiej oiczyzny, której tak niezłomnie służył, do domu Ojca. Czynię to w naszym dzisiejszym zgromadzeniu z tą miłością, z jaką otaczali Go wszyscy rodacy w Polsce i na emigracji, widząc w Nim Męża optrznościowego, danego Ojczyźnie na czas trudnych wyborów, na czas nowej drogi. Widzę w Nim, tak jak i wy wszyscy, człowieka związanego do najgłębszego rdzenia swej duszy z Jasnogórską tajemnicą Matki obecnej w życiu swoich dzieci, w życiu naszego Narodu.

Ci, którzy opuszczali kraj, czy za chlebem, czy z innych powodów, zabierali ze sobą Jasnogórski lub Ostrobramski obraz. Obraz ten był zewnętrznym znakiem ich wiary, ich przywiązania do Chrystusa i Polski. Pierwsi emigranci w tym kraju, ci dawni z zeszłego stulecia, również przynieśli obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, zarówno w Manchester, jak i tu, w Londynie. Gdy Kardynał August Hlond poświęcał pierwszy kościół na Devonii, dedykował go Matce Boskiej Częstochowskiej.

Obraz ten był w czasie ostatniej wojny prawie we wszystkich żołnierskich obozowych kaplicach, podobnie obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej znajdował się często w mundurze polskiego żołnierza. Obrazy Częstochowskiej Pani znajdują się w każdym kościele, gdzie tylko gromadzicie się na modlitwy, zwłaszcza na niedzielne Msze św. Wisi ten Obraz niemal w każdym polskim, emigracyjnym domu.

Rok Jubileuszowy jest rokiem szczególnej odnowy wiary, odnowy życia rodzinnego. Trzeba, by rodzice patrząc na Maryję, na nowo uświadamiali sobie swoją odpowiedzialność i zadania wychowawcze. Na pewno wiele rodzin odmawia Jasnogórski Apel: owo „Jestem przy Tobie, pamiętam, czuwam". Badźmy przy Niej i czuwajmy. Niech będą przy Niej i czuwają starsi. Niech czuwa młodzież. Do was się zwracam, drodzy Młodzi Przyjaciele, w sposób szczególny. Miejcie odwagę podejmować to trudne dziedzictwo i rozwijać je. Tyle jest dziś spraw, tyle wartości, które wymagają czuwania, by człowiek nie zacierał w sobie, w swoich powiązaniach i odniesieniach społecznych, wpisanego weń przez Stwórcę i odnowionego przez Chrystusa obrazu i podobieństwa Bożego, by nie zacierał tego obrazu w innych.

***

Nie jest przypadkiem, że to nasze dzisiejsze niezwykłe spotkanie ma miejsce w Uroczystość Zesłania Ducha Świętego.

„Przyjdź, Duchu Święty,
I zlej z nieba wzięty Światła Twego strumień".

Przekonaj nas o grzechu, o sprawiedliwości i o sądzie (Cfr. Io. 16, 8).

Doprowadź nas do całej prawdy (Cfr. Io. 16, 13).

Otocz w nas Chrystusa chwałą, weź z tego, co jest Jego i objaw nam (Cfr. ibid. 16, 14).

Przypomnij nam wszystko, co Chrystus nam powiedział (Cfr. ibid. 14, 26).

Niech się nie trwoży i nie lęka nasze serce (Cfr. ibid. 14, 27). ■

eprasa.pl 78edc793a0

Ryszard Czarnecki

Przed 32 laty w „polskim" Londynie przeprowadziliśmy – wraz z Krzysztofem Turkowskim – rozmowę z jednym z nestorów polskiej imigracji niepodległościowej, a wcześniej bitnym żołnierzem RP gen. Klemensem Rudnickim. W tej opowieści, której pierwszą część mogli przeczytać Państwo w numerze wakacyjnym (7–8/2020), a drugą w wydaniu listopadowym (11/2020) „Nowego Państwa", są zarówno polska wielkość, polska duma, jak i szczypta polskiej goryczy, a także sposób na to, jak być szczęśliwym.

Zapraszam, wraz ze współautorem rozmowy, do jednego z najciekawszych wywiadów, jakie przeprowadziłem w moim „dawnym", dziennikarskim, życiu. Życzę inspirującej lektury. ■

Naszą emigrację stworzył generał Anders

Generał Anders był wybitnym Polakiem. I świetnym żołnierzem. Był na miarę hetmanów dawnej Polski. Zawsze służył tylko Polsce. A miał przy tym ogromną charyzmę. Przecież żołnierze jak wariaci pchali się na Monte Cassino. Ale to tylko dzięki niemu – z generałem KLEMENSEM RUDNICKIM rozmawiali RYSZARD CZARNECKI i KRZYSZTOF TURKOWSKI.

▶ Panie Generale, jak oceniał Pan w zimie 1941 roku sytuację na froncie?

Uważałem, że Rosja wytrzyma uderzenie niemieckie. Dlatego że w Moskwie, kiedy Niemcy byli pod miastem, to tam panował absolutny spokój. Porządek, żadnej paniki, żadnego zdenerwowania, nic. Z tego, co widziałem, na tyłach, nie wyglądało to na rozbite państwo. [...]

Miałem także załatwić sprawę rekrutacji Polaków do naszej armii. Tu napotkałem na pierwsze kłopoty. Na pierwszym zebraniu pytam się ich, kto ma prawo wstępować do naszego wojska. A oni na to, że tylko obywatele polscy narodowości polskiej.

Połączyłem się z Andersem i spytałem, co mam robić. A on mi odpowiedział, żeby się zgodzić na wszystko, bo ludzie i tak będą się pchali i do naszego wojska dojdą.

Z Jangi-Jul zostałem przeniesiony na zastępcę dowódcy 6. dywizji. To się łączy ze sprawą podsłuchów. W Buzułuku wszystko było na podsłuchu, Sowieci wszędzie pozakładali „pluskwy", ale nasi „dwójkarze" od razu je znaleźli, wyjęli te aparaty znad biurka Andersa. Anders w mojej obecności poprosił Okulickiego i sowieckiego oficera łącznikowego przy sztabie armii. Anders wyciąga z szuflady mikrofon i mówi: „To znaleźli nasi ludzie. Po co wy to robicie?". Przyjechała komisja z Moskwy, prowadziła badania, zameldowała, że to są stare rzeczy, że założono kiedyś i nie ma to nic wspólnego z polską sprawą.

Obejmując Jangi-Jul wiedziałem, że trzeba uważać. I rzeczywiście kilka dni po przyjeździe wiedzieliśmy, że jest to samo. Specjalnie to założono. Wobec tego Okulicki wezwał Wołkowickiego, oficera NKWD, łącznikowego, i powiedział, że on sobie wyprasza takie rzeczy. I ten enkawudzista znikł. Ale trzeba było wycofać Okulickiego. Poszedł na dowódcę 7. dywizji. Okulicki bardzo się zdenerwował i zagroził Wołkowickiemu wielką awanturą. On stawiał sprawę ostrzej niż generał Anders. A szefem sztabu został Szyszko-Bohusz. Ja poszedłem do Tokarzewskiego. I tam byłem aż do ostatecznej ewakuacji. Wyjeżdżałem z Rosji prawie ostatnim transportem.

eprasa.pl 78edc793a0

Na końcu był jeszcze ppłk Zygmunt Berling...

Tak. On był szefem ewakuacji. Po raporcie, który miał on u Andersa, a byłem przy tym, kiedy Anders skazał go na 21 dni aresztu. A było tak. Generał Boruta-Spiechowicz zawiesił w czynnościach swego szefa sztabu – Berlinga. Anders wezwał ich obu do raportu. Boruta-Spiechowicz powiada: „Musiałem go zawiesić, ponieważ on nie wykonał mojego rozkazu". Za to Anders skazał Berlinga na areszt. Po raporcie Anders powiada do mnie: „Wiesz, jak Berling taki przyjaciel Stalina, to niech pilnuje w Krasnowodzku, żeby wszystkich nas ewakuowali".

Panie Generale, czy panowie podejrzewali prosowieckie sympatie Berlinga?

Nie tylko podejrzewaliśmy. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości. Wiedzieliśmy, że był w willi „Małachowka" z kilkoma innymi, że tam ich przeszkolono. Wiedzieliśmy, że oni go trzymają w rezerwie. Doskonale zdawaliśmy sonie sprawę z tego, kim jest Berling. Ja go dobrze znałem jeszcze sprzed wojny. To był bardzo inteligentny człowiek, z 5. Pułku Legionów, z tych „zuchowatych". Miał jakieś trudności moralne, został zdjęty z dowództwa i wysłany do Komendy Uzupełnień. To było zupełne dno. On się za to obraził. Jak to, to jego koledzy od „zuchowatych" są generałami, wojewodami, a on niczym?

I Sowieci to wykorzystali. On nigdy nie wierzył w komunizm. Miał za to kolosalne ambicje. I postanowił się odkuć. Chciał wkroczyć z Sowietami do Warszawy i odegrać rolę Piłsudskiego.

Jak Pan Generał ocenia z perspektywy lat decyzję o ewakuacji?

To była konieczność. Nie było innej rady. Próba współpracy z Sowietami rozpoczęta przez Sikorskiego okazała się zupełnie nierealna. Gdyby Anders dał się kupić, to zatracono by polską armię. A trzeba pamiętać, że Stalin robił wszystko, aby kupić Andersa. Tymczasem Andersowi udało się stworzyć bardzo mocną moralnie armię, której nie dałoby się rozbić bez rozlewu krwi.

Ewakuacji chciał Anders, chciał Sikorski, chciał Stalin. Innego wyjścia nie było.

Jak przebiegała Pana dalsza służba?

Jako zastępca Tokarzewskiego poszedłem do Persji i Iraku, gdzie nastąpiło przeorganizowanie. Z 5. i 6. dywizji stworzono jedną, Kresową pod Sulikiem [pułkownik, potem generał Nikodem Sulik, wcześniej dowódca 13. pułku piechoty „Rysiów" – przyp. R.Cz.]. Ja dostałem 6. Brygadę Lwowską. Mieliśmy tam Batalion „Dzieci Lwowskich", z których powstał Pułk Pancerny „Dzieci Lwowskich", to wszystko lwowiacy. Był cudowny lwowski nastrój. Tokarzewski świetnie takie rzeczy prowadził. W Rosji przed każdym namiotem była ułożona z kamieni mapa Polski, ze Lwowem. Sowieccy pułkownicy robili o to straszne awantury.

Stacjonował Pan w Palestynie. Czy zdarzały się u Pana wypadki dezercji żołnierzy narodowości żydowskiej?

Tak. Widzieliśmy to tak, że szereg Żydów wbrew woli sowieckiej wyjechało z nami, na przykład Begin [Menachem Begin – urodzony w Brześciu nad Bugiem jako Mieczyslaw Biegun, późniejszy dwukrotny premier Izraela – przyp. R.Cz.] był u nas kapralem. To byli zwolennicy Żabotyńskiego [Ze'ew – Władimir Żabotynski, lider syjonistów – przyp. R.Cz.]. Tam się toczyła walka między okupantem, czyli Brytyjczykami, a „Haganą". Jeśli chodzi o dezercję tych 800 Żydów, podobno Begin poszedł do Andersa i powiedział, że teraz jego ludzie idą do walki jako „Hagana" z Brytyjczykami. A na to Anders miał powiedzieć, że ich rozumie i nie będzie ich ścigał. Faktem jest, że Anders zakazał żandarmerii ścigania uciekinierów żydowskich.

Potem przychodzą Włochy i Monte Cassino.

Do Włoch zostałem posłany już w listopadzie 1943 roku, żeby zrobić rekonesans. Byłem wtedy w 78. dywizji brytyjskiej na stażu. Ale potem, na przełomie 1943 i 1944 roku, wylądowaliśmy w Taranto i byłem tam jako zastępca generała Sulika, w 5. dywizji. I tak zacząłem tę wojnę. Mieliśmy układ z Brytyjczykami, że nasz korpus musi przejść wcześniej rodzaj przeszkolenia wojennego, takie „otrzaskanie" z ogniem. Do marca 1944 roku byliśmy na takim drugorzędnym froncie. Dopiero po klęsce Nowozelandczyków pod Monte Cassino przyszła decyzja o majowej ofensywie. I że w tej ofensywie wezmą udział korpus brytyjski i polski.

Nie mieliśmy wyboru, czy się bić. Wybór zostawiono tylko Andersowi: w dolinie czy w górach? Kto słyszał o dolinie rzeki Lizy? A o klasztorze Monte Cassino – wszyscy. Idziemy na klasztor. Pierwsze natarcie prowadziła 5. brygada pod dowództwem płk. Kurka, bardzo dzielnego żołnierza. W czasie pierwszego natarcia byłem razem z Sulikiem. Rodzi się pytanie: czy można było obejść Monte Cassino, czy bitwa była potrzebna? Była. Z takimi wojskami, jakie mieli Brytyjczycy czy Amerykanie. Wszystko było na trakcie

eprasa.pl 78edc793a0

motorowym. [...] Dlatego Monte Cassino musiało być zdobyte.

Nie wolno nam było zdradzić, że my tam jesteśmy. Wobec tego nie można było rozpoznać pozycji, aby nie utracić jakiegoś jeńca. Trzeba było iść na ślepo. O ile w 3. dywizji było 70 metrów od przeciwnika na Głowie Węża, to u nas były 3 kilometry. Myśmy nie znali nawet źródeł ognia.

Drugie natarcie prowadziłem ja. Kiedy złamała się 5. dywizja, zostałem wysłany 12 maja rano pod klasztor. Miałem zrobić porządek i objąć dowództwo. Odwołano planowane natarcie na popołudnie 12 maja i przesunięto je na 16 maja. Miałem więc trochę czasu na przygotowanie. Byliśmy gotowi do ataku bardzo porządnie. Ruszyliśmy w nocy. Pierwszy uderzył na Widmo 16. batalion dowodzony przez Stańczyka [ppdł Andrzej Stańczyk – dowódca 16. Lwowskiego Batalionu Strzelców, bohater wojny 1920 roku oraz spod Narviku w 1940 roku – przyp. R.Cz.]. Po dużych kłopotach zdobył jedną część tego Widma. Kiedy zameldowano mi, że Widmo jest nasze, o świcie skierowałem do San Angelo 17. batalion, mówiąc mu, że ma przejść przez dolinę. „Nie wolno Wam się cofać. Macie pchać się do góry, wtedy unikniecie ognia niemieckiego" – instruowałem.

Batalion poszedł. Pod wieczór sytuacja stała się bardzo kryzysowa. Żołnierze byli już pod szczytem. Doszło ich tam niewielu. Zabrakło wody i amunicji. Kompania Leskiewicza [Jan Leskiewicz – szef kompanii, jeden z bohaterów spod Monte Cassino – przyp. R.Cz.] zatrzymała się pod samym szczytem i kiedy zabrakło amunicji, to zaczęła rzucać w Niemców kamieniami i śpiewać: „Jeszcze Polska nie zginęła". Tak było.

Już 17 maja Niemcy podjęli decyzję o odwrocie. To była bardzo ciężka bitwa i bardzo dużo nas kosztowała. 900 zabitych. Walczące bataliony miały po 25 procent strat.

Po tej bitwie aliancki dowódca zaproponował rozwiązanie korpusu i stworzenie tylko jednej dywizji. Anders odmówił i powiedział: „Ja będę miał uzupełnienia. Moje uzupełnienia są z przodu". Poszedł z tym do Alexandra [marszałek polny Harold Alexander, późniejszy brytyjski minister obrony i gubernator Kanady – przyp. R.Cz.], który to zrozumiał, że mamy mnóstwo Polaków w obozach jenieckich, w Afryce, siłą wciągniętych do wojska niemieckiego. I myśmy ściągnęli ich do naszego wojska.

W walce o Bolonię dowodziłem dywizją, w której dwie brygady składały się wyłącznie z Polaków z armii niemieckiej. [...]

▶ Co było dalej?

Przyszedł początek 1945 roku. Sytuacja Polski na arenie międzynarodowej była coraz mniej korzystna. Wracając z Jałty Churchill odbył rozmowę z generałem Andersem. Anders zorganizował odprawę, powiadomił nas o Jałcie, o popełnionej tam zbrodni. I wtedy stanęliśmy przed problemem: „Bić się czy nie bić?". Pojawiła się wątpliwość, czy mamy prawo żądać od żołnierza oddania życia. Zwłaszcza wobec oddania Stalinowi połowy Polski.

Anders pytał nas o zdanie. Powiedziałem, że Niemcy nie są jeszcze pobite i musimy skończyć z nimi tę wojnę. Pozostawała nam nadzieja, że zrodzi się konflikt na linii Wschód–Zachód i nasze sprawy załatwimy później. Najpierw obowiązek, a potem przyjemność, czyli wojna z Sowietami. I tak zdecydował sam Anders. Takich deklaracji oczekiwał, zresztą wcale rad nie potrzebował, gdyż doskonale wiedział, co robić.

I biliśmy się aż do końca. Po zajęciu Bolonii zostałem przeniesiony nagle do Niemiec, aby objąć I Dywizję Pancerną, która właśnie wchodziła do Niemiec. Pojechałem tam z listem do Montgomery'ego [sir Bernard Law Montgomery – brytyjski marszałek polny, późniejszy naczelny dowódca brytyjskiej armii, jeden z najbardziej kontrowersyjnych dowódców alianckich – przyp. R.Cz.] od mojego dowódcy 6. armii McLeary'ego, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem. To był pierwszorzędny człowiek.

W Holandii zameldowałem się u Montgomery'ego jako nowy dowódca dywizji. Montgomery przyjął mnie bardzo dobrze, ale zażądał, żeby Maczek dowodził do zakończenia kampanii.

Po kapitulacji Niemiec Maczek odleciał do Szkocji, żeby objąć korpus. Ten korpus miał przyjść do Niemiec, gdzie miał przejąć II Korpus i planowano stworzyć wielką armię polską. To był plan Andersa i został zaakceptowany przez generała Alexandra. Ale obalił to Churchill. Na to Stalin nigdy by się nie zgodził.

W czasie, kiedy zapadła decyzja o zaprzestaniu uznawania rządu polskiego, Montgomery wezwał mnie do siebie na rozmowę. Odbyła się ona w obecności dowódcy mojego korpusu – gen. Sir Ivora Thomasa [gen.Gwilym Ivor Thomas – brytyjski dowódca 43. Dywizji Piechoty podczas kampanii w Europie Zachodniej od czerwca 1944 roku – dop.R.Cz.]. Rozmowa była bardzo prosta. Zapytano mnie, jak traktuję obecne decyzje polityczne. Montgomery spytał: „Czy mogę liczyć na Pańską dywizję?". Byliśmy jedyną w pełni gotową jednostką, gdyż Brytyjczycy byli już w trakcie demobilizacji, a nikt nie wiedział, co zrobią Niemcy. Powiedziałem: „Panie Marszałku, mamy swój legalny rząd z siedzibą w Londynie. Jeżeli mi każą, to może Pan na mnie liczyć. Ja Was nie zdradzę". Montgomery był najmniej sympatycznym ze wszystkich generałów, z którymi walczyliśmy. Zupełnie nie rozumiał naszej sytuacji. To był czysty żoł-

eprasa.pl 78edc793a0

nierz, który wykonywał rozkazy swego premiera. Nie miał do nas żadnych sympatii. [...]

Sytuacja Andersa była dla mnie zupełnie jasna. On wierzył, że musi dojść do wojny Wschód–Zachód. Dlatego należało utrzymać jak najwięcej ludzi i nie dać się rozproszyć. Kazał mi robić to samo w Niemczech.

Ja byłem w nieco innej sytuacji. W Niemczech 1,5 miliona Polaków, obozy jenieckie. Ale moje stanowisko było takie samo jak Andersa. [...] „Ogromne obowiązki w Niemczech spadają na Pana, ma Pan kilkanaście tysięcy uzbrojonych ludzi pod sobą, 1,5 miliona Polaków patrzących na Pana" – usłyszałem. Wezwałem mego szefa sztabu, płk Stankiewicza, i powiadam: „Skończyła się wojna. Teraz obowiązkiem naszej dywizji jest ratowanie naszej ludności tutaj". Stworzyłem specjalny sztab ze Stankiewiczem na czele, potem Zygmunta Gałeckiego, z 2. Pułku Ułanów Legionowych. Wszystkim ulicom ponadawaliśmy lwowskie nazwy. To trwało do 1947 roku. Okazało się to strasznie niewygodne dla Brytyjskiej Komisji Kontroli UNRRA – ta, która miała pomagać, w rzeczywistości przymuszała Polaków, żeby wracali do Polski. W końcu w 1947 roku przyszedł do mnie pułkownik z Komisji Kontroli i powiedział mi w zaufaniu, że zapadła decyzja, że Maczków musi być oddany Niemcom. Zapytałem go, kto to ma wykonać. I w odpowiedzi usłyszałem, że ja, jako gubernator. Zgodziłem się, że wykonam polecenie, ale pod warunkiem, że dostanę rozkaz na piśmie – i ten rozkaz poślę natychmiast do Londynu i tam będą interpelacje w parlamencie.

Nigdy na piśmie rozkazu nie dostałem. I Maczków trwał do jesieni 1947 roku jako miasto polskie.

TRZEBA KOCHAĆ ŻYCIE, TRZEBA MIEĆ PASJĘ. CZŁOWIEK ŻYJE NIE TYLKO CHLEBEM, LECZ TAKŻE DUCHEM. JEŻELI ZNAJDZIE SIĘ POKARM DLA DUCHA, TO SIŁ FIZYCZNYCH STARCZY. TO JEST MOJA RECEPTA NA ŻYCIE.

(z udziałem) Niedzielskiego, kwatermistrza z 10. brygady. Udało się nam fantastycznie zorganizować pomoc. Mieliśmy pocztę polową, opiekę społeczną, mniej więcej robiliśmy to samo co kilka lat wcześniej w Rosji.

Aby to wszystko funkcjonowało, potrzebne mi było jakieś polskie miasto. Przyjechał do mnie generał Horrocks [Brian Gwynne Horrocks – brytyjski lieutenant general, uczestnik obu wojen światowych, dwukrotnie jeniec wojenny – przyp. R.Cz.], dowódca 30. Korpusu, któremu podlegałem, wielki przyjaciel Polaków, i spytał, co może dla mnie zrobić. Poprosiłem go o jedno miasto. Generał powiedział: „Good idea" [dobry pomysł – przyp. red.], pojechaliśmy i wybraliśmy to miasto. Było to na samej granicy holenderskiej – miasto, które miało 4 tysiące mieszkańców. W ciągu 25 godzin Niemcy mieli się stamtąd wynieść i zostawić wszystko na miejscu. Tak się stało i miasto powierzono mnie. Oczywiście nazwano je Maczków. Stał się przede wszystkim centrum szkolnictwa. Centrala była w Maczkowie, ale organizacja objęła całe Niemcy. Później utworzono harcerstwo. Opiekę społeczną. Przyjeżdżało mnóstwo ludzi, uciekinierów z Polski. Na burmistrza Maczkowa powołałem mego przyjaciela

Ilu tam było ludzi?

Polaków było 9, może 10 tysięcy. Było to jedyne wolne polskie miasto na świecie.

W końcu przyszedł rozkaz oddania broni i przeniesienia całej dywizji do Wielkiej Brytanii. Byłem wtedy zastępcą generała Kopańskiego [Stanisław Kopański – dowódca Brygady, potem Dywizji Strzelców Karpackich, w latach 1943–1947 Szef Sztabu Naczelnego Wodza – przyp. R.Cz.], który był szefem Korpusu Rozmieszczenia i Przystosowania. Miałem przez dwa lata etat generalski i potem musiałem pójść do pracy jak wszyscy.

To był przeskok – generał przechodzi do cywila.

Powiedzieli mi, że pieniędzy nie dostanę, gdyż polskie emerytury przekazano do Polski. Zaproponowano mi, żebym pojechał jako prywatna osoba do Polski. A mnie w międzyczasie pozbawiono obywatelstwa. Wobec tego uznałem, że mam prawo być traktowany w Anglii jak każdy obywatel brytyjski. Poszedłem do pośrednictwa pracy, a tam spytano mnie, kim jestem z zawodu. Odpowiedziałem, że służyłem w kawalerii. A oni na to, że świetnie. Bardzo potrzeba im „groomów" [stajennych – przyp. R.Cz.] do koni. Cóż, musiałem im podziękować. Dali

eprasa.pl 78edc793a0

mi jednak 1000 funtów ex gratia i 2000 funtów pożyczki na 10 lat, bez procentu. Kupiłem sklep na Fulham Road [główna ulica londyńskiej dzielnicy Fulham – przyp. R.Cz.) z antykami, z meblami. Rzeczywiście zarabiałem bardzo dużo, zatrudniałem ze dwunastu pracowników. Wtedy nasi Polacy pozbawieni wszystkiego kupowali domy, biorąc pożyczki, które łatwo było dostać. Tak właśnie powstały polskie majątki na Wyspie.

Sklep prowadziłem do początku lat 50. Moją prawą ręką był mój dowódca brygady, generał Nowina-Sawicki. Ale z czasem za bardzo zaczęliśmy inwestować i ponosiliśmy straty.

Tymczasem ja uczestnicząc w licytacjach, na których zdobywałem meble, widziałem tam mnóstwo obrazów. Malarstwo zaś zawsze było moim hobby i zacząłem je skupywać. W związku z tym, że były bardzo zniszczone, zacząłem prowadzić renowację. Spotkałem pułkownika Szyllinga, sapera, mojego kolegę jeszcze ze Szkoły Wojennej, i okazało się, że on jest specjalistą od renowacji obrazów. Od niego nauczyłem się zasad konserwacji. Jak umiałem, tak obrazy konserwowałem, a potem sprzedawałem. Zobaczył to pewien właściciel galerii obrazów z New Bond Street i zaproponował mi, żebym zostawił sklep i przyszedł do niego. Okazało się, że chodzi o rzucenie dużej liczby obrazów olejnych na rynek skandynawski, a w Anglii minęła na to już moda. I tak poszedłem do niego. Pracowałem tam przez dwa lata. On nam dostarczał obrazy, a myśmy je restaurowali. Co miesiąc jechał z obrazami do Sztokholmu i sprzedawał je z dużym zyskiem. Przez dwa lata wypełnił rynek skandynawski.

A ja przy okazji nabrałem wprawy przy konserwacji, która nie była konserwacją muzealną, tylko handlową. Kiedy był jakiś ładny portret kobiety, to domalowywało się róże na dole, a kiedy był portret człowieka z wąsami, to trzeba było te wąsy zgolić.

Ponieważ byłem już dość znany, zwróciło się do mnie ministerstwo opiekujące się dziełami sztuki, że jest do odnowienia sufit malowany w 1729 roku w Moore Park i zaproponowano mi jego renowację. I w końcu jako generał pracowałem na rusztowaniu.... Bardzo dobrze na tym zarabiałem. Później pracowałem także w Ameryce przez kilka lat. Dużo się przy tym nauczyłem.

▶ Panie Generale, a jaka jest recepta na taką, jak Pana Generała, aktywność?

To jak Pan Bóg da zdrowie. Wydaje mi się jednak, że podstawą jest miłość. Trzeba coś kochać. I to nie tylko jak dawniej, za młodych lat kochało się kobiety. Trzeba kochać życie, trzeba mieć pasję. Człowiek żyje nie tylko chlebem, lecz także duchem. Jeżeli znajdzie się pokarm dla ducha, to sił fizycznych starczy. To jest moja recepta na życie.

▶ A jakby Pan Generał scharakteryzował dorobek polskiej emigracji niepodległościowej?

Dorobek jest kolosalny. A to dlatego, że oparliśmy się na tym, że jesteśmy ciągle suwerennymi wojskami. I dalej zostaliśmy żołnierzami wolnej Polski. To nam pomogło. Wielką rolę odegrał u nas prezydent Raczyński. On pierwszy powiedział, że naszą rolą jest teraz służebność Polsce.

▶ Panie Generale, stykał się Pan w życiu z wieloma ludźmi, lecz dzisiaj w rozmowie padało najczęściej nazwisko tu na emigracji i w kraju legendarne – Władysława Andersa. Czy mógłby Pan przybliżyć generała jako człowieka i dowódcę?

Pochodził gdzieś z Bałtów, w Rydze uczęszczał na uniwersytet, był w „Arkonii" [„Arkonia" – polska Korporacja Akademicka, założona w 1879 roku na politechnice w Dorpacie, czyli Rydze – przyp. R.Cz.]. Był wybitnym Polakiem. I świetnym żołnierzem. Jeszcze za rosyjskich czasów, w tamtej armii skończył jako podpułkownik z wszystkimi najwyższymi odznaczeniami. Posiadał bardzo silną wolę. Miał zdolność wydawania rozkazów, przydzielania zadań i pozostawiał swobodę wykonywania tych zadań. Swoje zdolności polityczne pokazał w Rosji, nikt by tak dobrze nie mógł rozwiązać problemu współpracy z Sowietami jak on.

Był na miarę hetmanów dawnej Polski. Zawsze służył tylko Polsce. A miał przy tym ogromną charyzmę. Przecież ci żołnierze jak wariaci pchali się na Monte Cassino. Ale to tylko dzięki niemu.

Naszą emigrację stworzył generał Anders. On był dowódcą „Polskiego Londynu"... ■

_____

Klemens Stanisław Rudnicki, ps. „Klimek" (urodzony 28 marca 1897 w Żydaczowie nad Stryjem w pobliżu Lwowa, zmarł 12 czerwca 1992 w Londynie) – oficer dyplomowany kawalerii Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. 1 kwietnia 1945 roku mianowany generałem brygady, a 11 listopada 1990 roku mianowany przez Prezydenta RP na Uchodźstwie generałem dywizji.

Ryszard Czarnecki – historyk i polityk.

Krzysztof Turkowski – były wiceprezydent Wrocławia, pracuje w Telewizji Polsat.

Rozmowa przeprowadzona w Londynie w 1988 roku.

eprasa.pl 78edc793a0

CYFROWY POLSAT

MASZ INTERNET? TERAZ NOWOŚĆ!

TELEWIZJA INTERNETOWA OD CYFROWEGO POLSATU BEZ ANTENY!

WYBIERAJ I WŁĄCZAJ PAKIETY, KIEDY CHCESZ!

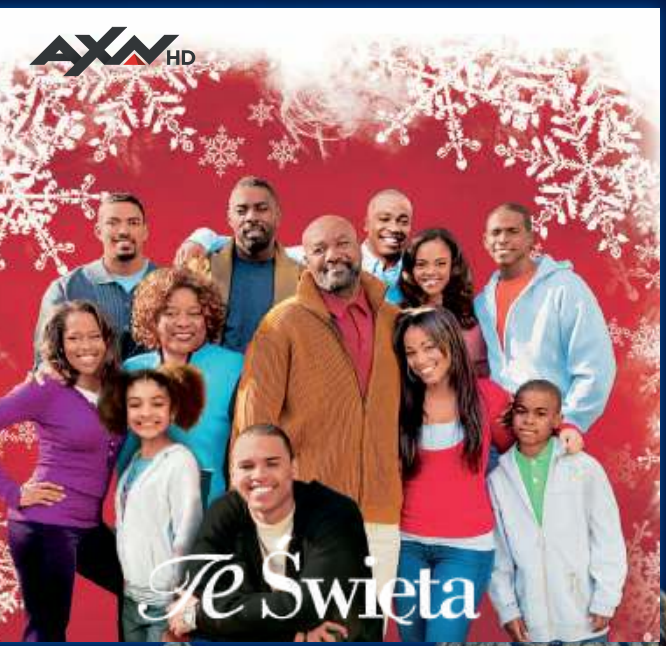

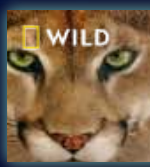

Na start ponad **100 kanałów** przez **3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!**

TV INTERNETOWA

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Oferta telewizji internetowej dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe z opłatą podstawową 10 zł/mies., nieuwzględniającą opłat za dokupywane przez Klienta pakiety telewizyjne. Opłata nie dotyczy dekodera na własność. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty 1 zł za aktywację dekodera oraz opłat za dostęp do internetu. Usługa wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.

„Te święta". © 2007 Screen Gems, Inc. All Rights Reserved. LaLiga Santander, Bundesliga, Serie A TIM w ELEVEN SPORTS| Zdjęcia: DFL/Bundesliga via Getty Images, Getty Images

1

MAGIA HO

2

Agnieszka Kowalczyk

Wieczna muzyka bije z każdej strony, z dancingów, barów i kin, bo to przecież „grający hotel. Tańcząca stolica. Szalone miasto [...]. Hollywood! Jest co pokazać. Jest na co patrzeć i o czym pisać" – relacjonował swoje wrażenia z pobytu w stolicy światowego kina polski dziennikarz Aleksander Janta-Połczyński w 1934 roku.

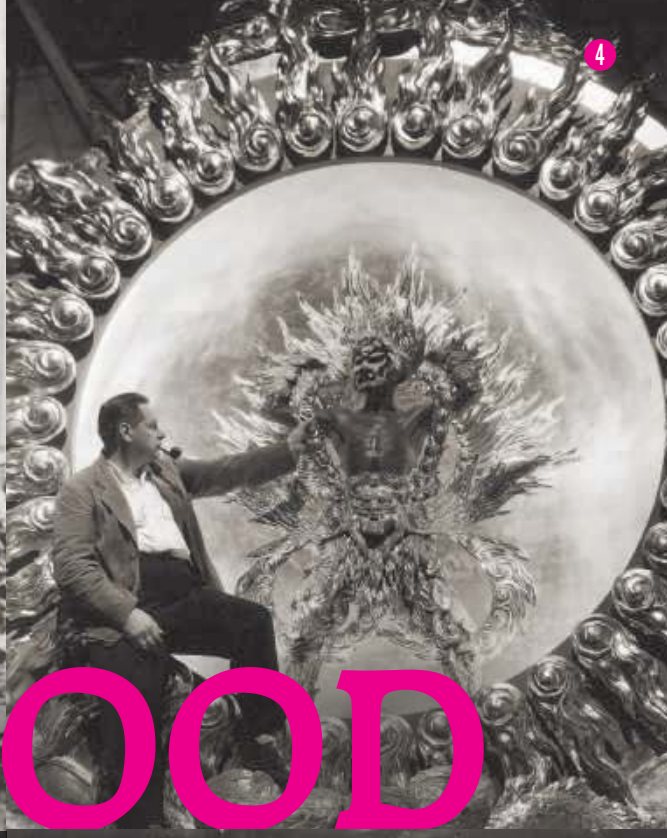

LLYWOOD

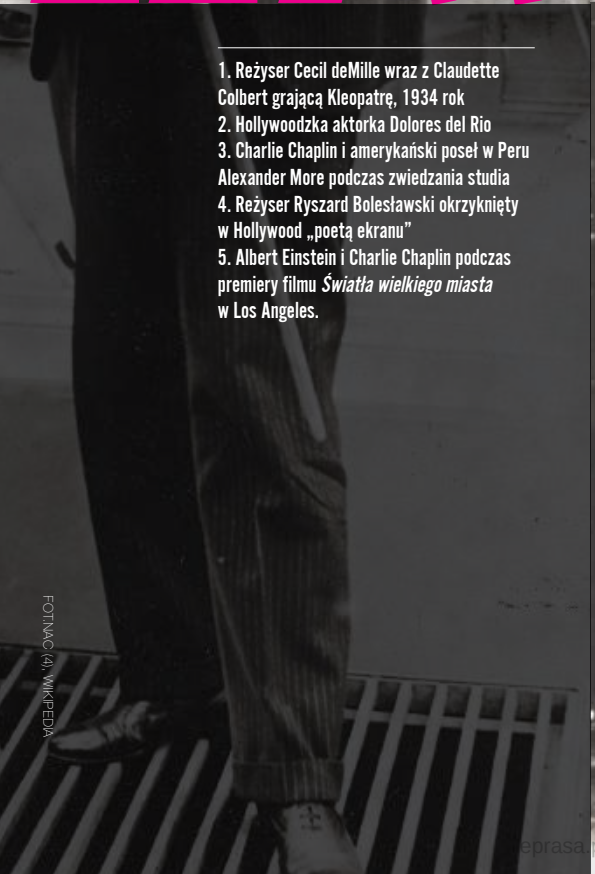

1. Reżyser Cecil deMille wraz z Claudette Colbert grającą Kleopatrę, 1934 rok
2. Hollywoodzka aktorka Dolores del Rio
3. Charlie Chaplin i amerykański poseł w Peru Alexander More podczas zwiedzania studia
4. Reżyser Ryszard Bolesławski okrzyknięty w Hollywood „poetą ekranu”
5. Albert Einstein i Charlie Chaplin podczas premiery filmu *Światła wielkiego miasta* w Los Angeles.

FOTO NAC (4), WIKIPEDIA

eprasa.pl 78edc

Do amerykańskiej stolicy filmu, lśniącej blaskiem gwiazd światowej kinematografii, wyruszył w 1934 roku polski dziennikarz Aleksander Janta-Połczyński, którego żywiołem były podróże do najbardziej odległych zakątków świata – Chin, Indii, Mongolii, Etiopii czy Afganistanu. Na mapie jego wędrówek nie mogło zabraknąć oczywiście Hollywood, leżącego w sąsiedztwie pustyni Mojave okolonej górami, przed którymi rozciągały się pomarańczowe gaje „kwitnące księżycowym zapachem". Ulice miasta, w ciągu dnia nagrzane kalifornijskim słońcem i kuszące palmami, zaczynały tętnić życiem wraz z nastaniem wieczoru. Już w chwili przyjazdu polskiemu podróżnikowi Hollywood miało się objawić w całej swej krasie, bo oto świętowano tam premierę nowego filmu „Wonder Bar" – komedii muzycznej z Johnsonem Dickiem Powellem, Dolores del Rio i Ricardo Cortezem w rolach głównych. Przed „buchającym światłami" kinem stały wielkie wozy z reflektorami, na estradzie grała na cały głos orkiestra, a natarczywy tłum napierał ze wszystkich stron, żądny widzieć swych ulubieńców.

I już są... Panie w wieczorowych kreacjach, w jedwabiach, sobolach, gronostajach, w sukniach z dekoltami „po sam pas", oplecione mieniącą się biżuterią, a panowie iście po amerykańsku – „na szaro albo na sportowo", bo panuje tu powszechna niechęć do smokingów. Goście schodzą się wśród nieustających braw i okrzyków. W tym momencie tysiące mieszkańców Los Angeles, jeśli nie całej Kalifornii, zasiada przy radioodbiornikach. „Z mikrofonu wali na salę symfonia głosowa całego słuchowiska. Wrzawa, gwar, szepty, śmiechy". Speaker zapowiada z werwą przybycie kolejnych osobistości kina i gwiazd „Wonder Bar". Pierwsza staje przed publicznością odtwórczyni głównej roli – Dolores del Rio – piękność w niebieskiej sukni z orchideami i aksamitnym kapeluszu wprost z Paryża. „Woła »hallo« do mikrofonu i mówi, że cieszy się, że tu jest...".

Janta-Połczyński przygląda się temu wszystkiemu, dostrzegając jednocześnie, że ten cały hollywoodzki ceremoniał obliczony jest na zysk, na rozkręcenie filmowej koniunktury, na wypromowanie przeboju niezależnie od jego wartości artystycznej. Gwarantem sukcesu zaś jest urządzana z rozmachem premiera, która zawsze „lansuje film, bo przy tej okazji powtarza się po tysiąc razy jego obsadę, jego tytuł i wszystkie zalety, i ogłasza urbi et orbi, że jest niesłychany, że świat, a już przede wszystkim kontynent amerykański, nie widziały niczego podobnego, że to ostatnie słowo i ostatni krzyk sztuki".

Człowiek i mysz

Jednym z najbardziej ekscytujących momentów, jakie towarzyszyły zgłębianiu tajników tego gigantycznego laboratorium filmowego, stała się dla Janty-Połczyńskiego wizyta w legendarnym studiu Walta Disneya, w którym „dla dzieci całego świata, od lat pięciu do stu, rodzą się przygody najczarowniejszej z wszystkich gwiazd Hollywood: myszki Mickey". Nad ich obmyślaniem pracował dzień w dzień cały sztab ludzi – 170 artystów i techników, którzy nadawali swym pomysłom realne kształty dzięki sztuce ożywiania obrazów. Nad wszystkim zaś czuwał ów spiritus movens całego przedsięwzięcia – Walt Disney we własnej osobie – „autor myszki i jej wyłączny właściciel". Był to self-made man, człowiek o artystycznej duszy, wulkan pomysłów i energii, obdarzony niepospolitą wyobraźnią i poczuciem humoru. Zanim został szefem wytwórni filmów rysunkowych, parał się różnymi zajęciami – był roznosicielem gazet, boyem sprzedającym cukierki w pociągach, listonoszem, potem wodewilistą i komikiem, świetnie naśladującym Charliego Chaplina. Od najmłodszych lat uwielbiał rysować i gdy w końcu miał już dość bycia chłopcem na posyłki, postanowił powrócić do swojej prawdziwej pasji. Podjął pracę w przedsiębiorstwie reklamowym, gdzie wykonywał przeźrocza dla kin, wyświetlane w przerwach między seansami. Wtedy też wpadł na pomysł, by ożywić swoje rysunki, wprawiając je w ruch. I tak się zaczęło –„rysował różne filmy, filmował różne rysunki, ale rynek odnosił się do tych rysowanek raczej sceptycznie. Były chwile, że brało. Ale potem były lata, że nie". Wielkim przełomem w życiu Disneya okazał się rok 1927, w którym narodziła się najsłynniejsza myszka świata. Nadał jej najpierw imię Mortimer, po czym zmienił je na Mickey i tak już zostało. „Chwyciło – kontynuuje swą opowieść Janta-Połczyński. – I jak jeszcze! Kapitaliści w Hollywood teraz nagle chcieli dać pieniądze. Grube pieniądze, każdą ilość za wyłączne prawo eksploatacji człowieka i jego myszy. I tu raz jeszcze uparł się Disney. Nie wziął. Nie chciał być wmieszany w politykę wewnętrzną jakiejkolwiek wytwórni. Nie chciał być zależny i skrępowany czyimiś pieniędzmi. I raz jeszcze wygrał. Jest sam jeden dzisiaj właścicielem niemałej sławy, niemałej wytwórni i małej myszki Mickey. Zdobył dla niej naprawdę cały świat".

Charlie Chaplin prosi na herbatę

By zdobyć w Hollywood zastrzeżony numer telefonu Chaplina, należało zapłacić komu trzeba pięć dolarów, o trzy więcej niż w przypadku innych

eprasa.pl 78edc793a0

gwiazd filmowego imperium. Telefony w jego domu odbierali służący u niego Japończycy, którzy nabrali już wprawy w rozpoznawaniu głosów ważnych i ważniejszych. Janta-Połczyński miał jednak wiele szczęścia, gdyż dzięki wpływowemu protektorowi, jakim był William Hearst, król prasy amerykańskiej, został zaproszony przez Charliego Chaplina na herbatę.

„Na progu teraz staje Chaplin i wyciąga do mnie obie ręce, i wita uśmiechem młodej twarzy i zdrowych zębów przy zupełnie siwych włosach – opowiada polski dziennikarz. – Ale Chaplinów jest dwóch. Ten drugi, ten rzeczywisty, którego dłoń ściskam w mej ręce, postać właściwie nieznana. Gdzież się podział wąsik, czarna czupryna, melonik, laseczka i zdeptane, za wielkie buty całemu światu znane? Gdzież jest włóczęga, nad którego losem śmiały się i płakały tłumy we wszystkich krajach? Jakże inny, jakże obcy zdaje mi się na początek Chaplin »po cywilnemu«. Potem dopiero odkryję, że jest między nimi dwoma głębokie, prawdziwe i przede wszystkim wewnętrzne podobieństwo".

Tymczasem gospodarz zaprasza gościa z Polski do obejrzenia swojej pracowni. Okazuje się, że to niewielki, zwyczajny, a nawet dość brzydki pokoik, przypominający trochę jadalnię urządzoną w mieszczańskim stylu. Na środku znajduje się duży stół, przy nim pewnie wymyśla się i spisuje dialogi, z których później śmieje się cały świat. Stoi tu jeszcze pianino. Chaplin słynie przecież z tego, że jest muzykalny i że skomponował muzykę do swego filmu „Światła wielkiego miasta". Mówi, że czuje się już bardzo znużony wymyślaniem od samego rana zabawnych rzeczy. „Nie ma pan pojęcia, jaka to męcząca robota" – dodaje z uśmiechem. Goście przyjechali w samą porę, bo to najlepszy moment na przerwę. Przed wytwórnią czeka już limuzyna, którą wkrótce pomkną palmową aleją wprost do rezydencji Chaplina w Beverly Hills.

Ochłonąwszy po pierwszych wrażeniach Janta-Połczyński przygląda się bliżej amerykańskiej gwieździe – komik jest „malutki", ma drobne nogi i ręce, najmniejsze, jakie kiedykolwiek oglądał u dorosłego człowieka, i bardzo dużą głowę z białą czupryną. Jego zaś życie, o którym opowiada całe Hollywood, jest jedną wielką improwizacją, bez programu, szablonu i ram, czymś zupełnie spontanicznym i niezwykłym. To człowiek całkowicie oderwany od przestrzegania jakiegokolwiek harmonogramu dnia, nieskrępowany terminami, programami ani rozkładami jazdy. Charlie Chaplin nie obnosi się ze swoją sławą. Rzadko można go zobaczyć „na mieście". Choć jest osobą nadzwyczaj towarzyską i garnie się do ludzi, w wyborze przyjaciół okazuje się bardzo wybredny. Ma też swoje przyzwyczajenia – śpi do południa i wychodzi z domu dopiero po obiedzie, a nocą urządza przyjęcia, podczas których gra na organach. Sam dla siebie bywa zagadką. Potrafi bez zapowiedzi wypłynąć na swym jachcie w kilkumiesięczny rejs.

Tymczasem Japończycy krzątają się wokół gościa, podają herbatę i pyszne sandwicze z pomidorami. Siedząc tak naprzeciw Chaplina, gość z Polski patrzy mu prosto w oczy, „oczy smutnego człowieka", i z każdą minutą rozmowy zdumiewa się erudycją swojego gospodarza, tym, ile widział i ile wie. Mówią o Dalekim Wschodzie, gdzie dziennikarz spędził długie miesiące przed przybyciem do Ameryki. Okazuje się, że Chaplin zdążył dobrze poznać te zakątki Azji podczas swojej podróży dookoła świata. Z pasją opowiada o chińskim teatrze i o doskonałym poczuciu humoru ludzi Wschodu, którym Zachód zwykł odmawiać tego „boskiego daru". Sam Janta-Połczyński, oglądając w Tokio premierę Chaplinowskiego filmu „Światła wielkiego miasta", nie mógł wyjść ze zdumienia, z jak żywą i błyskawiczną reakcją ze strony Japończyków spotkała się ta hollywoodzka produkcja, przyjęta gromkimi brawami i salwami śmiechu. Mimo ogromnych różnic kulturowych, obyczajowych i mentalnych japońscy widzowie w mgnieniu oka rozpoznawali każdą aluzję, tłumacząc treści filmu na swój wewnętrzny język. Poczynione w Tokio obserwacje prowadzą do wniosku, że „człowieka, którego bez względu na szerokość i długość geograficzną, na różnicę języków i ras tak łatwo zrozumieć i który tak mocno za serce chwyta, ludzkość ceni sobie wyżej niż wszystkich innych". Sam bohater Hollywood mówi natomiast o sobie: „Ja jestem dla wszystkich Charlie, Charlot, prosty człowiek, włóczęga, druh i przyjaciel".

Charlie rozwesela świat

„Charlie znowu zjawił się na ekranie i rozwesela nasz smutny świat" – donosił z kolei inny polski korespondent Floryan Sokołów, który w lutym 1936 roku wziął udział w angielskiej premierze jego nowego filmu „Dzisiejsze czasy", co pozwoliło mu jednoznacznie stwierdzić, że film z Chaplinem to ewenement, o którym przez kilka dni pisano w Londynie więcej niż o wojnie włosko-abisyńskiej. „Bo Charlie to nie tylko genialny clown, działający bezpośrednio na muskuły śmiechu, to satyryk i filozof pierwszej klasy". Jak mało kto potrafi wczuć się we współczesną rzeczywistość i pokazać jej absurdy w krzywym zwierciadle, w sposób nie tylko wielce humorystyczny, ale zarazem dający do myślenia. Całe dwa lata pracował nad swoim nowym dziełem, będąc twórcą scenariusza, reżyserem, aktorem i kompozytorem muzyki. Włożył w niego dużą część swojego majątku,

eprasa.pl 78edc793a0

gdyż koszt produkcji pochłonął gigantyczną sumę pół miliona funtów szterlingów. Ale opłacało się, bo dzieło pod każdym względem zaskakuje.

Chaplin przenosi widza do wielkiej fabryki, gdzie królują olbrzymie maszyny i ruszające się bez ustanku zębate koła. „Stoją ludzie przy ruchomej taśmie i przekręcają jakieś śrubki. Czynność ogłupiająca. Po co ludzie? »Roboty« lepiej by to wykonały – odtwarza fabułę filmu Sokołów. – Charlie z niezwykłą gracją trzyma obcęgi i dotyka śrubek, ale wciąż kłóci się z tempem taśmy. Albo ją wyprzedza, albo spóźnia się, wywołując zamieszanie". Ponury szef obserwuje każdy jego ruch przy pomocy telewizji. Charlie, pragnąc ukryć się przed jego wzrokiem, „zmyka na papierosa" do toalety, lecz i tam dosięga go to wścibskie oko. Któregoś dnia w gabinecie dyrektora zjawia się jakiś dżentelmen, prezentując niezwykły wynalazek – aparat do karmienia robotników przy pracy. Chce dać do zrozumienia, że zamiast tracić tyle drogiego czasu na przerwy obiadowe, maszyna może to załatwić bez żadnych przestojów. Do tego eksperymentu wybrany zostaje Charlie... „Ale w skomplikowanym aparacie popsuła się jakaś śrubka. Uwięziony w nim [...] przeżywa mnóstwo rozczarowań, bo zupa, zamiast iść do ust, wylewa się na głowę, chleb kręci się dookoła, ale nie trafia tam, gdzie trzeba, serwetka szoruje go z zawrotną szybkością, inne potrawy równie zawodzą, a smaczny deser z kremem oblepia mu twarz".

Zmieniające się niczym w kalejdoskopie komiczne sceny rozbawiają publiczność do łez. Trudno się dziwić, że skoro „przemądra maszyna zwariowała", to i biedny Charlie musiał od tego wszystkiego doznać pomieszania zmysłów. Gdy tylko wyrwał się z uwięzi, myśląc, że sam jest maszyną, wybiegł na ulicę z obcęgami i zaczął przekręcać przerażonym przechodniom guziki w paltach, aż w końcu zabrano go do szpitala wariatów. To jednak dopiero początek tarapatów, w które nieustannie wpadał pocieszny pan w meloniku.

Warto jeszcze wspomnieć o partnerce filmowej Chaplina – uroczej Paulette Goddard – „nowej gwieździe ekranu o ślicznej twarzy i bajecznych nóżkach w roli »gamine«". W „Dzisiejszych czasach" występuje jako przymierająca głodem dziewczyna, która musi wyżywić swoje siostry, gdyż matka nie żyje, a ojciec został zabity podczas ulicznej demonstracji. Pragnąc pomóc rodzeństwu, Paulette zmuszona jest kraść. Zwykle udaje się jej umknąć przed pościgiem, ale któregoś razu wpada w ręce policji i wtedy na jej drodze staje Charlie, który, by ocalić biedne dziewczątko, całą winę bierze na siebie. Odtąd będą nierozłączni. Gdy Paulette zostaje tancerką w miejscowej knajpie, dzięki jej wstawiennictwu Charlie dostanie pracę jako śpiewający kelner, który niebawem podbije publiczność swoją uroczą piosenką „Titina". „Charlie i Paulette – kończy swą opowieść Sokołów – dwa przemiłe trampy, niemogące sobie znaleźć miejsca w zmechanizowanej gromadzie ludzkiej, wymykają się na wolność i idą nieznaną drogą, nie wiadomo dokąd".

▶ Kulisy „Kleopatry"

Gdy Janta-Połczyński zwiedzał coraz to nowe wytwórnie, zgłębiając arkana sztuki filmowej, Hollywood czekało w największym napięciu na nakręcenie pierwszych scen opowieści stanowiącej kanwę nowej, gigantycznej produkcji historycznej. Od kilku miesięcy bowiem trwały przygotowania do rozpoczęcia prac nad „Kleopatrą" w reżyserii Cecila B. DeMille'a. Było to w jego karierze sześćdziesiąte dzieło filmowe, pochłaniające kolosalną sumę trzech i pół miliona złotych. Hollywood słynęło zaś z tego, że wielkie obrazy historyczne powstawały tu z ogromną pieczołowitością jako doskonałe rekonstrukcje dawnych epok, ludzi i zdarzeń. Takie ambicje patronowały realizacji dzieła o dwóch potęgach starożytnego świata – o Egipcie i Rzymie, które połączyły się w miłosnym uścisku pół bogów i pół ludzi – Kleopatry i Cezara. Aby odtworzyć ducha dawnych wieków, zakupiono stosy książek historycznych, w tym szesnaście opasłych tomów studiów wojskowych nad Egiptem, sprowadzonych specjalnie z Francji. Każdy szczegół dopracowany został w rekwizytorniach Paramountu przez uczonych, tak że wszystko, „aż po biżuterię i bakalie, noszone wysoko nad głową na srebrnych tacach przez domniemanych niewolników, było wiernym zwierciadłem epoki".

Główną rolę Kleopatry miała zagrać wybrana przez Cecila, urodzona we Francji aktorka Claudette Colbert, a Juliusza Cezara – Warren William Krech. Po aktora mającego odtworzyć postać Marka Aureliusza posłano do Anglii, gdyż wyobrażeniu rzymskiego bohatera odpowiadał najlepiej Henry Wilcoxon. Reprezentował on „ten profil, o jaki chodziło, i figurę, i nogi, i pierś, na której »mógłby obozować rzymski legion«". Z Anglii ściągnięto też piękną bratanicę Cecila DeMille'a jako odtwórczynię roli uwodzicielskiej tancerki, która na grzbiecie bawoła pląsać miała w czasie przyjęcia u Kleopatry. Powstały dekoracje, napisano scenariusz, posłano nawet po winogrona do Argentyny. Nie pozostało więc nic innego, jak zaczynać...

Janta-Połczyński spieszy zatem do jednego ze studiów gotowych już na kręcenie „Kleopatry", by zobaczyć na własne oczy, jak odgrywana jest scena w atrium przed sadzawką. Warto tu przyjść

eprasa.pl 78edc793a0

chociażby dlatego, żeby ujrzeć samego Cecila DeMille'a – prawdziwą legendę Hollywood, amerykańskiego producenta filmowego, reżysera, scenarzystę i aktora w jednej osobie. „Twórca »Dziesięciu przykazań«, »Króla królów« i »W cieniu krzyża« [...] zdobył sobie w Hollywood opinię niezrównanego mistrza we władaniu tłumami, w operowaniu masą ludzką jako aktorem. Pierwszy pojął, że ponieważ zobaczyć znaczy dla ludzi tyle, co wierzyć, przeto wszystko jest w kinie możliwe". Był niezrównanym twórcą wielkich kinowych spektakli. Znana jest też powszechnie „religijność" Cecila, dla którego Biblia stanowi najważniejsze źródło twórczych inspiracji, o czym świadczą wyreżyserowane z rozmachem ekranizacje losów Mojżesza, Samsona i Dalili oraz dramat ostatnich dni Jezusa Chrystusa. W jego filmach zawsze jest wojna i są łaźnie, które symbolizują przepych starożytnego świata. Dlatego w Kleopatrze basen z wodą, wpuszczony w podłogę studia, rozciąga się na stu metrach kwadratowych i olśniewa w każdym szczególe. Białe pawie dumnie paradują nad jego brzegami, a gołębie latają po całym atrium, nie zważając na reflektory ani zamęt panujący w studiu. Sam zaś Cecil wygląda dość niepozornie – „nieduży, łysy, przysadzisty, w bryczesach i sztylpach, w rozpiętej po szyję koszuli. Śmiesznie odbija się od otaczających go półnagich torsów, od szlachetnie udrapowanych tunik, od wymyślnych fryzur aktorskich". Nie da się jednak zaprzeczyć, że to geniusz filmowy. Ze znawstwem i wyrobionym poczuciem estetycznym ustawia grupy aktorów nad wodą, tak by ich sylwetki odbijały się w jej tafli na przemian z posągami. Dba o każdy detal. Dlatego też, jak dowiedział się Janta-Połczyński, żmija, która w finalnej scenie ma zadać Kleopatrze śmierć, jest żmiją najprawdziwszą, choć reżyser zgodził się na pewne ustępstwo, gdyż „pozwolił, aby gadzinie wyłamano z paszczy jadowite szpilki, zanim Claudette przyciśnie ją do łona".

Poeta ekranu z Polski

Poszukując Polaków w amerykańskiej stolicy filmu, Janta-Połczyński pisze, że oprócz legendarnej Poli Negri, będącej wówczas jedyną Polką, którą Hollywood wyprowadziło na piedestał światowej sławy, wielkie uznanie zdobył Ryszard Bolesławski, okrzyknięty w Ameryce „poetą ekranu". Urodził się w Mohylowie Podolskim, wychowywał w słonecznej Odessie, ale wakacje spędzał na polskiej wsi, u rodziny swojej matki, gdzie jako chłopiec o artystycznej duszy założył przy współudziale krewnych i letników swój amatorski teatrzyk. W przyszłości sam miał zostać aktorem i reżyserem, stawiając swoje pierwsze kroki na deskach Moskiewskiego Teatru Artystycznego, a potem próbując własnych sił w Warszawie, Berlinie, Wiedniu, Pradze, Kopenhadze i Paryżu, by wreszcie w Nowym Jorku otworzyć szkołę aktorską The American Laboratory Theatre. Stamtąd już tylko jeden krok dzielił go od Hollywood. W stolicy światowej kinematografii, w 1930 roku, zadebiutował jako twórca bajkowo-przygodowej opowieści filmowej „Koniec samotnego wilka", a potem przyszedł czas na „Rasputina", „Uciekinierów", „Ludzi w bieli" z Clarkiem Gable'em, „Malowaną zasłonę" z Gretą Garbo i ekranizację „Nędzników" Victora Hugo... W jego hollywoodzkim dorobku filmowym znalazł się też melodramat „Zapomniany człowiek", kinowy przebój „Trzej ojcowie chrzestni", a także „Ogród Allaha" z Marleną Dietrich w roli głównej – wielkie ekranowe widowisko w kolorze, którego akcja rozgrywa się na algierskich pustyniach. Z entuzjazmem przyjęta została też „Ostatnia cesarzowa" – film ukazujący schyłek panowania dynastii Romanowów w Rosji i rolę, jaką na ich dworze odegrała tajemnicza postać Rasputina. Wszystko to sprawiło, że nazwisko Bolesławskiego znalazło się na oficjalnej liście najsłynniejszych reżyserów świata. „Pięć lat przebijał się ku górze – pisze o nim Janta-Połczyński – i w ciągu tych pięciu lat pokazał, co umie. Poznano się na nim. Dał sobie doskonale radę z nowy-

> „Na progu teraz staje Chaplin i wyciąga do mnie obie ręce, i wita uśmiechem młodej twarzy i zdrowych zębów przy zupełnie siwych włosach. Ale Chaplinów jest dwóch. Ten drugi, ten rzeczywisty, którego dłoń ściskam w mej ręce, postać właściwie nieznana. Gdzież się podział wąsik, czarna czupryna, melonik, laseczka i zdeptane, za wielkie buty całemu światu znane?".

eprasa.pl 78edc793a0

mi warunkami, przystosował się łatwo i dobrze. Jest jednym z bardzo niewielu reżyserów, mających podkład znakomitej techniki teatralnej – i tą swoją umiejętnością wygrywa i bije nią wielu reżyserów wyrosłych na gruncie czysto filmowym". Dziennikarz „Gazety Polskiej" miał sposobność przyjrzenia się pracy twórczej Bolesławskiego, po tym jak wybitny reżyser zaprosił go do swego hollywoodzkiego studia, gdzie kręcił właśnie film „Szpieg nr 13" z Marion Davies i Garym Cooperem w rolach głównych.

Tym to sposobem Janta-Połczyński znalazł się w „dużym, szczelnym pudle studia", pokawałkowanym na kilka osobnych wnętrz. Już od samego rana trwała tam krzątanina, rozmieszczano statystów, ustawiano damy w krynolinach i wytwornych dżentelmenów we frakach z żabotami. Akcja filmu, stanowiącego adaptację popularnej powieści szpiegowskiej, którą czytało wówczas pół Ameryki, rozgrywała się w czasach wojny secesyjnej, w połowie lat 60. XIX wieku. Podczas kręconej w tym momencie sceny balowej miał niespodziewanie paść strzał, stanowiący punkt kulminacyjny odtwarzanych wydarzeń. „Boley", bo tak w żargonie hollywoodzkim nazywano Bolesławskiego, ma wszystko pod kontrolą. Z nieodstępną fajką w ustach, w skórzanej wiatrówce, z jedwabną chustką wokół szyi czyni ostatnie przygotowania do nowego ujęcia. W głębi sali wiją się schody z balustradą, w połowie wysokości pnie się rusztowanie z kamerą, sterczą reflektory i widać przerzucone z piętra ramię mikrofonu. Na pierwszym planie znajdują się Marion Davies i wschodząca gwiazda amerykańskiego kina Jean Parker.

„Wiemy już, że podczas balu padł strzał – opowiada Janta-Połczyński. – Minął pierwszy popłoch i zamieszanie. Goście pouciekali. Na schodach siadły Marion i Jean. Obie pełne najgorszych przeczuć. Obie zakochane i oczekujące wiadomości o nim. Pomiędzy gośćmi balowymi wyrasta nagle postać starego Murzyna – woźnicy, z batem w ręku. Podchodzi aż do balustrady schodów, na których siedzą, i mówi, że nie ma wiadomości o kapitanie. Odpowiada mu szloch obu kobiet. Nad cieniowaniem tego szlochu, tego rozpłakanego dwugłosu, upłynie cały dzień".

Tymczasem Bolesławski coś jeszcze długo tłumaczy aktorkom, orkiestra w głębi studia zaczyna grać, słychać skrzypce, bas i wiolonczele, które wprowadzają w atmosferę epoki i pozwalają artystkom poczuć „couleur locale od środka". Technicy sprawdzają wszystko po trzy razy – ustawienie reflektorów i aparatu oraz „zgranie wszystkich filtrów, śrubek, przesłon, zasłon, efektów, a wreszcie mikrofonu z obiektywem". Cierpliwość całej ekipy wystawiona zostaje na najwyższą próbę... „Wszystko czeka jak na zbawienie na sygnał reżysera. Muzyka ciągle gra. Porozumiewawcza zamiana spojrzeń z technikami. Już. Reżyser strzepnął palcami. Zaczynamy. Muzyka urwała się w pół taktu. Cisza. Teraz już tylko na gest reżysera Jean i Marion zaczynają swój dialog. Wypchnięty przez inspicjenta wchodzi Murzyn. Wygłasza swoją kwestię. W odpowiedzi dwa wybuchy płaczu. Dobrze idzie – byle tylko teraz wyciągnąć do końca.

I w tym miejscu, w milczącej masie statystów, w głębi studia, siarczyście i mocno, jak grom z jasnego nieba – ktoś kichnął.

Ten wzrok reżysera! Już poprzednio przeszkadzał mu szelest gazety w czyimś nieostrożnym ręku. A teraz na dobitkę kichnięcie!...

Nie, nie można. Jeszcze raz od początku. Zresztą Marion Davies niedobrze płakała. Murzyn połknął ostatnie słowo. Jeszcze raz, jeszcze raz.

Jest południe. Ciągle siedzą na schodach obie panie. Nie mogą się zgrać w wybuchach swej rozpaczy. [...] A kiedy wszystko już jest doskonale, powtarzamy, żeby tę samą scenę mieć na filmie z boku, z ukosa, z góry, ze wszystkich stron. A potem jeszcze zbliżenia".

I tak w nieskończoność. Polskiego dziennikarza uderza chirurgiczna precyzja, z jaką rejestrowany i odtwarzany jest każdy detal po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt razy. Dziwi się bezdusznej machinie filmowej, w której tryby wprzęgnięty jest aktor. Ten, by podołać zadaniu, musi posiadać stalowe nerwy i anielską cierpliwość. Każdy jego ruch jest ograniczony i skrępowany, granice przestrzeni, w której może się poruszać, wyznaczono kredą na podłodze. Prosto w jego twarz wymierzone są lufy wizjerów, bliskie, natrętne, przeszywające na wylot. Maszyna przefiltrowuje go bezlitośnie. Ma w sobie coś z ciężkiej artylerii i mikroskopu. Janta-Połczyński zauważa, że „przed ostrzem reflektorów i pod spojrzeniem zimnej źrenicy obiektywu, która nie tylko patrzy, ale także fotografuje, nie uratuje się nic". Potem dopiero w ciemnościach sali projekcyjnej wszystkowidzący reżyser oceni, czy aktor go nie zawiódł i spełnił jego nadzieje, i czy naprawdę „wart jest tej opinii i tych dolarów, jakie mu się płaci".

I tak mija dzień za dniem w światowej stolicy magii srebrnego ekranu z niegasnącymi gwiazdami – Gretą Garbo i Marleną Dietrich, z niezrównanym w swej grze Charliem Chaplinem, z królem kina Clarkiem Gable'em i mistrzem westernu Garym Cooperem, Wieczna muzyka bije z każdej strony, z dancingów, barów i kin, bo to przecież „grający hotel. Tańcząca stolica. Szalone miasto [...]. Hollywood! Jest co pokazać. Jest na co patrzeć i o czym pisać" – kończy swój reportaż Aleksander Janta-Połczyński. ■

eprasa.pl 78edc793a0

Marek Kalinowski

Między Ziemią a Saturnem

Trzy lata po znakomitej płycie z utworami Krzysztofa Komedy młodzi muzycy z zespołu EABS sięgają po muzykę kolejnego jazzowego giganta. Tym razem padło na San Ra – szefa legendarnej Archestry. Kosmiczne brzmienia „przybysza z Saturna" przełożyli na swój język, ukazując ich ponadczasowe piękno.

Zwykł mówić o sobie, że pochodzi z Saturna, a swoimi ekscentrycznymi zachowaniami nierzadko wywoływał uśmiechy u współczesnych. Amerykański kompozytor, pianista i filozof Henry Sonny Blount, znany jako San Ra, muzyczną karierę rozpoczynał w latach 30. ubiegłego wieku. Do wczesnych lat 90. budował i dowodził Archestrą, jednym z najbardziej kolorowych i szalonych jazz-bandów świata. Z dzisiejszej perspektywy nie trudno dostrzec, że był muzycznym geniuszem. Tworzył kompozycje, które znacznie wyprzedzały rzeczywistość, okazując się równie aktualnymi i nośnymi po kilkudziesięciu latach od powstania.

Jak bardzo inspirujące i uniwersalne są to dzieła, możemy się przekonać na najnowszej płycie polskiego sekstetu EABS, zespołu młodych muzyków, którzy od kilku lat robią niemałe zamieszanie na rodzimej scenie jazzowej. Ich najnowszy album „Discipiline Of Sun Ra" jest hołdem złożonym muzykowi z Saturna. Słuchając, siłą rzeczy dość okrojonego, wyboru siedmiu utworów łatwo też dojść do wniosku, jak wiele łączy młodych jazzmanów z EABS z amerykańskim artystą.

EABS, *Discipiline Of Sun Ra*, Astigmatic Records

Podobnie jak San Ra przez lata czerpał inspirację z kolejnych muzycznych prądów i konwencji, by tworzyć z nich zupełnie unikatowe dzieła, tak teraz muzycy EABS biorą na warsztat utwory samej Archestry. Mają w tym zresztą niezwykłą intuicję i wprawę. Wyrośli nie tylko z kultury jazzowej, lecz także hip-hopowej, a więc są doskonale świadomi wykorzystania dźwięków San Ra w muzyce popularnej. Z wyraźnym zapałem rozkładają je na części pierwsze, przerabiając na swój język i modłę, a dzieła te w ich rękach zyskują zupełnie nowe życie.

Warto również przypomnieć, że nie jest to pierwsza dekonstrukcja znanych utworów, którą mają na koncie muzycy EABS. Zaledwie trzy lata temu ukazała się ich fascynująca płyta z muzyką Krzysztofa Komedy „Repetitions (Letters to Krzysztof Komeda)".

Słowo-klucz, które z pewnością łączy muzyków EABS z filozofią San Ra, to ukryta w tytule dyscyplina. Legendarny szef Archestry słynął z silnej ręki, którą prowadził cały zespół. Muzycy musieli nie tylko precyzyjnie wykonywać zalecane przez San Ra ćwiczenia na instrumentach, dyscyplina obejmowała także całkowitą abstynencję od używek. Wystarczy kilka minut otwierającego album EABS porywającego utworu „Brainville", by zrozumieć, jak ważna jest tu właśnie dyscyplina, perfekcyjnie opracowany warsztat i wzajemne zrozumienie – zwłaszcza w muzyce improwizowanej.

Co ciekawe, to nie tylko w szalonych dźwiękach sekcji dętej ani nawet w tanecznym rytmie utworu „UFO" ukryte jest piękno najnowszego krążka EABS. Być może to przez doświadczenie ostatnich miesięcy okazuje się, że szczególnej mocy nabierają bardziej melancholijne kompozycje: „Interstellar Low Ways" czy „Trying to Put the Blame on Me", gdzie otwiera się przestrzeń dla lidera grupy, klawiszowca Marka Pędziwiatra. Dźwięk zabytkowych syntezatorów wciąga w sentymentalną podróż do dawno niesłyszanych, przepięknych brzmień, które Pędziwiatr zamienia w mistrzowsko ułożone, malownicze pejzaże, ściągając kosmiczną muzykę San Ra nieco bliżej, na Ziemię. ■

eprasa.pl 78edc793a0

Krzysztof Karnkowski

Pożegnanie z „Suburrą” i powrót

To, na co czekałem, to trzeci sezon opowiadającej o rzymskiej mafii „Suburry”, pierwszej włoskiej produkcji tej platformy streamingowej, i druga seria „Strangera”, koreańskiego dramatu o pozbawionym wielu ludzkich emocji bezkompromisowym prokuratorze.

Mafijne porachunki

„Suburra” to opowieść, która w oczywisty sposób budziła od początku skojarzenia z bardziej znaną „Gomorrą”. „Gomorra” to tytuł głośniej książki reportażysty Roberto Saviano. Saviano realia działania neapolitańskiej mafii opisał tak wiernie, że ściągnął na siebie groźną uwagę jej bossów. Tematu jednak nie porzucił. Na podstawie książki powstał jeszcze bardziej znany film, który po latach wrócił w formie serialu, opowiedzianego już według wszelkich prawideł gatunku. Za pierwsze odcinki odpowiadał zresztą mistrz włoskiego kryminału, Stefano Sollima. „Gomorra” w wydaniu serialowym doczekała się jak dotąd czterech sezonów, które jednak, choć nie spadły poniżej pewnego poziomu, zaczęły w pewnym momencie wytracać tempo i lekko nużyć powtarzalnością niektórych historii.

„Gomorra” w wersji książkowej i filmowej opowiadała o opanowanej przez mafię branży tekstylnej, serial natomiast skupił się na opowieści o międzypokoleniowej i międzyklanowej walce o wpływy, której główną postacią był syn potężnego bossa, Gennaro, który pod nieobecność uwięzionego ojca musi potwierdzić swoją pozycję, następnie zaś ją obronić. „Suburra” to historia w sposób nieunikniony podobna, również rozgrywa się bowiem w środowisku włoskiej mafii, tyle tylko, że tym razem areną wydarzeń jest Rzym, a więc również Watykan. Wielka polityka, wielkie pieniądze i potężne interesy. Podobnie jak w przypadku „Gomorry” najpierw była książka, tym razem autorstwa Giancarlo De Cataldo i Carlo Bonini, opisująca mechanizmy wyprowadzania publicznych pieniędzy z kasy miasta przez zorganizowaną grupę mafiosów, urzędników, polityków i ludzi Kościoła. W 2015 roku historia ta została przeniesiona na ekran przez samego Sollimę, później, już bez jego udziału, zaczął powstawać serial.

W wydarzenia, oparte na prawdziwych schematach i mechanizmach, twórcy wpisali nową historię, w której w jednym miejscu i czasie przypadkowo spotyka się trzech młodych ludzi. Mafioso w kolejnym pokoleniu, Aureliano Adami, Alberto „Spadino” Anacleti – mafioso

eprasa.pl 78edc793a0

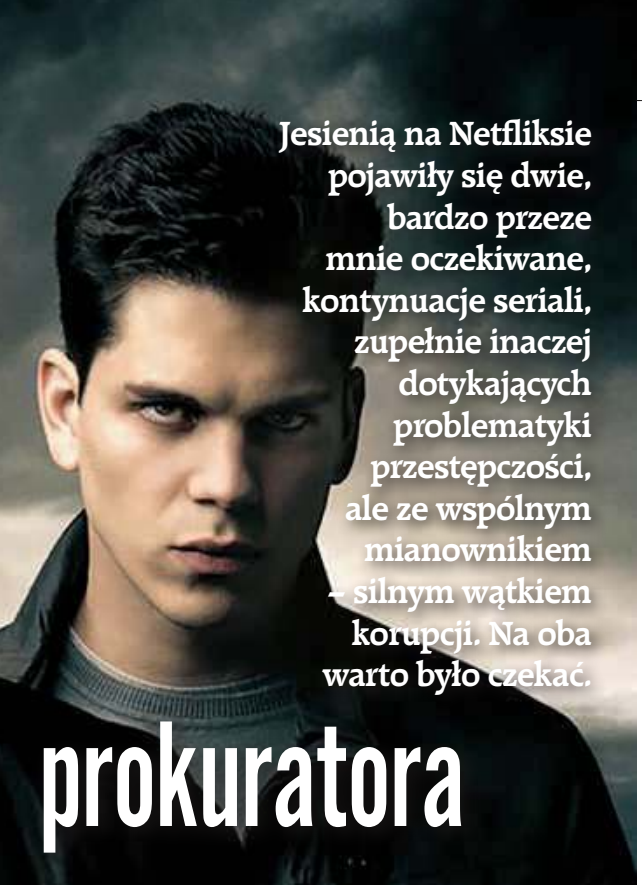

pogardzany podwójnie jako Cygan i homoseksualista, wreszcie Gabriele „Lele" Marchilli, parający się dilerką syn prawego i nieprzekupnego policjanta. Okoliczności zmuszają ich do współpracy, która szybko okaże się wspólną walką o wpływy z całą „starą" mafią. Na ich drodze pojawiać się będą zepsuci, więc łatwi do szantażowania i chciwi księża, robiąca interesy w Watykanie kochanka Lele, Sara Monaschi, ambitny i uchodzący za bezkompromisowego lokalny polityk Amedeo Cinaglia, którego postaci zawdzięczać będziemy bardzo ciekawy i odgrywający zwłaszcza w drugim sezonie dużą rolę wątek polityczny, i wiele innych barwnych i mocno pokazanych postaci. Największym wrogiem będzie jednak Samurai, starzejący się przedstawiciel o wiele potężniejszych mafiosów, pilnujący ich interesów w całym Rzymie.

Trzeci sezon pokazuje nam, że choć nazwiska bossów, zwłaszcza lokalnych, mogą się zmieniać, to mafia też ma swoje „deep state". Nawet pozbycie się Samuraja nie kończy problemów, a wygrana ze starszym bratem w wojnie, jaką toczy Spadino, okaże się trudniejsza. Cała opowieść okaże się tak naprawdę bogatym rozwinięciem jednego z wątków filmowej wersji „Gomorry", historii dwóch narwanych dzieciaków, rzucających wyzwanie „starej" mafii. Kto pamięta ich losy, nie będzie zaskoczony tym, co spotyka trójkę bohaterów „Suburry", z których jednego, Lele, zdążyliśmy pożegnać w ostatnim odcinku drugiego sezonu. Pierwszy sezon miał 10 odcinków, drugi osiem, trzeci już tylko sześć. Kontynuacji nie należy się spodziewać, jednak dzięki tej oszczędności gęsty klimat pierwszej serii udało się utrzymać do końca.

Intrygi, morderstwo i kryminalna rozgrywka

Hwang Si-Mok, główny bohater „Strangera", jako dziecko cierpiał na niedające się wytrzymać ataki bólu. Poddany skomplikowanej operacji, przestał go odczuwać, równocześnie jednak pozbawiono go bardzo wielu ludzkich odczuć i przyjemności. Sprawia to, że funkcjonuje trochę poza światem uczuć i konwenansów, przez co często mylnie oceniany jest jako człowiek bezduszny i niewychowany. Jest przy tym postacią wierną swoim zasadom i krystalicznie uczciwą, co w skorumpowanym wymiarze sprawiedliwości nie przysparza mu zbyt wielu zwolenników. W pierwszym sezonie Hwang próbował wyjaśnić sprawę morderstwa na człowieku, który wcześniej swoją wysoką pozycję i bezkarność opierał na zbieraniu latami haków i korumpowaniu wpływowych prokuratorów. Odkrywał tym samym liczne tajemnice swojego urzędu i kolegów, ci zaś starali się, by nie szło mu to zbyt dobrze. Oczywiście finalnie intryga okazała się o wiele bardziej złożona, podobnie jak motywy głównych postaci. Jego partnerką była w śledztwie niepokorna policjantka, han Yeo-jin, grana przez Bae Doo-nę, jedną z bardziej znanych na świecie koreańskich aktorek, z której w pełni wydobyto nie tylko dramatyczny, lecz także – w nowych odcinkach – komediowy potencjał.

Pierwszy sezon „Strangera" był niewątpliwie arcydziełem gatunku, łącząc w sobie niesamowitą gęstość napięcia, złożoność intrygi i bardziej filmową niż serialową narrację. Nowe odcinki nadal trzymają bardzo wysoki poziom, jednak już tak nie wciągają. Tym razem jesteśmy świadkami bardziej politycznej niż kryminalnej rozgrywki. Policja i prokuratura negocjują między sobą nowy podział ich uprawnień śledczych, a jako argumentów obie strony używają brudów i nadużyć partnerów. Si-mok i Ye-jin są tu po dwóch stronach, jednak ich uczciwość i sympatia sprawiają, że *de facto* pracują razem, wbrew swoim zwierzchnikom. To zaś przyda się o tyle, że i główny negocjator ze strony prokuratury, i ambitna policjantka, walcząca o uprawnienia swojej służby, mają wspólną tajemnicę, rzutującą na cały proces negocjacyjny. Wszystko zaś luźno łączy się również z korporacją, której wpływy w prokuraturze były istotą intrygi w pierwszym sezonie. I choć tym razem trochę wytracono tempo, dalej mamy do czynienia z tytułem wybitnym. Zakończenie zostawia producentom furtkę do kontynuacji i zapewne za dwa–trzy lata przekonamy się, czy zdecydują się z niej skorzystać. Oby. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 78edc793a0

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

DROGA

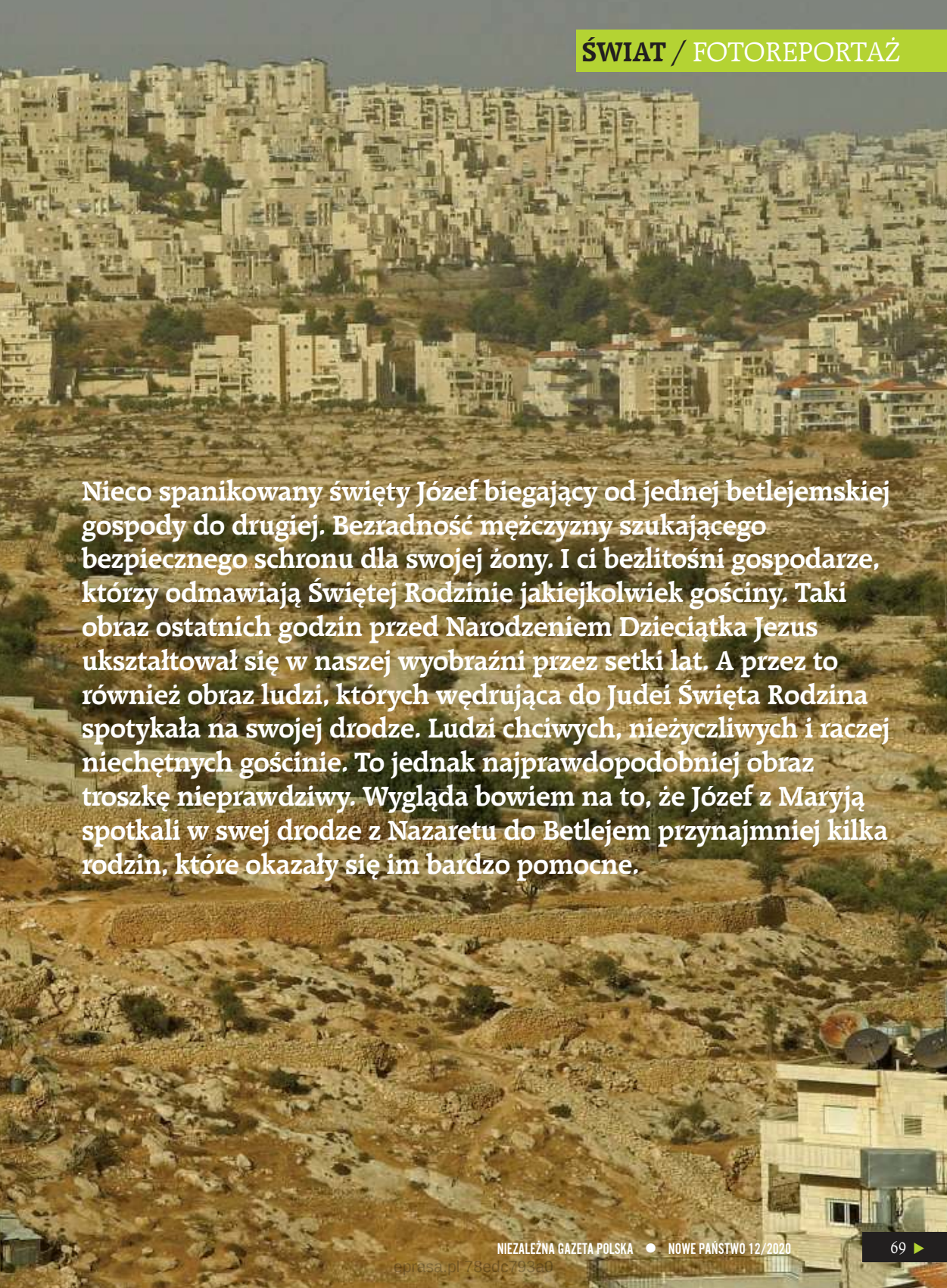

Nieco spanikowany święty Józef biegający od jednej betlejemskiej gospody do drugiej. Bezradność mężczyzny szukającego bezpiecznego schronu dla swojej żony. I ci bezlitośni gospodarze, którzy odmawiają Świętej Rodzinie jakiejkolwiek gościny. Taki obraz ostatnich godzin przed Narodzeniem Dzieciątka Jezus ukształtował się w naszej wyobraźni przez setki lat. A przez to również obraz ludzi, których wędrująca do Judei Święta Rodzina spotykała na swojej drodze. Ludzi chciwych, nieżyczliwych i raczej niechętnych gościnie. To jednak najprawdopodobniej obraz troszkę nieprawdziwy. Wygląda bowiem na to, że Józef z Maryją spotkali w swej drodze z Nazaretu do Betlejem przynajmniej kilka rodzin, które okazały się im bardzo pomocne.

eprasa.pl 78edc79580

Kiedyś pastuszkowie, dzisiaj turyści – tłok przed świętą grotą nadal ten sam

Co do objawień prywatnych Kościół od wieków zajmuje bardzo jednoznaczne stanowisko. Nie należą one bowiem do depozytu wiary. Katolik nie ma więc absolutnie obowiązku wierzenia w ich prawdziwość. Tym, którzy pragną, mogą jednak pomóc w pełniejszym przeżywaniu Objawienia. I dla takich właśnie osób będzie dalsza część tego tekstu.

Świadectwo życia niezwykłej augustianki

W niedzielę 3 października 2004 roku Jan Paweł II beatyfikował niemiecką mistyczkę i stygmatyczkę Annę Katarzynę Emmerich. Niezwykłą kobietę, którą od lat dzieciństwa cechowała głęboka świadomość spraw ostatecznych. Głęboka do tego stopnia, że gdy jako siedmioletnia dziewczynka przygotowywała się do pierwszego w swoim życiu rachunku sumienia, wzbudzając żal za popełnione grzechy, zemdlała. Już jako dziecko przeżywała wizje Pana Jezusa oraz Maryi. Żyjąc jednak w świadomości, że podobne spotkania są normalnością dla każdego. Także dla jej rówieśniczek. Gdy miała 24 lata, otrzymała łaskę stygmatów korony cierniowej. Od tej pory ukrywała je pod stale noszoną na głowie opaską. Z czasem sparaliżowana, ciężko chora i przykuta do łóżka augustianka otrzymała pozostałe pięć stygmatów. Od tej pory przez kolejne 11 lat karmiła się jedynie codzienną Komunią Świętą oraz wodą.

Oprócz niezwykłego cierpienia Pan Jezus dał jej także przywilej ujrzenia na własne oczy szczegółów swojej Męki i Śmierci. Przed oczyma Anny Katarzyny Emmerich przesuwały się zatem kolejne sekwencje okrutnego cierpienia Zbawiciela. Z czasem ujrzane przez błogosławioną obrazy zaczęto spisywać. Zajął się tym niemiecki pisarz Klemens Brentano. Gdy zaczynał, przedstawiał się jako ateista. Świadectwo życia niezwykłej augustianki przyczyniło się jednak do jego nawrócenia.

eprasa.pl 78edc793a0

Skalny żłób, w którym na świat przyszedł Zbawiciel

Spisane przez Bretano słowa stały się dziś sławne przede wszystkim za sprawą filmu Mela Gibsona pt. „Pasja". Podczas pisania scenariusza głośnego filmu reżyser posiłkował się właśnie świadectwem niemieckiej mistyczki. Mało kto wie jednak, że oprócz wizji Męki i Śmierci Jezusa Chrystusa Anna Katarzyna Emmerich otrzymała również wizję szczegółów wydarzeń po samym zmartwychwstaniu, a także tego, co działo się dziesiątki lat wcześniej. Zanim Chrystus przyszedł na świat.

Tak jak wspomniano wyżej, Kościół nie nakazuje w żaden sposób wierzyć w prywatne objawienia. Choćby nawet tak wiarygodnej i świętej osoby, jaką bez wątpienia była niemiecka stygmatyczka. Dopuszcza je jednak jako „pomoc w pełniejszym przeżywaniu Objawienia". Wiarę w świadectwo błogosławionej augustianki pozostawiam Czytelnikom. Dla pełniejszego obrazu całej historii świadectwa Emmerich nadmienię tylko kilka słów niezwykłej historii. Historii odkrycia pewnego domu w Efezie.

Uwiarygodnienie

Wszystko działo się w 1890 roku, gdy do francuskich sióstr zakonnych ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo posługujących w izmirskim szpitalu dotarły pisma niemieckiej mistyczki. Czytający drobiazgowo przysłane zapiski dostrzegli bardzo konkretne i jasne wskazówki, jeśli chodzi o domniemaną lokalizację domu Matki Bożej (do tej pory sądzono bowiem, że Maryja po Wniebowstąpieniu Jej Syna osiadła pod Jerozolimą, stąd dwie Bazyliki pw. Jej Wniebowzięcia tamże się znajdujące): „Maryja nie mieszkała w samym Efezie, lecz w okolicy, gdzie osiedliło się wiele znanych Jej już kobiet. Miejsce zamieszkania Maryi znajdowało się [...] mniej więcej trzy i pół mili od Efezu na górze po lewej stronie. Góra ta opada w kierunku Efezu, który jest widoczny blisko u jej podnóża, gdy idzie się z południowego wschodu, jednak gdy podejdzie się dalej, widać, jak rozciąga się dookoła niej. [...]

eprasa.pl 78edc793a0

Dzisiejsza trasa, którą przed 2020 latami pokonywała Maryja z Józefem, wygląda już inaczej

Dom Maryi zrobiony był z kamienia. W niewielkiej odległości za nim skalista góra wznosiła się ku szczytowi, z którego ponad pagórkami i drzewami można zobaczyć Efez i morze z wyspami. Miejsce to leży bliżej morza niż Efezu, który jest oddalony od niego o kilka godzin. Kraina ta jest opuszczona i nieodwiedzana".

W 1891 roku we wskazane przez Emmerich miejsce przybyła grupa archeologów. Po konsultacjach i oględzinach okolicy wskazano miejsce zwane przez tubylców Panama Kapulu. Jakież było zdziwienie, gdy wskutek kolejnych odkrywek zaczęto dokopywać się do fundamentów domu, którego pochodzenie oszacowano na I wiek. Tak oto nikomu jeszcze wówczas nieznana niemiecka mistyczka z wioski Flamske zaczęła nie tylko uwiarygadniać swoje wizje, lecz także pomagać ludziom w szukaniu pełni wiary.

Dziś posługując się mało znanymi zapiskami jej autorstwa o „Życiu Najświętszej Maryi Panny" spróbujemy odtworzyć drogę Świętej Rodziny z Nazaretu do Betlejem. Tam, gdzie – jak mówiły proroctwa – miał się narodzić Zbawiciel.

Chłód pasma Gelboe

Według widzeń bł. Anny Katarzyny Emmerich droga z Nazaretu do oddalonego około 150 kilometrów Betlejem (większość trasy z północy na południe wiedzie pod górę) była wędrówką niezwykle trudną i niosącą ze sobą ryzyko. Całkiem spore, zważywszy na fakt, że będąca już w dziewiątym miesiącu ciąży Maryja miała urodzić Jezusa lada dzień.

Małżonkowie jako trasę wybrali trawers prowadzący wzdłuż górskiego pasma Gelboe. Położonego 25 kilometrów na południowy-wschód od Nazaretu. Do dziś pasmo to cechuje krajobraz wybitnie zielonych jak na Izrael pagórków. Porośniętych bujną trawą, miejscami zaś ostrokrawędzistą roślinnością kserotermiczną. Obłe i łagodne dość zarysy masywów uginają się przed rozległymi wypłaszczeniami pól i gajów. Skąpane w słońcu łąki łatwo usychają. Nadając pejzażowi nieco bardziej sinej kolorystyki. Kolorystyki, która te ponad dwa tysiące lat temu miała prawo wyglądać zupełnie podobnie jak dziś.

Józef i Maryja szli w towarzystwie pomagającej im oślicy oraz małego oślątka (przezorny Józef wziął je, by w razie niedostatku móc je oddać w zastaw). Wspinając się na grzbiet pasma dotarli wreszcie do wysoko położonej przełęczy.

„Józefie, musimy się zatrzymać – wyszeptała Maryja. – Nie mogę iść dalej". Niosąca Ją oślica szybko podążyła pod rosnące w pobliżu wielkie drzewo. Było naprawdę zimno. Maryja zaczęła więc usilnie błagać Boga o złagodzenie doskwierającego im chłodu. Ciepło, które natychmiast spłynęło na Jej ciało, było tak intensywne, że mogła wziąć w Swoje dłonie także ręce zziębniętego Józefa. By ogrzać również wychłodzone dłonie ukochanego męża.

eprasa.pl 78edc793a0

Dzięki wizjom niemieckiej stygmatyczki możemy ze szczegółami odtwarzać drogę Świętej Rodziny z Nazaretu do Betlejem

Dobrzy ludzie na szlaku

Okolica mogła budzić respekt. Niewielkie piaszczyste wzgórza, kamieniste hamady. Majestat pustynnego pejzażu. Anna Katarzyna Emmerich zapisała piórem Klemensa Brentano w swoich notatkach, że Święta Rodzina szła „trzymając się bocznych dróg i traktów Samarii." Możemy więc domniemywać, że Józef raczej unikał gęściej zaludnionych terenów żyznych ziem dorzecza Jordanu.

Idąc wysuszonymi traktami środkowej części Samarii Święta Rodzina dotarła do wielkiej posiadłości ulokowanej w dolinie. Tak się złożyło, że gospodyni nie było akurat w domu, zaś pan gospodarstwa odmówił przybyszom gościny. Oślica podprowadziła więc małżonków nieco dalej, do pewnej pasterskiej chaty. Tam Święta Rodzina znalazła już długo wyczekiwaną życzliwość. Ubodzy pasterze przygotowali Brzemiennej posłanie na słomie i zaopiekowali się w możliwy dla nich sposób. Dopiero gdy wieść o przybyłej rodzinie rozniosła się po okolicy, do pasterskiej chaty przybyła gospodyni, pod której nieobecność mąż odmówił gościny Józefowi z Małżonką. Przepraszając za zachowanie małżonka. Wraz z kobietą nadszedł także ów mężczyzna. To właśnie od niego Józef dowiedział się o znajdującej się na szlaku ich dalszej trasy oberży, w której być może młodym udałoby się znaleźć schronienie na kolejną noc.

Rzeczywiście, gospoda znajdowała się tam, gdzie wskazał mężczyzna. Dom był pięknym gospodarstwem otoczonym gajami i ogrodami. Niestety po krótkiej rozmowie Józefa z właścicielami okazało się, że wszystkie miejsca są zajęte. Ujęci pięknem i pokorą Małżonków gospodarze znaleźli jednak miejsce w pobliskiej chacie. To właśnie tam zaczęły wkrótce przychodzić dzieci z okolicznych wiosek, chwaląc się przed Maryją swoimi zapiskami na pergaminowych zwitkach. Dzieci nie mogły nasycić się słowem i naukami płynącymi z ust Niepokalanej. Było w tej Rodzinie coś, co sprawiało, że ludzie cieszyli się ich obecnością. Chcąc przebywać z nimi jak najdłużej.

Widząc, kim byli przybyli ludzie, gospodarze oberży prosili, aby ci zostali u nich aż do czasu rozwiązania Maryi. Gospodyni zaoferowała im nawet swoją prywatną izbę – rzecz na tych ziemiach raczej nie spotykana. Pomimo namów, następnego dnia rano Józef i Maryja poszli jednak dalej. Nie skusiła ich wygoda ani powszechna sympatia. I szybko rozchodząca się po okolicy popularność. Dobrze wiedzieli, gdzie mają iść. Gdzie zostało przepowiedziane przyjście na świat Mesjasza.

Spotkania

Urwiste skały. Pionowe przepaści. Szare turnie. Suchy wiatr przewiewany z jednego stoku na drugi. I dwoje ludzi. Idących krok za krokiem. W tej części Dolina

eprasa.pl 78edc793a0

Z objawień bł. Anny Katarzyny Emmerich wyłania się fascynujący obraz szczegółów ostatnich chwil Świętej Rodziny przed dotarciem do Betlejem

Jordanu wspina się bardzo powoli. Systematycznie. Miarowo. I ciągnie się tak aż po syryjskie ziemie egipskiego pogranicza. Gdyby zagłębić się również dziś na te tereny (nie jest to zbyt proste z racji napiętej sytuacji politycznej Zachodniego Brzegu Jordanu), nadal znaleźlibyśmy podobne pejzaże. Zapomniane przez świat, nieuczęszczane ścieżki do dziś prowadzą po zapomnianych urwistych i skalistych zboczach.

Zmierzch na pustkowiu. Horyzont zdążył się już wyrównać. Ustąpiły przepaści i skalne urwiska. Gdy Józef zobaczył kolejny dom, w jego serce naraz wlała się iskra nadziei. Oto kres dzisiejszego wysiłku. Niestety, tym razem gospodarz w niczym nie przypominał małżeństwa z poprzedniej gospody.

– Mój dom nie jest zajazdem – ofukawszy krótkimi słowami Józefa mężczyzna zamknął drzwi.

– Zapłacę... – próbował jeszcze przekonywać święty mąż. Niestety. Na próżno. Tutaj dziś spać nie będą.

Odchodząc jakiś kawałek drogi dalej, Święta Rodzina znalazła opuszczoną szopę. Jak podaje błogosławiona Anna Katarzyna Emmerich: „Józef zaświecił latarnię, przysposobił łóżko dla Najświętszej Dziewicy, wprowadził osła, znalazł dlań paszę. I tam też z Maryją, po modlitwie i skromnym posiłku, udali się na spoczynek".

Od Betlejem dzieliło młodych jeszcze 10 mil. Kolejnego dnia Józef podprowadził więc Maryję do kolejnego domu, gdzie liczył na udzielenie im schronienia. Widząc młodą towarzyszkę gospodarz zaczął żartować sobie z Józefa. Na szczęście wszystko usłyszała żona gospodarza. Zdjęta litością na widok brzemiennej Maryi prędko zaprosiła oboje do środka. Zaoferowała do wypoczynku swój pokój. Do którego przyniosła kilka bułek na strawę. Mąż gospodyni, widząc postawę żony, mocno się zawstydził. Od tej pory również on traktował goszczone małżeństwo w sposób życzliwy i uprzejmy.

Kolejny przystanek Święta Rodzina zrobiła w domu, którego gospodarzami było młode małżeństwo. Maryję i Józefa przyjęli grzecznie. Choć bez przesadnej uwagi. Zajęci prowadzeniem własnego biznesu, nie mieli czasu, aby dłużej zająć się gośćmi. Podobnie było z gospodynią domu, do którego Józef zapukał, gdy do Betlejem brakowało małżeństwu jeszcze około 7 mil. Maryja była już bardzo zmęczona. Podobnych przystanków trzeba więc było robić znacznie więcej niż na początku trasy. Kobieta zezwoliła wprawdzie swoim sługom, aby ci pomogli brzemiennej Maryi, sama jednak nie pojawiała się przy młodych osobiście. Obserwując wszystko z ukrycia, miała nadzieję, że w ten sposób przyspieszy odjazd Świętej Rodziny. W tej sytuacji nie bez znaczenia okazała się piękność i czystość, jaka biła od Najświętszej Dziewicy. Wzbudzająca w gospodyni prawdziwą zazdrość.

Ostatnim przystankiem przed dotarciem do Betlejem była dla Świętej Rodziny pewna oberża. Pełna gości, o której niemiecka mistyczka miała widzenie, że byli to ludzie przybyli na pogrzeb. Pomimo wielu zajęć, gospodarze przyjęli Józefa z Maryją z życzliwością i oddaniem. Przyszykowali Rodzinie izbę na nocleg. Rano zaś, widząc jak bliska rozwiązaniu jest Maryja, usilnie nalegali, aby zostali wraz z Józefem, ile tylko będzie trzeba.

– Nie będzie wam łatwo znaleźć nocleg w Betlejem – powiedział Józefowi gospodarz oberży, biorąc na chwilę mężczyznę na bok. – Są tam teraz prawdziwe tłumy. Większość gospód może mieć zajęte miejsca.

– Mam tam znajomych. Przyjmą nas – miał odpowiedzieć Józef.

▶ Informacja w punkcie celnym

Starożytne zabudowania znajdowały się tuż pod bramą wjazdową do Betlejem. Składało się na nie kilka budynków i dziedzińce, na których rozstawiane były namioty. Kiedyś była to posiadłość, którą z racji przynależności do królewskiego rodu Dawida, odziedziczył ojciec świętego Józefa. Teraz jednak stacjonowali tu rzymscy

eprasa.pl 78edc793a0

żołnierze. Zbierali podatki od każdego, kto zbliżał się do bram miasta. Stawiać mieli się tutaj wszyscy. W tej sytuacji także Święta Rodzina.

Można odnieść wrażenie, że pod pewnymi względami jest dziś pod murami współczesnego Betlejem troszkę podobnie. Z tą różnicą, że opisanych w swojej wizji przez Annę Katarzynę Emmerich celników zastąpili izraelscy żołnierze. Ci sami, którzy przed wjechaniem na teren miasta odbywają rutynowe kontrole ruchu granicznego. Panowie ubrani w zielone kurtki moro. Powoli przeżuwający ślinę. Sporadycznie spluwający pod siebie. Czasem z nudów rozwiązujący krzyżówkę. Często zupełnie nic niemówiący. Odpoczywający. Siedzący w ciszy. Wieczornymi godzinami ruch na trasie do miasta jest praktycznie żaden. Żołnierze ożywią się dopiero wtedy, gdy zza okolicznej przełęczy pojawią się reflektory jakiegoś samochodu.

Spoglądają na rejestrację. Kilka znaczących spojrzeń na siedzących w środku auta. Po chwili machają ręką. Można przejeżdżać. Samochód jest już na terenie Autonomii Palestyńskiej.

Gdy Józef wszedł po zezwolenie konieczne do wejścia do miasta, musiał spędzić z celnikami nieco więcej czasu, odpowiadając na najróżniejsze pytania urzędników. Między innymi o swoje pochodzenie, źródło utrzymania, posiadane ziemie. Emmerich podaje, że: „po zbadaniu pergaminów porozwieszanych na ścianie, odczytano dwa zawierające genealogię Józefa i Maryi. Właśnie wtedy Józef dowiedział się, że Maryja jako córka Joachima jest prawdziwą latoroślą szczepu Dawidowego". Już wiedział.

Najsłynniejsza grota świata

O bezskutecznym szukaniu miejsca w Betlejem przez Świętą Rodzinę wiemy praktycznie wszyscy. Ten bowiem szczegół podaje także Pismo Święte. To właśnie wówczas zatroskany i pewnie zawiedziony obrotem sprawy Józef zaproponował Maryi, aby udali się za miasto. Do dobrze znanej mu groty.

Według niemieckiej mistyczki Józef miał okazję bywać w tej grocie jeszcze wtedy, gdy był młodzieńcem. Mając dwanaście lat, chcąc uniknąć przykrości ze strony dokuczającego mu rodzeństwa, często wymykał się na drugą stronę rodzinnego Betlejem. Tutaj spędzał czas z mieszkającymi w swoich skalnych izdebkach Esseńczykami. Wracając zaś wieczorami do domu, zatrzymywał się często w pewnej grocie. Jak się potem okazało, to właśnie ta grota stała się za jakiś czas najsłynniejszą grotą świata.

Dobrze znane miejsce

„Wejście główne od północy wiodło wąską drożyną do piwnicy zaokrąglonej z jednej strony, a z drugiej trójkątnej i ciągnącej się do części wschodniej wzgórza. W ścianie od południa były trzy zakratowane otwory, a czwarty podobny w sklepieniu. I właśnie w części wschodniej tej groty naprzeciw wejścia, znajdowała się Najświętsza Dziewica w chwili, kiedy z Jej łona wynikła światłość świata. W południowej części groty był żłóbek, gdzie oddawano cześć Dzieciątku Jezus. Żłób wydrążony w kamieniu służył do pojenia bydła. Wzdłuż drogi prowadzącej z groty do doliny pasterzy cieszyły oko domki wzniesione na wzgórzach, a na nizinie szopy kryte trzcinową strzechą. Na zachód od groty wyniosły pagórek łagodnie opadał ku dolinie porośniętej drzewami, krzakami i łąkami, przez które płynął strumyk. Na wschodnim zboczu znajdowała się inna grota, mieszcząca w sobie grób Mahary, mamki Abrahama. Do tej to groty Najświętsza Panna często zachodziła z Dzieciątkiem Jezus, a zwie się ona grotą mleczną." Tak oto grotę oraz jej otocznie widziała w swojej natchnionej wizji błogosławiona Anna Katarzyna Emmerich.

Dziś grota ukryła się pod ołtarzem Bazyli Narodzenia Pana Jezusa. Nie ma już drogi łączącej grotę z doliną pasterzy. Nie ma domków na wzgórzach. Nie ma tej ciszy. Nie ma doliny, przez którą przepływał szemrzący strumyk. Zamiast tego są wąskie drzwi, przez które co chwila próbują przecisnąć się kolejne osoby pragnące wejść do środka. Wystawszy swoje w kolejce. Często kilkudziesięciominutowej. By wejść tam, gdzie przed przeszło dwoma tysiącami lat biedny i zatroskany Józef zaprowadził swoją Ukochaną. Bo to miejsce akurat znał najlepiej.

Decyzja, która należy do nas

Tutaj ukończyli drogę. Po przejściu 150 kilometrów trasy, podczas której przez większe okresy jedynymi ich towarzyszami były oślica i oślątko, wreszcie dotarli do celu. Nie wiemy, czy właśnie tak to miejsce sobie wyobrażali. Nie wiemy, jak zareagowali. Tak naprawdę nie wiemy nawet, czy opisane wyżej spotkania rzeczywiście miały miejsce. Cała powyższa relacja jest bowiem oparta jedynie na objawieniach prywatnych.

Wiemy jednak, jak ta ziemia wygląda dzisiaj. Mamy jej zdjęcia. Dysponujemy filmami tu nagranymi. Więksi szczęściarze mogą przywołać wspomnieniami zapach tej niezwykłej ziemi. Nacieszyć oko jej kolorami. Jak cenne to dary, uświadamiamy sobie zwłaszcza teraz. Dziś bowiem, gdy podróż do Ziemi Świętej jest niemożliwa bądź bardzo mocno utrudniona, pozostaje nam jedynie to. Wspomnienie. Reportaż z miejsca. I takie właśnie historie. Opisane w książkach. Oparte na wizji ludzi, którzy widzieli więcej niż my. Którzy pozwalają nam z tych obrazów czerpać. A co z tym obrazem zrobimy, to już zupełnie inna kwestia. Nasza. ■

eprasa.pl 78edc793a0

Olga Doleśniak-Harczuk

Biało-czerwone troski Bundestagu

eprasa.pl 78edc793a0

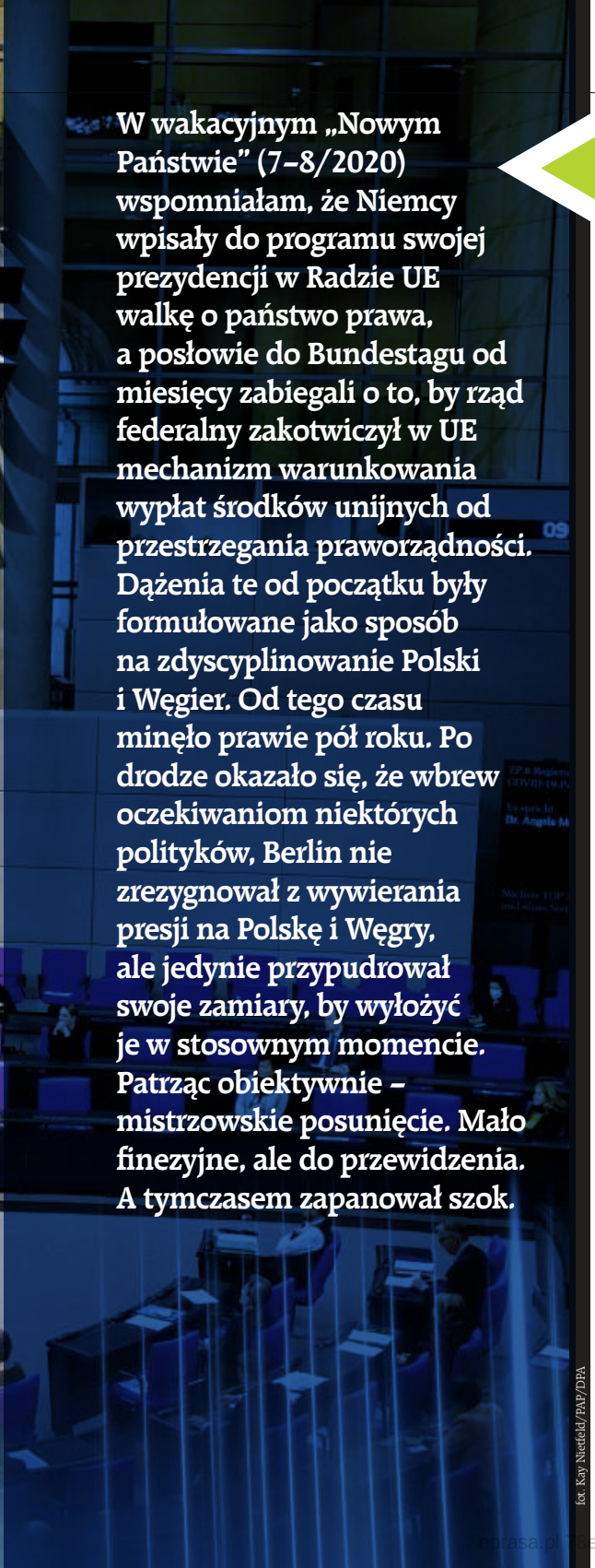

W wakacyjnym „Nowym Państwie" (7–8/2020) wspomniałam, że Niemcy wpisały do programu swojej prezydencji w Radzie UE walkę o państwo prawa, a posłowie do Bundestagu od miesięcy zabiegali o to, by rząd federalny zakotwiczył w UE mechanizm warunkowania wypłat środków unijnych od przestrzegania praworządności. Dążenia te od początku były formułowane jako sposób na zdyscyplinowanie Polski i Węgier. Od tego czasu minęło prawie pół roku. Po drodze okazało się, że wbrew oczekiwaniom niektórych polityków, Berlin nie zrezygnował z wywierania presji na Polskę i Węgry, ale jedynie przypudrował swoje zamiary, by wyłożyć je w stosownym momencie. Patrząc obiektywnie – mistrzowskie posunięcie. Mało finezyjne, ale do przewidzenia. A tymczasem zapanował szok.

fot. Kay Nietfeld/PAP/DPA

Niemcy będą sprawować swoją prezydencję w Radzie UE do końca tego roku. Nie mnie oceniać, dlaczego klasa polityczna zareagowała na zafundowany przez niemiecką prezydencję rollercoaster zdumieniem. Nie jestem politykiem, być może uprawianie tej trudnej sztuki zawęża czasem horyzont, a może polityka karmi się zbyt często wyobrażeniem o samej sobie zamiast faktami. Mogę jedynie przypomnieć, że co najmniej od roku w niemieckim parlamencie szykującym się do przejęcia prezydencji w Radzie UE, z coraz większym zacięciem pisano i mówiono o konieczności zdyscyplinowania Warszawy i Budapesztu. Argumenty padały różne. Troska o prawa środowisk LGBT, polskie sądownictwo, wolne media, prawa kobiet. Każdy spór dotyczący kwestii światopoglądowych rozgrywający się w Polsce wywoływał reakcje w niemieckim parlamencie, a oburzenie posłów materializowało się w stosie wniosków wpływających do Bundestagu. Nie wszystkie przyjmowano, ale większość zawartych w nich postulatów i tak z czasem przenikała do dokumentów, które już trafiały na akceptację parlamentarnej większości. Autorami pism wzywających rząd federalny do podjęcia stanowczych działań w związku z „erozją praworządności w Polsce i na Węgrzech" były wszystkie kluby parlamentarne poza Alternatywą dla Niemiec. W debatach nad wnioskami, które trafiły pod obrady Bundestagu, brali udział członkowie FDP, Linke, Zielonych, CDU/CSU i SPD. I znowu – jedynymi politykami, którzy przeciwstawili się potępieniu Polski i Węgier, byli posłowie AfD. Nie, nie chodzi o to, by uznać przedstawicieli tej partii za jedynych sprawiedliwych w Bundestagu, znając ich determinację w forsowaniu dokończenia budowy gazociągu Nord Stream 2, naiwnością byłoby upatrywanie w AfD sojusznika polskich interesów. Rzecz w tym, by oddać sprawiedliwość politykom niemieckim tam, gdzie jest to uzasadnione, i nie szukać na siłę dziury w całym, ale i nie przymykać oka na te niemieckie aktywności, które idą w poprzek polskich interesów. To tytułem wstępu. A przechodząc do sedna, poniżej znajdą Państwo najciekawsze i najważniejsze przykłady inicjatyw klubów parlamentarnych partii zasiadających w Bundestagu, dotyczących Polski, Węgier i tzw. mechanizmu praworządności, a złożonych lub omawianych w niemieckim parlamencie od stycznia 2019 roku do listopada 2020 roku. Każdy może sam sobie zadać pytanie, czy można było się przynajmniej psychicznie lepiej przygotować na pomysł niemieckiej prezydencji, by uzależnić wypłatę środków UE od dochowania standardów praworządności.

prasa.pl/edc793a0

▶ 29 stycznia 2019 – dokument nr 19/7423

Wniosek klubu parlamentarnego FDP, partii opozycyjnej wobec rządu Wielkiej Koalicji CDU/CSU-SPD pt. „Dla europejskiej inicjatywy podstawowych wartości". W dokumencie wzywano rząd federalny do zainicjowania unijnej debaty o zastosowaniu możliwych środków nacisku wobec państw, które zdaniem FDP są na bakier z praworządnością. W dokumencie wymieniono na pierwszym miejscu Polskę, następnie Węgry, a pod koniec Rumunię. Powoływano się na rezolucję Parlamentu Europejskiego z 15 listopada 2017 roku, w której zarzucano Polsce łamanie praworządności. Liberałowie postulowali regularne monitorowanie przestrzegania standardów praworządności w państwach wspólnoty i w razie stwierdzenia uchybień, wdrożenie mechanizmu dyscyplinującego winowajców oraz powiązania wypłaty środków unijnych z przestrzeganiem praworządności (s. 4, II.4). FDP wskazywało, że nie może być tak, by państwo objęte na przykład procedurą wynikającą z art. 7 Traktatu o UE, wywinęło się sprawiedliwości na skutek zablokowania postępowania przez państwa, wobec których również wdrożono ten sam mechanizm. We wniosku FDP pojawia się stwierdzenie, że dotychczasowe działania Komisji Europejskiej wobec Polski (procedura z art. 7) nie przyniosły konkretnych wyników, i sugestia, że w związku z tym należałoby poszerzyć spektrum ewentualnych środków nacisku bądź sankcji. Pomysł z powiązaniem wypłat środków unijnych z budżetu na lata 2021–2027 z przestrzeganiem praworządności został zapisany na s. 4, III.6. Dokument podpisał Christian Lindner, szef FDP. Wniosek został odrzucony w Bundestagu 14 maja głosami CDU/CSU, SPD i AFD, Zieloni i Linke wstrzymali się od głosu.

▶ 30 stycznia 2019 – dokument nr 19/7436

To wniosek klubu parlamentarnego Zielonych, z propozycją utworzenia specjalnej Komisji ds. Praworządności. Państwa, które nie spełniłyby standardów nowej komisji, nie mogłyby liczyć na środki z unijnej kasy. Zieloni piszą o zagrożeniu demokracji i praworządności w państwach członkowskich UE. O „nacjonalistycznych, populistycznych i antyliberalnych partiach i prądach atakujących europejskie wartości podstawowe". O siłach „wykluczających mniejszości, zawężających wolność naukową, demontujących wolność słowa i prasy, poddających wymiar sprawiedliwości autorytarnej kontroli, często idącej w parze z korupcją". Dalej pojawia się pasaż poświęcony „aktualnemu rządowi w Polsce, który swoją reformą sprawiedliwości zagraża niezależności wymiaru sprawiedliwości państwa", i stwierdzenie, że „rząd Victora Orbana na Węgrzech doprowadził do rekucji medialnej różnorodności, stygmatyzuje społeczeństwo obywatelskie, robi z 30 tys. bezdomnych i uchodźców – kryminalistów [...] ogranicza wolność w oświacie i nauce, likwidując nielubiane przez siebie kierunki studiów, takie jak gender-studies". We wniosku wspomina się jeszcze o Słowacji, Malcie, Rumunii i Austrii, ale większość miejsca zajmują zarzuty pod adresem Polski i Węgier. Na stronie 3 (pkt 10.) pojawia się przypomnienie, że KE zaproponowała już wcześniej w związku z negocjacjami ram finansowych na lata 2021–2027 warunkowanie wypłat środków unijnych od przestrzegania praworządności. Na stronie 5 (pkt 5.) Zieloni wprost proponują, by państwom nieprzestrzegającym praworządności odciąć środki z budżetu i wypłacać je bezpośrednio samorządom i organizacjom, tym, które zdaniem unijnych instytucji spełniają kryteria poszanowania europejskich wartości. Jest to *de facto* postulat wprowadzenia nowego mechanizmu redystrybucji środków unijnych (pomysł ten pojawił się również niecały rok później na łamach internetowego wydania dziennika „Tagesspiegel" w przedrukowanym artykule George'a Sorosa). Dokument podpisali liderzy Zielonych, Karin Göring-Eckardt i dr Anton Hofreiter. Wniosek został odrzucony w Bundestagu 14 maja głosami CDU/CSU, SPD i AFD i Linke. FDP poparło dokument.

Wnioski FDP i Zielonych nie przepadły z tego powodu, że większość parlamentarna nie podzielała zawartych w nich poglądów, lecz dlatego, że sformułowane w nich pomysły miały niebawem ukazać się na kartach kolejnych wniosków, ale tym razem w wydaniu partii Wielkiej Koalicji. Jedyną partią, która odrzuciła w maju już samą ideę ingerowania instytucji unijnych w kwestię praworządności państw członkowskich, była AfD. Reszta jednym głosem poparła dyscyplinowanie niesfornych członków UE za pomocą kija sankcji i marchewki finansowej, ale niekoniecznie zgadzając się z formą zaproponowaną przez FDP i Zielonych. Przewodniczący Komisji ds. Unii Europejskiej w Bundestagu, Gunther Krichbaum (CDU), nawiązując do powiązania wypłacania środków unijnych z przestrzeganiem praworządności, stwierdził wtedy nawet, że kiedy Komisja Europejska reaguje na nieprawidłowości, to nie jest to absolutnie jakąkolwiek ingerencją, lecz dbałością o praworządność, natomiast Konstantin Kuhle (FDP) postulował powołanie unijnej „tarczy dla praworządności" analogicznie do „tarczy antykryzysowej" ratującej niemiecką gospodarkę w czasie pandemii. Szef niemieckiej dyplomacji, Heiko Maas, uspokoił obecnych, zapewniając, że jednym z punktów niemieckiej prezydencji w Radzie UE będzie dążenie do powiązania kwestii praworządności z wypłatą unijnych środków.

eprasa.pl 78edc793a0

I tak 14 maja 2020 roku większość parlamentarzystów odrzuciła wnioski Zielonych i FDP, by następnie włączyć ich główne założenia w program niemieckiej prezydencji. Kwestia praworządności pojawia się w punkcie V programu i brzmi następująco: „Przestrzeganie standardów praworządności w Unii i w jej państwach członkowskich jest też podstawowym warunkiem prawidłowego wykorzystania środków budżetowych UE. W związku z tym wspieramy propozycję Komisji w sprawie powiązania środków budżetowych UE z przestrzeganiem standardów w zakresie praworządności w państwach członkowskich. Ponadto jesteśmy przekonani, że wszędzie tam, gdzie w państwach członkowskich występują uchybienia w zakresie praworządności, trzeba zdecydowanie wykorzystywać mechanizmy przewidziane w traktatach europejskich. Dotyczy to zarówno procedur z art. 7 TUE, jak też postępowań przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej".

▶ 16 września 2020 – dokument nr 19/22633

Tego dnia w niemieckim parlamencie odbyły się dwie debaty ważne z perspektywy interesu Polski. O Nord Stream 2 i o praworządności. Wniosek z pierwszej był taki, że tylko Zieloni uważają dokończenie budowy rosyjsko-niemieckiego gazociągu za coś zdrożnego, a z drugiej, że tylko AfD dostrzega zagrożenie w uzurpowaniu sobie przez Niemcy prawa do rozstrzygania o tym, co jest, a co nie jest zgodne z zasadami praworządności UE. Dyskusja dotyczyła konkretnie wspólnego wniosku CDU/CSU i SPD o „Ochronie praworządności i demokracji w Europie". Część postulatów, które się tam pojawiły, została przeszczepiona z odrzuconych 14 maja wniosków FDP i Zielonych. W debacie jako pierwszy zabrał głos wiceszef niemieckiego MSZ, Michael Roth (SPD), który mówił o propozycji wdrożenia dwóch instrumentów mających mobilizować państwa do przestrzegania zasad praworządności: uzależnienie wypłat i ocena stanu praworządności państw UE dokonywana przez KE. Wcześniej Roth wspomniał o procedurze wynikającej z art. 7 i Polsce, i Węgrom (w listopadzie pan minister z poważną miną pouczał przeciwników mechanizmu praworządności o tym, że to nie czas na spory).

Następnie głos zabrała posłanka AfD, Corina Miazga, i zrobiło się przez chwilę bardzo gorąco. „Wy się tu martwicie partiami opozycyjnymi za granicą, a my tutaj się zastanawiamy, kto w 2015 roku złamał prawo. I jak traktuje się w Bundestagu posłów AfD. Jesteście duchowymi podżegaczami! Macie belkę w oku, a szukacie drzazgi za granicą!". Zdaniem Miazgi atak na Polskę i Węgry wynikał z niezgody obu państw na politykę migracyjną Niemiec. „Ten sprzeciw zasługuje na szacunek, a nie na sankcje!" – zawołała, schodząc z mównicy. Potem wystąpił Philip Amthor (CDU/CSU), który przekonywał, że w tym wszystkim wcale nie chodzi o ingerowanie w suwerenność innych państw, lecz o europejskie wartości, a „Unia Europejska to nie jest jakieś wybieranie rodzynek z ciasta". Konstantin Kuhle (FDP) – ten pan od „tarczy dla praworządności" – mówił o „odważnych sędziach z Polski" i o tym, że każda taka debata w Bundestagu musi być sygnałem dla społeczeństwa obywatelskiego Polski i Węgier. Andrej Hunko, poseł Linke, poskarżył się, że tu, w Bundestagu, mówi się o praworządności, ale jak przyszło co do czego w Parlamencie Europejskim, to nikt Fideszu z Europejskiej Partii Ludowej nie wyrzucił. Hunko nazwał ten fakt „grzechem zaniechania Niemiec". Narzekał też na erozję praworządności w Polsce i na to, że Ursula von der Leyen „nie zdyscyplinowała polskiego komisarza, który otwarcie popierał jednego z kandydatów na prezydenta Polski w ostatnich wyborach" (!). Hunko wspomniał też o inicjatywie Jeana Claude'a Junckera z 2017 roku, kiedy rozważał pozbawienie Polski prawa głosu w Radzie Europejskiej. Franziska Brantner (Zieloni) przypomniała, że jej partia od 2015 roku upomina się o zaostrzenie kursu wobec Polski i Węgier, a tymczasem na lipcowym szczycie unijnym w Brukseli kwestia praworządności ani drgnęła. Brantner nazwała na koniec Victora Orbana antysemitą i zażądała, by go „wyrzucić z Rady Europejskiej". To tylko wycinek z debaty, która kilka dni później zaowocowała na poziomie europejskim przedstawieniem pomysłów niemieckiej prezydencji na powiązanie wypłat środków unijnych od przestrzegania zasad praworządności. W tekście rekomendacji Komisji Bundestagu ds. UE z 16 września 2020 roku dla Bundestagu, dotyczącej wniosku CDU/CSU i SPD, sformułowano szereg pomysłów na presję, jakiej można poddać Węgry i Polskę. Autorzy dokumentu nawet nie udawali, że akcja jest wymierzona w te państwa. W tekście jest m.in. mowa o tym, że art. 7 to instrument oznaczający sankcje, a nie prewencję, a Unia potrzebuje przede wszystkim środków zapobiegawczych. Kwestia powiązania środków unijnych pojawia się m.in. w punkcie dotyczącym praw mniejszości seksualnych, jest to ujęte jako wystarczający powód, by rozważyć wypłatę środków. Pojawia się też teza, że propozycja niemiecka może być dla części polityków rozczarowująca, ponieważ ostatecznie ma się skoncentrować na zależności między wypłatą unijnych pieniędzy a ewentualnym naruszeniem finansowego interesu UE, a nie mglistym naruszaniem praworządności. To jest ten punkt, który wiceszefowa PE i członkini SPD, Katarina Barley, nazwie później „bezzębnym", a co przed nią w ten sam sposób zdążą już skomentować media niemieckie i austriackie.

eprasa.pl 78edc793a0

Zainteresowanie Polską nie ogranicza się do trzech dokumentów

Z braku miejsca wymienię jeszcze krótko kilka innych wniosków i zapytań, które świadczą o wyjątkowym zainteresowaniu Bundestagu sprawami Polski. I tak 6 lipca 2020 roku, czyli w szóstym dniu niemieckiej prezydencji w Radzie UE, do Bundestagu zgłosiło się ponownie FDP z zapytaniem o kształt bieżących stosunków niemiecko-polskich (dokument nr 19/20870). W swoim zapytaniu liberałowie potwierdzają, że Polskę i Niemcy łączą mocne relacje gospodarcze, ale że nie brakuje również tematów, które dzielą oba państwa (Nord Stream 2, podejście do NATO, reparacje za II wojnę światową, kwestia praworządności, klimat, migracja). Autorzy wniosku twierdzą, powołując się na artykuł think tanku SWP, że „Prawo i Sprawiedliwość chce wyciszyć wpływy Niemiec w Europie". Padają pytania do rządu federalnego dotyczące „strategii Niemiec na kontakty z Polską", dużo miejsca zajmują kwestie praworządności, pojawia się na przykład pytanie o to, jak rząd ocenia stan polskiego wymiaru sprawiedliwości i co robi w celu wspierania niezależnych mediów w Polsce, jakimi metodami stara się rozwiać obawy Polaków co do budowy Nord Stream 2, jakie środki stosuje rząd federalny w celu wsparcia zwalczania korupcji w Polsce itd. W podobnym tonie jest utrzymane zapytanie frakcji Die Linke do rządu federalnego z 26.10.2020 roku dotyczące ogólnie „Praworządności w UE" (druk 19/2364819). Ogólnie z pozoru, ponieważ większość treści odnosi się do sytuacji w Polsce i na Węgrzech i żądania zastosowania jeszcze mocniejszych form nacisku na te państwa. W dokumencie posłowie Linke wracają też do swojego ulubionego tematu, czyli dlaczego do tej pory nikt nie wyrzucił partii Orbana z Europejskiej Partii Ludowej i dlaczego siły europejskie dopuściły w ogóle do wyboru Ursuli von der Leyen na szefową KE „głosami nacjonalistów". Poza tym Linke żąda powiązania wypłat środków unijnych z praworządnością i pochyla się nad losem środowiska LGBT w Polsce. W ostatnim wniosku, który przed oddaniem tego tekstu do druku pojawił się na stronie Bundestagu, po raz kolejny o wyjaśnienie spraw polskich zabiegają posłowie FDP. Tym razem liberałowie wzywają niemiecki rząd do interwencji w sprawie wyroku polskiego Trybunału Konstytucyjnego w kwestii aborcji. Posłowie martwią się też o „polaryzację polskiego społeczeństwa" w sprawie prawa polskich kobiet i środowisk LGBT. O wyroku TK mówią jako o „kropli, która przelała kielich goryczy". Dokument wpłynął do parlamentu 17 listopada 2020 roku. Dzień później pod Brama Brandenburską ponad 10 tys. ludzi demonstrowało przeciwko koronapolityce rządu federalnego. Zatrzymano 365 osób, policja użyła armatek wodnych, 77 funkcjonariuszy policji odniosło obrażenia. Do budynku Reichstagu dostało się grono przeciwników rządu, na łamach „NP" nie wypada mi cytować epitetów, jakimi obrzucili m.in. wicekanclerza Niemiec, Petera Altmeiera. Uciekł do windy przed rozwścieczoną kobietą. Jej język nie ustępował swoim wyrafinowaniem hasłom pań ze Strajku Kobiet. Wszystkie partie potępiły zarówno wtargnięcie intruzów, jak i posłów AfD, którzy mieli im ułatwić wstęp do budynku.

Czy polska lewica zaangażowana w prawa mniejszości seksualnych nie może zaprotestować pod sądem administracyjnym w Berlinie, by ten przynajmniej zarządził grzywnę dla pani, która w swoim berlińskim barku wytapetowała ściany cytatami z Biblii, które grożą dzisiejszym środowiskom LGBT piekłem?

Czy w polskim sejmie ktoś już pisemnie zdążył wyrazić swoje zaniepokojenie „napiętą sytuacją w Niemczech, świadczącą o ogromnej polaryzacji społeczeństwa"? Albo czy polska lewica zaangażowana w prawa mniejszości seksualnych nie może zaprotestować pod sądem administracyjnym w Berlinie, by ten przynajmniej zarządził grzywnę dla pani, która w swoim berlińskim barku wytapetowała ściany cytatami z Biblii? Cytatami, które grożą dzisiejszym środowiskom LGBT piekłem... Miejscowi aktywiści nie radzą sobie z krnąbrną właścicielką, a sąd i prokuratura umywa ręce. Podobno pani może sobie wieszać na ścianach swojego lokalu, na co jej przyjdzie ochota. Jeżeli istnieje jeszcze jakaś lewicowa solidarność, to ona ma szansę się objawić właśnie teraz. W Berlinie. ■

W artykule wykorzystałam fragment tekstu napisanego dla „Gazety Polskiej Codziennie".

eprasa.pl 78edc793a0

FOT. BORIS ROESSLER/PAP/DPA

Antoni Rybczyński

CAR I SUŁTAN GRAJĄ W SZACHY

Wojna rozpoczęta 27 września na Kaukazie Południowym nie była pierwszym starciem zbrojnym Azerbejdżanu z Armenią. Ale po raz pierwszy zaangażowała się w to Turcja, na bezprecedensowym poziomie wojskowo-technicznego i politycznego wsparcia dla Baku.

eprasa.pl 78edc793a0

Zaangażowanie Turcji konrastuje z całkowitą biernością Ankary podczas pierwszej wojny o Górski Karabach, którą Azerbejdżan z kretesem przegrał. Inna jest aktywność Turków, bo i Turcja jest dziś zupełnie inna niż ta z początku lat 90. XX wieku. Dziś mamy agresywną politykę Recepa Tayyipa Erdogana, który jednocześnie na kilku frontach próbuje budować mocarstwową pozycję Turcji – przynajmniej w regionalnym wymiarze.

Partnerstwo czy konfrontacja?

Właściwie na każdym z frontów otwartej przez Ankarę ofensywy pojawia się Rosja. Dlatego relacji obu państw nie można postrzegać już tylko przez pryzmat rywalizacji na Morzu Czarnym, Kaukazie i Bałkanach. Były wojny i pokoje w XVI, XVII, XVIII i XIX wieku. Dziś jednak doszły inne pola gry: Syria i Libia. Mimo to od 2016 roku relacje Rosji z Turcją rozwijały się zaskakująco dobrze, na co wpływ głównie miała wspólna niechęć do Zachodu. Ale nawet wtedy nie brakowało głosów, że to taktyczny sojusz, a interesy Putina i Erdogana są różne i w końcu dojdzie do starcia. Tak się chyba zaczyna dziać w tym roku. Najpierw doszło do eskalacji konfliktu w syryjskim Idlib, gdzie Rosjanie, nie dotrzymując słowa danego Ankarze, wsparli nową ofensywę Asada na rebeliantów. Jednocześnie Turcja zaangażowała się militarnie w wojnie libijskiej, i to po stronie przeciwnej niż Rosja. Wreszcie jesienią 2020 roku Erdogan otworzył nowy front rywalizacji z Putinem, na Kaukazie. Dziś fakty są takie, że Rosja i Turcja popierają walczące ze sobą, przeciwne strony w trzech konfliktach: w Syrii, Libii, Górskim Karabachu. Do tego rywalizują ze sobą na Morzu Czarnym i Morzu Śródziemnym. Wciąż jednak jest to relacja niejednoznaczna. Partnerstwo i współpraca czy konkurencja i konfrontacja? Obie tezy mają wielu swych zwolenników.

Ciężko znaleźć inny kraj – no może poza Persją – z którym Turcy prowadziliby tak często i tak ciężkie wojny, jak z Moskwą. Od 1558 roku można naliczyć aż 12 wojen, w których często Turcja sprzymierzała się z Zachodem (jak w wojnie krymskiej). Dziś sytuacja jest nieco inna. Choć Ankara jest członkiem NATO, a nawet wciąż nie zrezygnowała oficjalnie z ubiegania się o członkostwo w UE, to jednak właśnie napięcia w stosunkach z Zachodem powodują, że Erdogan kilka lat temu obrał kurs na zbliżenie z Rosją. Nie jest to zresztą aż tak wielka niespodzianka. Już w przeszłości zdarzały się sytuacje, gdy dochodziło do spięć na linii Zachód–Turcja, co ocieplało – na krótko i taktycznie – stosunki z Moskwą. W 1964 roku Lyndon Johnson ostrzegł premiera Turcji İsmeta İnönü (wcześniej prawą rękę Atatürka) przed użyciem otrzymanej z USA broni w celu obrony tureckiej mniejszości na Cyprze. Dał do zrozumienia, że jeśli Ankara sprowokuje Sowietów, nie dostanie pomocy USA. Turcja zbliżyła się wówczas do ZSRS, który zaangażował się nawet w kilka wielkich przemysłowych projektów w Turcji (zbliżeniu sprzyjały antyamerykańskie nastroje w miastach tureckich, gdzie popularna wtedy była lewica). Podobna sytuacja miała miejsce w 1975 roku, gdy Kongres USA nałożył embargo na eksport broni do Turcji po inwazji tej ostatniej na Cyprze rok wcześniej. Także wtedy wśród Turków pojawiły się wezwania do wyjścia z NATO i poprawy stosunków z ZSRS. Ale to jednak teraz zbliżenie turecko-rosyjskie jest najbardziej widoczne i najmocniejsze od dekad. Czynnikiem, który do tego doprowadził (acz grunt robił się podatny od dawna w związku z dążeniem Erdogana do islamizacji także polityki zagranicznej, ambicji mocarstwowych w regionie oraz wzmocnienia w samej Turcji środowisk wzywających do zerwania z Zachodem i własnej drogi rozwoju), stał się konflikt w Syrii.

Syryjski gambit

Zestrzelenie rosyjskiego samolotu przez Turków 24 listopada 2015 roku nad granicą syryjską wywołało poważny kryzys w relacjach dwustronnych. Pojawiły się sankcje, nie zabrakło gróźb. Putin skutecznie obraził się na tureckiego partnera, a Moskwa uderzyła w południowego sąsiada sankcjami ekonomicznymi (embargo handlowe, blokada wyjazdów turystów). Dążenie do ich zdjęcia było jednym z dwóch głównych motywów zmiany kursu przez Erdogana, który przeprosił Putina, co było warunkiem wstępnym poprawy stosunków. Wydarzenia w połowie lipca 2016 roku jeszcze bardziej skłoniły Erdogana do zbliżenia z Rosją. Putin wyraził pełne wsparcie dla Erdogana, gdy ten musiał uporać się z próbą wojskowego zamachu stanu. Na dodatek represje dotknęły na ogół oficerów, którzy sceptycznie lub wręcz wrogo odnosili się do Rosji. W niektórych irańskich i izraelskich mediach pojawiły się nawet informacje, że to rosyjski wywiad wojskowy namierzył przygotowania do puczu w tureckiej armii i na godziny przed buntem Kreml powiadomił o tym Erdogana. Kluczowy miał okazać się nasłuch prowadzony z rosyjskiej bazy pod syryjską Latakią. 9 sierpnia 2016 roku pod Petersburgiem doszło do spotkania prezydentów Rosji i Turcji. Do grudnia 2016 roku współpraca była już tak dobra, że przyjęła formę choćby tzw. trójkąta astańskiego, czyli tercetu Ro-

eprasa.pl 78edc793a0

sji, Turcji i Iranu mającego przygotować pokój w Syrii. To już był sukces Ankary – uznanie jej za jednego z kluczowych decydentów w Syrii. Drugim sukcesem był szczyt stambulski Niemiec, Turcji, Francji i Rosji (październik 2018), gdzie Ankara umocniła swój status gracza równego Rosji i UE, jeśli chodzi o rozstrzygnięcia syryjskie. Niemal dokładnie rok później porozumienie w Soczi Putina i Erdogana potwierdziło prawa tureckie w północnej Syrii, zatrzymując proces likwidacji ostatniego bastionu rebeliantów (w dużej części związanych z Ankarą) w Idlib.

Początkowo Turcja jednoznacznie opowiadała się za obaleniem Asada, wspierała i finansowała opozycyjne ugrupowania zbrojne. To się zbiegało z polityką USA. Jednak kluczowy dla Ankary w Syrii zawsze był tak naprawdę „problem kurdyjski". To właśnie z tego powodu stanowiska Turcji i USA się rozeszły, za to pomogły w zbliżeniu Ankary z Moskwą. Turcy od wielu lat brutalnie zwalczają wszelkie przejawy dążenia Kurdów do przynajmniej autonomii. To ma wpływ także na politykę w Syrii. Kiedy kurdyjskie milicje wspierane przez Amerykanów zapanowały nad znaczącą częścią północno-wschodniej części kraju, Turcja zdecydowała się na radykalne kroki, aby nie dopuścić do pojawienia się i utrwalenia kurdyjskiej autonomii. Wchodząc na tereny Syrii chciała ustanowić strefę buforową, by odsunąć Kurdów od granicy. To było sprzeczne z celami amerykańskimi. Kurdowie bowiem okazali się cennymi sojusznikami USA w wojnie z Państwem Islamskim w Syrii. Później doszło do tego – źle odebrane przez Ankarę – stanowisko Zachodu w sprawie nieudanego puczu w Turcji. Wspierająca Asada Rosja spokojnie przyglądała się tureckim operacjom ofensywnym w północnej Syrii w latach 2016, 2018, 2019. Bo uderzało to wtedy głównie w amerykańskie interesy, wszak USA wspierają Kurdów syryjskich. Dla Turcji rozwój sytuacji w Syrii ma zasadnicze znaczenie dla jej bezpieczeństwa narodowego. Chodzi zarówno o napływ uchodźców (przyjęto ich do tej pory około 4 mln!), jak i dążenie syryjskich Kurdów do autonomii. Z kolei dla Rosji Syria to autostrada do rozbudowy wpływów na Bliskim Wschodzie oraz wywierania presji na USA. Turkom obecność Amerykanów w Syrii też jest nie w smak, ale z drugiej strony jest konflikt między wspieranymi przez Ankarę rebeliantami a siłami syryjskimi wspieranymi przez Rosjan. Turcy zajęli pewne obszary w północnej Syrii, wspierają też rebeliantów w Idlib. Moskwa musiała tu pójść na kompromis. Nie pozwala jeszcze Asadowi na dobicie rebelii i współpracuje z Turkami w monitoringu wojskowym sytuacji w regionie. Jednak dążenie Turcji do rozszerzenia terytorialnych wpływów i zdecydowanie Rosji, by przywrócić pod kontrolę Asada całą Syrią doprowadziły do starć wiosną tego roku w Idlib. Wtedy jeszcze Ankara nakłoniła Moskwę do zatrzymania ofensywy. Ale pod koniec października rosyjskie samoloty sprawiły krwawą łaźnię proturec-

Zestrzelenie rosyjskiego samolotu przez Turków 24 listopada 2015 roku nad granicą syryjską wywołało poważny kryzys w relacjach dwustronnych. Putin skutecznie obraził się na tureckiego partnera, a Moskwa uderzyła w południowego sąsiada sankcjami ekonomicznymi.

kim rebeliantom w Idlib. Ciekawe, że tuż przedtem Putin pochwalił Erdogana za prowadzenie niezależnej polityki zagranicznej. „To jego stanowisko. Nie uznaje Krymu [w sensie aneksji – przyp. aut.], nie uznaje Górskiego Karabachu" – mówił Putin podczas dorocznego spotkania (tym razem on-line) z uczestnikami Klubu Wałdajskiego. I zapewniał, że Rosja nadal będzie wykazywać w stosunku do Turcji cierpliwość i konsekwencję. Na dodatek w połowie października Turcy przeprowadzili testy zakupionych od Rosjan przeciwlotniczych systemów rakietowych S-400. Dlaczego więc doszło do prowokacji w Syrii? Wygląda na to, że w ten sposób Putin chciał pokazać Erdoganowi, że nie powinien przekraczać „czerwonych linii" w innych rejonach rywalizacji obu państw, bo może się to skończyć katastrofą w Syrii.

Libijski pat

W Syrii Turcja i Rosja, choć znalazły się po przeciwnych stronach barykady, to wypracowały jakiś konsensus. Wydawało się, że takich kłopotów obu stronom wystarczy. Tym większym nieprzyjemnym zaskoczeniem dla Kremla było wejście Turcji w inną wojnę domową. Kolejny konflikt, gdzie od dłuższego

eprasa.pl 78edc793a0

czasu Rosja próbowała realizować swoje cele. Znów po przeciwnej stronie. Moskwa bowiem od dawna wspierała militarnie siły generała Chalify Haftara, dominującego we wschodniej części Libii. Tymczasem Ankara pomogła walczącemu z Haftarem rządowi w Trypolisie. Co więcej, zrobiła to w krytycznym momencie, gdy wojska Haftara stały na rogatkach Trypolisu po udanej ofensywie (ze wsparciem rosyjskich najemników). Wkroczenie Turcji do gry zupełnie odwróciło losy wojny. Tureckie drony, doradcy wojskowi i tysiące zaciągniętych w Syrii najemników (skoro Rosja może...) pozwoliły rządowi w Trypolisie odeprzeć armię Haftara. Rosji bliższy jest Haftar i władze w Tobruku, które wspierane są przez Egipt, ZEA i Arabię Saudyjską, a więc poważnych rywali Turcji w świecie islamu. W Libii Turcja interweniowała w styczniu 2020 roku, walnie przyczyniając się do zatrzymania ofensywy Haftara wspieranego przez Rosję, Egipt i ZEA. To pokrzyżowało szyki Moskwie, która stawiała na Haftara, licząc, że po wygraniu przez niego wojny i zapanowaniu nad całą Libią zgodzi się na wojskowe bazy rosyjskie na wybrzeżu śródziemnomorskim i dopuści Rosjan na specjalnych warunkach do bogatego sektora naftowego Libii. Zwalczany dziś przez Turków Haftar już w 2016 roku był dwa razy w Moskwie, spotykając się z szefem MSZ Siergiejem Ławrowem, ministrem obrony Siergiejem Szojgu i sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Nikołajem Patruszewem. W kwietniu 2019 roku, mając wsparcie rosyjskich najemników, Haftar ruszył z ofensywą, która miała być decydująca. Jednak utknął na przedmieściach Trypolisu. A potem do akcji wkroczyli Turcy...

Rząd w Trypolisie zawarł z Erdoganem szereg kontraktów gospodarczych zabezpieczających tureckie interesy energetyczne we wschodniej części Morza Śródziemnego (chodziło o wytyczenie granicy morskiej między Turcją a Libią, czego i tak nie uznają inne kraje regionu) oraz umowę o wojskowej współpracy, na podstawie której Ankara uzyskała prawo wprowadzenia na terytorium Libii wojsk na wniosek rządu w Trypolisie. Oczywiście głównym celem polityki tureckiej jest zabezpieczenie interesów energetycznych. Z kolei Rosja wydaje się być bliższa Grecji i Cyprowi w ich sporze z Turcją o prawa do eksploracji podmorskich złóż gazu. Zresztą obie strony nie omieszkują wbijać sobie szpilek. Na przykład MSZ Rosji opublikował tweeta upamiętniającego 193. rocznicę zwycięstwa połączonych sił morskich Rosji, Wielkiej Brytanii i Francji nad flotą turecko-egipską w bitwie pod Nawarino. To był ważny krok w kierunku uzyskania niepodległości przez Grecję. Z pewnością trudno uznać za przyjazną Turcji decyzję Rosji o przeprowadzeniu wspólnych z Egiptem manewrów morskich na Morzu Czarnym jesienią tego roku. Zresztą skoro mowa o rywalizacji Turcji z Grecją czy Egiptem na tle sporów o możliwości eksploatacji bogatych złóż gazu na Morzu Śródziemnym, to nie można zapominać o gazowej współpracy Turcji z Rosją. I o tym, że Gazprom powoli traci ten cenny rynek. Rosja dominowała na rynku tureckim już od lat 90. XX wieku. Oba kraje łączą dwa duże gazociągi przecinające Morze Czarne. Blue Stream z przepustowością 16 mld m³ został uruchomiony już w 2005 roku. Turk Stream ma z kolei przepustowość 15,75 mld m³ i zaczął działać w styczniu 2020 roku. W ostatnich latach Ankara zrobiła jednak duży postęp w dywersyfikacji źródeł importu gazu, zmniejszając zależność od Rosji. Ma dziś pięć terminali umożliwiających przyjęcie LNG, a szósty jest budowany. Ale kluczowy staje się import z Azerbejdżanu, który wiosną tego roku przewyższył dostawy z Rosji. I to właśnie z pewnością jest jednym z motywów polityki tureckiej na Kaukazie: zabezpieczenie dostaw gazu i ropy z Azerbejdżanu rurociągami biegnącymi przez Gruzję.

Syria i Libia to jedno. Tutaj można się jakoś porozumieć z Moskwą. Bardziej drażliwa jest sytuacja, gdy Turcy wchodzą w przestrzeń postsowiecką. Czyli tam, gdzie zdaniem Putina jest wyłączna strefa wpływów Rosji.

Kaukaski mat

Syria i Libia to jedno. Tutaj można się jakoś porozumieć z Moskwą. Bardziej drażliwa jest sytuacja, gdy Turcy wchodzą w przestrzeń postsowiecką. Czyli tam, gdzie zdaniem Putina jest wyłączna strefa wpływów Rosji. To z pewnością jeszcze bardziej komplikuje relacje Moskwy i Ankary. Naj-

eprasa.pl 78edc793a0

nowszym przykładem jest właśnie wspomniana na początku kwestia Górskiego Karabachu. Turcja odegrała kluczową rolę w wojnie na Kaukazie. Prawdopodobnie już latem tego roku trwały przygotowania do ataku na Armenię. Po wspólnych manewrach wojskowych na terenie Azerbejdżanu została grupa tureckich F-16, a przede wszystkim wielu doradców wojskowych. W tym pewien generał, który z Baku miał następnie *de facto* dowodzić flotą tureckich dronów bojowych – formalnie kupionych przez Azerbejdżan – dziesiątkujących szeregi armeńskie. Pojawiło się też wiele doniesień o najemnikach z Syrii, którzy mieli walczyć po stronie Azerbejdżanu, a których mogła sprowadzić tylko Turcja. Podobnie zresztą jak to zrobiła w Libii wcześniej. Azerbejdżan jeszcze w czasie działań wojennych proponował, żeby Turcja dołączyła jako współprzewodnicząca, obok Rosji, Francji i USA, do tzw. Grupy Mińskiej OBWE, która od lat 90. XX wieku miała się zajmować uregulowaniem konfliktu. Z kolei sama Ankara zaproponowała stworzenie czegoś w rodzaju formatu astańskiego (Syria), tyle że już jako kwartet Rosja–Turcja–Armenia–Azerbejdżan. Do niczego takiego nie doszło. Doszło za to do zawarcia rozejmu Azerbejdżanu z Armenią przy pośrednictwie Rosji. I to Rosja wysłała w region swoich „mirotworców". A słowo Turcja w dokumencie przyjętym przez Putina, Alijewa i Paszyniana w nocy z 9 na 10 listopada nawet nie pada. Czy to oznacza, że próby wkroczenia Erdogana na Kaukaz Południowy spaliły na panewce? Nie. Jedną rzeczą jest ustalenie o utworzeniu rosyjsko-tureckiego centrum monitoringu przestrzegania rozejmu z siedzibą na terytorium Azerbejdżanu. Baku po tej zwycięskiej wojnie jest jeszcze bardziej zobowiązane swemu sojusznikowi. Po drugie, wraz z tą drugą wojną karabaską Ankara zintensyfikowała współpracę z Gruzją i Ukrainą – co tak czy owak oznacza zwiększanie wpływów w regionie czarnomorsko-kaspijskim. W tym wypadku Turcja ma wyraźną przewagę nad Rosją. Moskwa nie jest zdolna budować podobnie pragmatycznych relacji z zorientowanymi prozachodnio Ukrainą i Gruzją (a być może za chwilę, Mołdawią).

Turcja to największy obok Rosji gracz w regionie. W czasach zimnej wojny ten kraj członkowski NATO, i tradycyjny rywal Moskwy, zagrażał południowej flance Związku Sowieckiego. Zaś biorąc pod uwagę to, że Rumunia i Bułgaria należały do bloku wschodniego, Morze Czarne było podzielone na strefę sowiecką i strefę natowską. No i przede wszystkim Turcy panują nad Bosforem. Stara reguła rosyjskiej geopolityki mówi zaś, że wroga Turcja to poważne ograniczenie możliwości na kierunku południowym. Szczęśliwie dla Putina, w Ankarze zaszły w ostatnich latach głębokie polityczne zmiany – Recep Tayyip Erdogan zbudował powoli niemalże współczesny sułtanat. Tyle że o ile w XVIII i XIX wieku sułtani zawsze walczyli z Rosją, a często wspierał ich Zachód, o tyle teraz sytuacja się odwraca. Relacje Ankary z Zachodem uległy poważnemu ochłodzeniu, zaś z Rosją wręcz przeciwnie. Warto też pamiętać, że Turcja nie zapewniła podobnej pomocy co teraz Azerom ani Gruzji w jej wojnie z Rosją (2008), ani Ukrainie w 2014 roku. Mimo że od kilku dekad Ankara rozwija wojskową, ekonomiczną i polityczną współpracę z Gruzją, a relacje z Ukrainą podniesiono do poziomu strategicznego w 2011 roku. Teraz jednak to się zmienia. Zwycięska wojna na Kaukazie dodała jeszcze pewności siebie Erdoganowi. W dniach 16–17 października w Turcji złożył wizytę prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. Podpisano umowę o współpracy wojskowej i list intencyjny, który otwiera drogę do sformalizowania głębszej współpracy wojskowej i technicznej w takich obszarach, jak wymiana informacji wywiadowczych, bezpieczeństwo Morza Czarnego i technologia bezzałogowych obiektów latających (UAV). Warto zwrócić uwagę, że same wyniki wizyty, jak i oświadczenia prezydenta Recepa Tayyipa Erdogana i szefa MSZ Mevluta Cavusoglu odnośnie do praw Ukrainy do Krymu i Donbasu, zostały bardzo negatywnie odebrane w Rosji. „Zawsze popieraliśmy suwerenność i terytorialną integralność Ukrainy, w tym też z Krymem" – mówił Erdogan, stojąc obok Zełenskiego. Zresztą Turcja nie uznała też nigdy „niepodległości" Abchazji i Osetii Południowej, okupowanych przez Rosję regionów Gruzji.

Dziś aktywność Turcji na Kaukazie i na Morzu Czarnym wzmacnia pozycję Gruzji i Ukrainy. Ankara w pewnym stopniu wykonuje pracę, jaką powinno było robić całe NATO. Wydaje się, że po ostatnich wydarzeniach na Zachodzie jednak powinien nieco osłabnąć niepokój wywołany zbliżeniem turecko-rosyjskim. Ankarze nie opłaca się zmieniać strategicznych sojuszników i odwracać od Zachodu. Rosyjską kartą Erdogan chce ugrać zgodę Zachodu na jego politykę, wyciągnąć jeszcze więcej miliardów euro z UE na uchodźców, ale też przekonać Amerykanów do korekty ich polityki w Syrii. Kreml liczy zaś na osłabienie więzi łączących Ankarę z Zachodem, wszakże celem strategicznym jest zniszczenie wielkiego bloku euroatlantyckiego. Daleko jest jeszcze jednak do wyjścia Turcji z euroatlantyckiego kręgu bezpieczeństwa. W Ankarze wiedzą doskonale, że w dzisiejszych gwałtownych czasach członkostwo w NATO jest nie do przecenienia, a USA to wciąż jedyne supermocarstwo światowe. ■

eprasa.pl 78edc793a0

Hanna Shen

Kilka tygodni temu Watykan zdecydował się przedłużyć porozumienie z Chinami w sprawie nominacji biskupów. Zawarta po raz pierwszy dwa lata temu umowa była mocno krytykowana przez wielu katolików w Chinach, bo prześladowania chrześcijan nie ustały.

Czy Pekin ograł Watykan?

eprasa.pl 78edc793a0

fot. ANGELO CARCONI/ PAP/EPA

Czyżby więc Pekin ograł Watykan, zdobywając dzięki porozumieniu ogromną kontrolę nad Kościołem i ciszę papieża Franciszka w temacie prześladowań chrześcijan w ChRL?

Do podpisania „tymczasowej umowy" między Watykanem a Chinami doszło 22 września 2018 roku. Stolica Apostolska przystała na warunek Pekinu, by treść porozumienia była tajna. Jednak wiemy, że jej główny punkt to kwestia nominowania biskupów, która od dziesięcioleci jest ością niezgody między Watykanem a Państwem Środka.

Na umowie zyskał Pekin

Prawdopodobnie na mocy uzgodnień to Patriotyczne Stowarzyszenie Chińskich Katolików (PSChK)* proponuje papieżowi kandydatów. Ojciec Święty ma prawo weta. W rzeczywistości więc większy wpływ na wybór biskupów ma Pekin. Jak dotąd wyświęcono jedynie dwóch nowych biskupów, doszło do tego w 2019 roku; poza tym Watykan uznał kilku wcześniej nieuznawanych hierarchów ze Stowarzyszenia, a Pekin kilku podziemnych.

W tym roku w październiku o przedłożeniu umowy poinformował jej gorący zwolennik, sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej kardynał Pietro Parolin. Zagorzały krytyk porozumienia ks. kard. Joseph Zen Ze-kiun, emerytowany ordynariusz Hongkongu, jako głównych twórców umowy wymienia właśnie kard. Parolina i nieżyjącego już kard. Ivana Diasa. Kardynał Zen tak opisał w wywiadzie dla „Gazety Polskiej" kulisy forsowania dokumentu: „Jestem pewien, że jeszcze za posługi Benedykta XVI ówczesny podsekretarz w Sekretariacie Stanu, wtedy biskup, Pietro Parolin, i kard. Ivan Dias stworzyli projekt bardzo złej umowy z Chinami. Według mojej wiedzy – a mam powody, żeby tak twierdzić – Benedykt XVI odmówił jej podpisania i wysłał bp. Parolina, dziś już kardynała, jako nuncjusza apostolskiego do Wenezueli. A potem papież Benedykt XVI przeszedł na emeryturę i nowy papież Franciszek niestety ściągnął kard. Parolina z Wenezueli z powrotem do Watykanu.

Kard. Parolin to bardzo wyrafinowany dyplomata i polityk. On i kard. Dias to zwolennicy ugodowej wobec komunistów Ostpolitik. Kardynał Parolin początkowo dość ostrożnie przedstawiał swoje poglądy. Jednak gdy otrzymał godność kardynalską i został w 2013 roku

* PSChK to podporządkowany państwu związek wyznaniowy powstały w 1957 roku w Chińskiej Republice Ludowej w celu zastąpienia zdelegalizowanego przez władze komunistyczne Kościoła katolickiego w Chinach. Związek nie uznaje zwierzchnictwa papieża.

78edc793a0

sekretarzem stanu Stolicy Apostolskiej, pokazał swoją prawdziwą twarz. I zrobił rzeczy okropne, m.in. sprawił, że właściwie przestała działać niezwykle ważna Papieska Komisja ds. Kościoła w Chinach, założona przez Benedykta XVI w celu prowadzenia badań nad sytuacją katolików w ChRL. Kardynał Parolin stoi na jej czele i po prostu nie zwołuje jej spotkań.

Nie rozumiem, do czego papież Franciszek tak potrzebuje kard. Parolina i we wszystkich sprawach dotyczących Chin polega tylko na nim. Pisałem wiele listów do Ojca Świętego, ale nie otrzymałem odpowiedzi".

Emerytowany ordynariusz Hongkongu uważa, że Watykan podpisując umowę z komunistycznymi Chinami w 2018 roku, zdradził chińskich katolików, którzy mimo represji i prześladowań nie chcieli mieć nic wspólnego z krwawym reżimem komunistycznym i którzy jasno mówią, że mimo zbliżenia na linii Watykan–Pekin, prześladowania chrześcijan przez Komunistyczną Partię Chin się nie zmniejszyły.

Bez krzyży i młodych w kościołach

Katolicki portal AsiaNews zebrał opinie chińskich chrześcijan na temat tego, jak zmieniło się ich życie i życie ich wspólnot od momentu, gdy podpisano porozumienie.

I tak katoliczka przedstawiająca się jako „Maria z północnych Chin" mówiła o tym, że kryzys – pogłębiające się represje na tle religijnym – wyczuwało się od momentu dojścia Xi Jinpinga do władzy. To ten prezydent ChRL zainicjował tzw. kampanię sinizacji religii oznaczającą, że kościoły, m.in. za pomocą symboli, muszą się dostosować do „kultury i społeczeństwa chińskiego, będącego pod władzą komunistyczną". W praktyce polegało to m.in. na tym, że z kościołów zaczęto usuwać krzyże. Gdy w lipcu 2015 roku na rozkaz lokalnych władz doszło do podpalenia krzyża na budynku kościoła protestanckiego w mieście Taizhou na wschodnim wybrzeżu ChRL, zdjęcia z tego zajścia szybko rozprzestrzeniły się w chińskim internecie. Internauci komentowali, że takie praktyki stosowali terroryści z Państwa Islamskiego. Przypominali, że w przeszłości w Chinach palono kościoły i krzyże w czasie powstania bokserów** i w okresie rewolucji kulturalnej (1966–1976). „Hunwejbini*** robili to z rozkazu władzy komunistycznej. Tak samo dziś niszczone są kościoły i krzyże z rozporządzenia władz w Pekinie" – napisał jeden z internautów.

Maria mówiła o tym, że od czasu rozpoczęcia kampanii sinizacji religii kościoły szły na kompromisy. Godzono się na usuwanie krzyży z budynków świątyń, na ścianach na zewnątrz wywieszano wiele zasad dotyczących kultury chińskiej, ale niemających nic wspólnego z religią czy działaniem danej wspólnoty chrześcijańskiej, a na dzwonnicach pojawiły się flagi komunistycznych Chin.

W tej chwili władza wykorzystuje pandemię, żeby narzucać kolejne ograniczenia na kościoły. I tak na przykład nie wpuszcza się do świątyń młodych rzekomo w imię zachowania zasad bezpieczeństwa w czasie COVID-19. Co chwila też straszy się parafie, że mogą zostać zamknięte, bo a to nie podają pełnych rejestrów wiernych, a to że na podłodze świątyni nie są odpowiednio narysowane linie wskazujące, w jakich odstępach mogą tam przebywać wierni w czasie pandemii.

„Jeśli chodzi o porozumienie, to pragnę wierzyć, że papież chce za nas walczyć, aby zagwarantować nam trochę więcej wolnej przestrzeni. Ale to wszystko nie powstrzymuje urzędników państwowych w dążeniu do kontrolowania wszystkiego. Nie wiem, czy sytuacja byłaby gorsza bez umowy. Być może tak. Ale jedno jest pewne: umowa nie poprawiła naszej sytuacji" – twierdzi Maria z północnych Chin.

Teresa, katoliczka z południowo-wschodnich Chin, zwróciła uwagę, że zakaz uczęszczania na Msze święte dla nieletnich poniżej 18. roku życia (co jest w istocie sprzeczne z chińską konstytucją) jest od momentu podpisania porozumienia systematycznie stosowany. Dodatkowo władze blokują lub wręcz zamykają budowę budynków sakralnych, które otrzymały już pozwolenia na powstanie. „Dwa lata po rzekomym »panaceum«, czyli słynnym porozumieniu, polityka religijna rządu nie została poluzowana, a w rzeczywistości jeszcze bardziej ją zaostrzono" – mówi Teresa.

Ksiądz Franciszek z północno-wschodnich Chin twierdzi, że po podpisaniu umowy Watykanu z Pekinem polityka religijna w jego diecezji jest jeszcze bardziej restrykcyjna. Władze często zbierają księży na komunistyczne szkolenia, które nie są niczym innym jak praniem mózgów, zmuszają kapłanów z Kościoła podziemnego do wstąpienia do Stowarzyszenia Patriotycznego, a tych opornych aresztują i przetrzymują w tajnych miejscach, gdzie nikt, ani rodzina, ani wierni, nie mają dostępu. Przed umową niektóre parafie mogły nadal odprawiać Msze święte w domach wiernych; wraz z podpisaniem porozumienia tymczasowe miejsca modlitwy zostały zamknięte, a wiernym, którzy organizują Msze u siebie w domach, grozi się aresztowaniami i wysokimi grzywnami. Zmusza się ich też do podpisania dokumentu, w którym obiecują, że nigdy więcej nie będą już gościć u siebie kapłanów. Według

** Zbrojne wystąpienie ludowe w północno-wschodnich Chinach w latach 1899–1901, skierowane przeciwko cudzoziemcom i dynastii Qing.

*** Komunistyczna organizacja młodzieżowa działająca w ChRL podczas rewolucji kulturalnej.

eprasa.pl 78edc793a0

ks. Franciszka Kościół podziemny**** i jego wiernych dotykają teraz największe trudności.

Ojciec Jan z północnych Chin mówił AsiaNews, że w jego odczuciu nacisk wywierany na Kościół w różnych miejscach jest coraz większy, a celem tych represji jest po prostu jego zniszczenie lub przynajmniej całkowita eliminacja jego wpływów. Według o. Jana, w niektórych miejscach w Chinach taka zamiana na przykład poprzez zakaz uczestniczenia osób poniżej 18. roku życia w Mszy świętej i katechezie, już się dokonała, a umowa to ułatwiła.

O w miarę cichej egzystencji Kościoła na północy Chin mówił katolicki wierny o imieniu Benedykt. Ten spokój skończył się wraz z podpisaniem porozumienia. „Przed Bożym Narodzeniem 2018 roku urzędnicy państwowi powiedzieli nam, że nasze spotkania zostały zakazane. Ostrzegali naszych księży, aby nie odprawiali Mszy świętych ani nie angażowali się w inne zajęcia modlitewne, które określili jako nielegalne. Teraz nie mamy gdzie się modlić, odprawiać Mszy ani wykonywać jakichkolwiek innych czynności modlitewnych. Rzadko widujemy naszego księdza, który stara się odprawiać Mszę świętą co dwa tygodnie" – tak opisuje los swojego Kościoła podziemnego Benedykt.

Benedykt w rozmowie z AsiaNews zadał następujące pytania: „Czy Rzym naprawdę wie o naszych cierpieniach, wysiłkach i łzach? Czy Rzym to widzi? Czy słyszy to?".

Jak wielu chińskich katolików apelował i modlił się, aby Watykan nie odnowił umowy. „W imieniu wszystkich wiernych w podziemnym Kościele wzywam Ojca Świętego, aby nie odnawiać Umowy z Chinami, ponieważ mogłoby to zagrozić przetrwaniu Kościoła w Chinach, kierując nas na ścieżkę rozpaczy. Proszę Ojca Świętego, aby poważnie potraktował to, co mówię. Mam nadzieję, że Ojciec Święty będzie się modlił za wszystkich kapłanów i wiernych Kościoła w Chinach, a także za Hongkong!".

Zdrada

Kilka dni przed ogłoszeniem przez kard. Parolna, że umowa z Pekinem została odnowiona, na placu Świętego Piotra pojawił się skromnie ubrany staruszek z plecakiem. To hongkoński kard. Zen, który przybył do Watykanu z nadzieją na rozmowę z papieżem. Miał nadzieję, że Franciszek wysłucha jego apelu, by nie przedłużać porozumienia z chińskimi komunistami.

W rozmowie z „Gazetą Polską" emerytowany ordynariusz Hongkongu mówił, że poza samą umową, w ubiegłym roku wydarzyło się coś jeszcze starszniejszego. Watykan wydał dokument pt. „Wskazówki duszpasterskie", wytyczne dla wiernych w Chinach, w którym zachęcano wszystkich katolików, aby wyszli z podziemia i dołączyli do kontrolowanego przez komunistów schizmatycznego Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich. „Dla mnie to coś okropnego. Nie mogę tego zrozumieć, więc przygotowałem listę pytań do Ojca Świętego. Gdy byłem w Rzymie, Ojciec Święty zaprosił mnie na kolację. Poprosiłem o rozmowę z kard. Parolin w sprawie wspomnianego wcześniej dokumentu ze wskazówkami dla wiernych w Chinach. Ojciec Święty powiedział, że sam przyjrzy się tej sprawie – minął rok od tego czasu i nie ma żadnej odpowiedzi... To smutne. Muszę to powiedzieć: to jest zdrada Kościoła w Chinach. Zabito prawdziwy Kościół w Chinach. Zabito Kościół podziemny. A u władzy w oficjalnym Kościele w Chinach są oportuniści. Słuchają tylko komunistycznego rządu".

Kardynał Zen przyznaje, że często w Watykanie słyszał, że zła umowa jest lepsza niż żadna. „Nie mogę tego zrozumieć. Zła umowa jest po prostu niemoralna. Jest przeciwko naszej wierze", uważa kardynał. Pytany o to, co dla wiernych w Chinach oznacza październikowa decyzja przedłużenia porozumienia pomiędzy Watykanem a KPCh, emerytowany biskup Hongkongu odpowiada: to przyniesie jeszcze większe represje wobec Kościoła w Chinach".

Kardynał Joseph Zen nie rozumie też, dlaczego papież Franciszek, który jest bardzo odważny i potrafi krytykować niektóre rządy, nigdy nie skierował żadnych słów krytyki wobec chińskiego rządu, by ten zaprzestał religijnych represji i poprawił swoje działania dotyczące praw człowieka. „To bardzo smutne. Nie tylko dla Kościoła katolickiego, bo podobne prześladowania spotykają również Kościoły protestanckie. Nawet buddystów w Tybecie czy muzułmanów w Xinjiangu*****. Wszyscy wiedzą, co dzieje się w tych obozach koncentracyjnych. Chińscy komuniści starają się zniszczyć ich kulturę, nie tylko wiarę. Metody, jakie tam stosują, w tym sterylizację, to coś w rodzaju ludobójstwa. Nawet ludzie spoza Kościoła pytają, dlaczego papież nie mówi nic o tym, co robią Chiny. To bardzo smutne. Papież ma duchową moc i powinien użyć tej mocy, aby zachęcić rząd do lepszych działań, do zmiany postępowania. Papież najwyraźniej wierzy, że przez ten kompromis, tę pobłażliwość może dostać wszystko, ale fakty pokazują, że przez te wszystkie lata nic nie dostał" – uważa kard Zen. ■

**** Wierny papieżowi Kościół podziemny (katakumbowy) w Chinach przedstawiany jest jako „nielegalna organizacja religijna".

***** Według włoskiej prasy papież po raz pierwszy uznał prześladowania Ujgurów w swojej najnowszej książce „Powróćmy do marzeń", która ukazała się 1 grudnia w kilku krajach.

eprasa.pl 78edc793a0

Olga Doleśniak-Harczuk

Matka Kohla wycina zdjęcie z JPII

Przez ponad dekadę na łamach działu zagranicznego „Nowego Państwa" ukazało się wiele artykułów, wywiadów, wspomnień poświęconych Janowi Pawłowi II. Świat pamiętał i pamięta o formacie, zasługach i dziedzictwie polskiego papieża, a niedawny, gorzki w swej wymowie, ale jakże ważny wywiad niemieckiego dziennikarza Martina Lohmanna z kardynałem Gerhardem Müllerem daje nadzieję, że świat zachodni się ocknie i nie pójdzie ślepo do ataku na Świętego.

Wyjątkowo tym razem w tyglu zamiast spraw bieżących proponuję powrót do kilku wątków związanych z Janem Pawłem II, które poruszaliśmy na łamach miesięcznika. Każdy pokazuje Ojca Świętego z innej perspektywy, wszystkie razem dają skromny, lecz chyba ciekawy wgląd w bogactwo jego osoby. I w to, jak widzieli papieża inni.

▶ Helmut Kohl (1930–2017), kanclerz Republiki Federalnej Niemiec

2 kwietnia 1979 roku w wieku 88 lat zmarła moja matka. [...] Wiosną 1979 roku otrzymałem zaproszenie na Międzynarodowy Kongres Chrześcijańskich Demokratów w Rzymie, gdzie miałem wygłosić jedną z głównych mów. Z uwagi na stan zdrowia mojej matki targały mną wątpliwości, czy w ogóle wyjeżdżać. Obawiałem się, że matka umrze podczas mojej nieobecności. Leżała wtedy w klinice w Ludwigshafen na oddziale wewnętrznym kierowanym przez mojego przyjaciela, Helmuta Gillmanna. Zapytałem go, czy w związku z jej złym stanem powinienem jechać do Rzymu, odrzekł: „Oczywiście, że musisz jechać, Ona nie umrze, gdy będziesz w Rzymie". Na moje pytanie, skąd ma pewność, że to nie nastąpi właśnie w tym czasie, odparł: „Nie umrze, sama mi opowiadała, że będziesz w Rzymie u papieża". Pojechałem więc do Rzymu i widziałem się z papieżem, którego znałem jeszcze z czasów, gdy był kardynałem krakowskim i odwiedził Moguncję. Audiencja u Ojca Świętego odbyła się w wąskim gronie, papież pytał mnie o rodzi-

eprasa.pl 78edc793a0

nę, znał przecież również Hannelore [ówczesna małżonka Helmuta Kohla – przyp. ODH], a ja opowiedziałem mu o mojej umierającej matce. Wspólnie pomodliliśmy się w jej intencji, a następnie Jan Paweł II wręczył mi różaniec dla matki. Kiedy wróciłem, już mnie oczekiwała. Siedziała na łóżku. Pielęgniarki wycięły dla niej z gazety zdjęcie, na którym jestem z papieżem. To zdjęcie stało teraz na nocnym stoliku mojej matki. Musiałem w najdrobniejszych szczegółach opowiedzieć jej o pobycie w Rzymie. [...] Wręczyłem jej różaniec od papieża, od razu go pochwyciła. Nigdy nie zapomnę, z jaką prostotą powiedziała: „Włóż ten różaniec do mojej trumny". Pożegnałem się i pojechałem do domu, zadzwonił telefon, pielęgniarka poinformowała mnie o śmierci matki. Najwyraźniej zebrała wszystkie siły, by wytrwać do mojego powrotu z Rzymu, tak bym mógł jej opowiedzieć o moim spotkaniu z papieżem. Po tym była już gotowa.

(Na podstawie: „Helmut Kohl Erinnerungen" 1930–1982, Droemer Verlag, 2004)

***

Papież Jan Paweł II poruszał świat i ludzkie serca. To właśnie była jego „tajemnica". Rozumiał ludzi, docierał do nich, poruszał ich serca. Stał przy tym na mocnym fundamencie wartości, mocno zakorzeniony w chrześcijańskiej wierze. I na tym fundamencie sprzeciwiał się każdej postaci niewoli. Wybór Karola Wojtyły na papieża 16 października 1978 roku dla wielu ludzi, również dla mnie, był ogromnym zaskoczeniem, tak, to była sensacja. [...] Z każdym kolejnym rokiem jego pontyfikatu coraz wyraźniej było widać, że ten wybór miał zdecydowane znaczenie dla światowej polityki. [...]

My Niemcy i Europejczycy, a wraz z nami wielu ludzi na całym świecie, mamy wszelkie powody ku temu, by dziękować temu wspaniałemu człowiekowi. Jan Paweł II był papieżem w pełnym tego słowa znaczeniu: był budowniczym mostów. Był największym papieżem od dawien dawna. Rozumiał ludzi, zwracał się do nich i poruszał ich serca [...].

23 czerwca 1996 roku wieczorem, a pamiętam, jakby to było wczoraj, po stronie wschodniej Bramy Brandenburskiej odbyła się uroczystość na cześć wizyty papieża.

Papież chwycił moją dłoń i powiedział: „Panie kanclerzu, to jest wielka chwila w moim życiu. Ja, papież z Polski, stoję z panem, kanclerzem Niemiec, przy Bramie Brandenburskiej, Brama jest otwarta, mur upadł. Berlin i Niemcy nie są już podzielone, a Polska jest wolna". [...] Papież stale wskazywał na krzyż i na chrześcijańskie tradycje Europy, podkreślając, że jest ona przede wszystkim wspólnotą wartości i kultury.

(Na podstawie felietonu Helmuta Kohla opublikowanego w dzienniku „Bild" z okazji kanonizacji Jana Pawła II)
(„Nowe Państwo", nr 7–8/2017)

▶ Arcybiskup Timothy P. Broglio, ordynariusz wojskowy katolickiego ordynariatu polowego w randze archidiecezji Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych,

Miałem zaszczyt blisko współpracować z Watykańskim Sekretariatem Stanu w czasie pontyfikatu błogosławionego Jana Pawła II i dzięki temu stosunkowo często widywałem Jego Świątobliwość. Jak sięgnę pamięcią, od zawsze byłem pod wrażeniem rozmodlenia, poczucia humoru i powagi, z jaką Jan Paweł II sprawował swój urząd. Jego komunikatywność i talent do prowadzenia dialogu były przymiotami, które czyniły ten pontyfikat unikatowym, wyjątkowym w historii Kościoła. Jan Paweł II całym sobą, wszystkim, co czynił, ucieleśniał świadectwo Piotra i gorliwość ewangelizacyjną Pawła, żar, który każe nieść dobrą nowinę w każdy zakątek świata. Godność arcybiskupia przyjęta z rąk błogosławionego Jana Pawła II i fakt, że posłał mnie jako nuncjusza apostolskiego na kontynent amerykański, do Republiki Dominikany i Puerto Rico, zawsze będę wspominał jako wielki zaszczyt. Podczas rozmów z Ojcem Świętym imponowała mi jego ogromna wiedza odnośnie do bieżącej sytuacji na wyspach, dobrze się we wszystkim orientował i miał świetną pamięć. Do końca moich dni będę z wdzięcznością wspominał, że to on mnie mianował arcybiskupem i włożył na mój palec biskupi pierścień.

(Wywiad w „NP", nr 2/2013)

▶ Dr Paul Kengor, pisarz, publicysta, autor książek „God and Ronald Reagan" (2004) i „The Crusader: Ronald Reagan & the Fall of Communism" (2006)

Już w czerwcu 1982 roku, podczas pierwszego spotkania Jana Pawła II i Ronalda Reagana, było wiadomo, że bardzo wiele ich łączy, duchowo, historycznie, również pod względem doświadczeń osobistych – obaj przeżyli zamach na swoje życie. Wierzyli, że Bóg ocalił ich po to, by wspólnymi siłami stawili czoło zarazie ateistycznego komunizmu Sowietów. [...] Otoczenie Reagana i sam Jan Paweł II doskonale rozumieli, że Kreml widział w polskim pontifeksie siłę destabilizującą blok komunistyczny, kogoś, kto stanowił ogromne zagrożenie dla Sowietów i ich wpływów w Polsce i całej Europie Wschodniej. Ludzie Reagana mieli oczywiście rację.

(Wywiad w „NP", nr 6/2017)

eprasa.pl 78edc793a0

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny–Europa

Ankieta przeprowadzona we wrześniu i październiku w 13 krajach Europy przez czeski Uniwersytet Palackiego pokazuje, że na Starym Kontynencie rośnie negatywne nastawienie do komunistycznych Chin. Państwa, które objęto badaniem, to Czechy, Francja, Łotwa, Hiszpania, Niemcy, Polska, Rosja, Serbia, Słowacja, Szwecja, Węgry, Wielka Brytania i Włochy.

Szwedzcy respondenci zgłaszali najwięcej negatywnych odczuć wobec Chin (łącznie ponad 60 proc.). Równie negatywne (prawie 60 proc.) opinie wyraziły: Niemcy, Francja i Wielka Brytania. W Czechach było to ponad 50 proc., a na Węgrzech prawie 50 proc. Z drugiej strony najmniej negatywny obraz Chin mają respondenci z Rosji (20 proc.) i Serbii (25 proc.). Na Łotwie jest to 30 proc. W Polsce, na Słowacji, w Hiszpanii i we Włoszech około 45 proc. respondentów negatywnie ocenia ChRL.

Sondaż demonstruje też zmianę stosunku wobec Państwa Środka w ciągu ostatnich trzech lat. I tak na przykład 70 proc. ankietowanych Brytyjczyków ma teraz bardziej negatywną ocenę ChRL niż trzy lata temu. Także ponad 50 proc. Szwedów i Francuzów gorzej widzi ChRL. W Polsce około 35 proc. ankietowanych zmieniło nastawienie na mniej przychylne wobec Państwa Środka. Wyniki te pokazują, że kraje o bardziej negatywnych poglądach to te, które w ostatnich latach miały napięte stosunki z Chinami, przynajmniej częściowo z powodu coraz bardziej agresywnej dyplomacji chińskiej. Dotyczy to zwłaszcza Szwecji, ale także Francji, Wielkiej Brytanii i Czech.

Patrząc na różne konkretne kwestie dotyczące relacji z Chinami, według ankiety tylko handel z ChRL jest postrzegany jako dość pozytywny w większości krajów. Najlepiej w Rosji (około 75 proc.), a najgorzej we Francji (około 45 proc.). Polacy, podobnie jak Włosi, w około 60 proc. z aprobatą oceniają ten aspekt relacji z Chinami.

Jeśli chodzi o chińskie inwestycje, to najbardziej pozytywnie podejście do nich mają Serbowie (ponad 65 proc.), a najmniej Szwedzi (około 40 proc.). Prawie 55 proc. ankietowanych Polaków patrzy przychylnie na inwestycje Państwa Środka.

Jeśli chodzi o percepcję chińskiej armii, to tylko ankietowani z Serbii mieli tu zdecydowanie pozytywne poglądy (prawie 65 proc.). Jest to z pewnością odzwierciedleniem historycznych doświadczeń Serbów – interwencji NATO w 1999 roku, podczas której również została zbombardowana Ambasada Chin. Ocena armii ChRL w pozostałych badanych krajach jest zdecydowanie negatywna, zwłaszcza w Czechach, w Szwecji i w Niemczech.

Najbardziej negatywnie Chiny postrzegane są w kwestii wpływu na środowisko i wpływu na demokrację w innych krajach. W tych dwóch obszarach respondenci ze wszystkich krajów mają zdecydowanie nieprzychylne oceny.

Część ankiety dotyczącej Chin i COVID-19 pokazuje, że wielu respondentów uważa, iż ChRL zyskała ekonomicznie w wyniku pandemii. Na Węgrzech twierdzi tak ponad połowa ankietowanych. Podobne zdanie mieli też Hiszpanie i Polacy (ponad 45 proc.). Tylko 15 proc. szwedzkich respondentów zgodziło się ze stwierdzeniem, że ChRL zyskał gospodarczo na pandemii.

W temacie pochodzenia pandemii ponad 45 proc. Polaków wskazało, że wirus powstał w chińskim laboratorium i został celowo rozprzestrzeniony na świat. Podobnie uważa około 40 proc. ankietowanych w Hiszpanii i na Węgrzech. Większość Szwedów (ponad 55 proc.) twierdzi, że za wirus należy winić fakt, iż Chińczycy lubią spożywać nietoperze i inne dzikie zwierzęta. W Niemczech przeważa przekonanie (około 45 proc.), że wirus w naturalny sposób przedostał się ze zwierząt na człowieka. Prawie 35 proc. ankietowanych Rosjan i 30 proc. Serbów uważa, że wirus przyniosła do Chin w 2019 roku

eprasa.pl 78edc793a0

amerykańska armia. W Polsce w taką teorię wierzy ponad 10 proc. ankietowanych.

W ankiecie pojawiło się także pytanie dotyczące pozytywnych odczuć wobec trzech mocarstw – USA, Chin i Rosji. Państwa zachodnie preferują USA, ale to Polacy są najprzychylniej nastawieni wobec Stanów Zjednoczonych (ponad 60 proc.). Najbardziej pozytywnie do Rosji nastawieni są Serbowie (70 proc.). To także Rosjanie i Serbowie mają najprzychylniejsze stanowisko wobec Chin (60 proc.)

Tajwan

18 listopada Narodowa Komisja ds. Komunikacji (NCC), instytucja zajmującą się kontrolą i organizacją pracy stacji radiowych i telewizyjnych na terytorium Tajwanu, podjęła ważną decyzję, która powstrzyma szerzenie się dezinformacji i komunistycznej propagandy w mediach na wyspie. Siedmiu członków NCC jednomyślnie postanowiło o nieprzedłużeniu licencji na nadawanie dla prochińskiego kanału CTi News.

CTi News jest częścią tajwańskiej grupy medialnej „Want Want China Times", nazywanej często na Tajwanie "czerwonym konsorcjum" ze względu na jej uzależnienie od komunistycznych Chin. Szef Want Want, tajwański biznesmen Tsai Eng-meng, od lat prowadzi interesy w Chinach. Od 2008 roku Tsai na polecenie Komunistycznej Partii Chin (KPCh) zaczął inwestować w media na wyspie, by te mogły pokazywać punkt widzenia KPCh i stać się ważnym narzędziem w wojnie dezinformacyjnej prowadzonej przez chińskich komunistów.

Prezentująca prochińskie stanowisko grupa Want Want wielokrotnie łamała zasady prowadzenia działalności medialnej na Tajwanie i została ukarana w ciągu ostatnich sześciu lat aż 21 razy m.in. za rozpowszechnianie dezinformacji i stronnicze relacje.

W ostatnich latach przedstawiciele mediów należących do grupy Want Want często brali udział w spotkaniach w Chinach, gdzie byli instruowani, jak wpływać na kształtowanie opinii publicznej na Tajwanie. I tak na przykład w maju ubiegłego roku w Chinach odbył się IV Szczyt Ludzi Mediów z Chin i Tajwanu. Spotkanie zorganizowała właśnie grupa medialna Want Want, a wzięło w nim udział 200 przedstawicieli mediów i rynku wydawniczego na Tajwanie m.in. z CTi News i – także należącej do Tsai Eng-menga – gazety „China Times".

Przemawiający na szczycie Wang Yang, przewodniczący Ludowej Politycznej Konferencji Konsultatywnej Chin (odpowiednik Frontu Jedności Narodu), stwierdził m.in., że tajwańscy proniepodległościowcy stawiają na USA, a Amerykanie nie są w stanie zagwarantować wyspie bezpieczeństwa. „Amerykanie używają Tajwanu jako pionka. Czy pójdą na wojnę z Chinami za Tajwan? Domyślam się, że nie. A jeśli naprawdę pójdą na wojnę, to czy Ameryka wygra? Domyślam się, że nie" – edukował przedstawicieli mediów z Tajwanu chiński komunista.

Przemówienie Wanga miało miejsce w momencie, gdy za rządów Trumpa zwiększała się współpraca gospodarcza, polityczna i wojskowa pomiędzy Tajpej a Waszyngtonem. KPCh chciała więc, by prochińskie media na Tajwanie prowadziły kampanię dezinformacyjną, mającą przekonać Tajwańczyków, że nie mogą stawiać na sojusz z USA,

Narracja, jaką chińscy komuniści sprzedają prochińskim mediom na Tajwanie, przypomina strategię stosowaną przez Rosję w Polsce – za pomocą niektórych mediów, w tym społecznościowych, przekonuje Polaków, że stawianie na współpracę z Amerykanami jest dla naszego kraju nie tylko niekorzystne, lecz wręcz niebezpieczne.

Korea Północna

Mimo że oficjalnie władze Korei Płn. twierdzą, że w ich kraju nie ma ani jednego przypadku zachorowania na COVID-19, to według południowokoreańskigo serwisu Daily NK liczba osób poddawanych kwarantannie z objawami podobnymi do tych wywoływanych przez COVID-19 gwałtownie wzrasta. Warunki kwarantanny i leczenia serwis określa jako okropne. Nie tylko brakuje podstawowych leków i sprzętu, lecz także zdarzają się nawet przypadki osób poddanych kwarantannie umierających z niedożywienia z powodu skąpych zapasów żywności i wody pitnej.

Jedno ze źródeł z Korei Płn. pragnące zachować anonimowość tak opisało dziennikarzom Daily NK kwarantannę w KRLD: „Po pierwsze, nie ma nawet podstawowych lekarstw. Jeśli już są lekarze, to jest ich za mało w porównaniu z liczbą osób poddanych kwarantannie, więc nie mogą sprawdzić stanu każdego pacjenta. Po przyjęciu tylko osobom z poważnymi objawami przepisuje się leki przeciwgorączkowe lub przeciwbólowe. Większość osób nie otrzymuje leków, nawet jeśli wykazują objawy."

Południowokoreański serwis ustalił także, że 70 proc. izolowanych pacjentów śpi na podłodze, bo brakuje łóżek. Nie mogą się często myć, bo brakuje ciepłej wody. W ciągu dnia podawany jest trzy razy ten sam posiłek – ryż z kukurydzą.

W przypadku zgonów w obiektach izolacji ciała są poddawane kremacji, a szczątki po prostu zwracane rodzinom bez żadnego wyjaśnienia. „Jeśli nie uda im się wyzdrowieć i umierają, ich prochy są po prostu umieszczane w kopercie i wysyłane do rodzin" – twierdzi źródło Daily NK. „Nie ma sposobu, aby potwierdzić, czy prochy są prochami ich krewnego, czy innej osoby". ■

eprasa.pl 78edc793a0

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Czego Kreml może oczekiwać od nowego prezydenta USA?

Na tytułowe pytanie – zadane przez Piotra Kozłowa z rosyjskiej sekcji BBC – odpowiadają rosyjscy i amerykańscy eksperci. Rewolucji w stosunkach USA i Rosji nikt nie oczekuje, zmiany powinny być niewielkie, przynajmniej w początkowej fazie kadencji Joe Bidena. Artykuł został opublikowany 9 listopada 2020 roku.

Kandydat Partii Demokratycznej Joe Biden pokonał republikanina Donalda Trumpa w wyborach na prezydenta USA. O tym, jak to wpłynie na politykę zagraniczną kraju, stosunki Waszyngtonu z Moskwą, Rosyjskiej Służbie BBC ze szczegółami i punkt po punkcie opowiedzieli wiodący amerykańscy i rosyjscy eksperci spraw międzynarodowych. Jeśli krótko podsumować ich opinie, to z jednej strony prognozują zwiększenie nacisku na Rosję, zaś z drugiej – większą przewidywalność i przedłużenie porozumienia rozbrojeniowego „Nowy START". No, ale jak zwykle, jest w tym wszystkim wiele niuansów.

Kiedy w sobotę 7 listopada Joe Biden osiągnął konieczną liczbę głosów elektroskich w wyborach na prezydenta USA, światowi przywódcy zaczęli gratulować mu zwycięstwa. Do nowego przywódcy USA już zadzwonili premier Kanady Justin Trudeau, premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson, prezydent Francji Emmanuel Macron i kanclerz Niemiec Angela Merkel. Ale Kreml póki co zachowywał milczenie – relacje obu krajów są złe od wielu lat. I wybór na 46. prezydenta USA kandydata Partii Demokratycznej Joe Bidena raczej poważnie nie zmieni tych stosunków – o czym są przekonani eksperci z obu stron, z którymi rozmawiała Rosyjska Służba BBC. Większość z nich oczekuje zaostrzenia wzajemnej retoryki Waszyngtonu i Moskwy. Wraz z tym, w określonych aspektach dwustronnych relacji zapowiada się większa przewidywalność. Eksperci dopuszczają powrót dyplomatów, wzajemnie wydalonych w ostatnich latach po szpiegowskich skandalach i sankcjach.

Stosunki USA–Rosja

Andriej Kortunow (dyrektor generalny Rosyjskiej Rady Spraw Międzynarodowych): Ogólna retoryka ulegnie zaostrzeniu. Była ostra u Bidena już jako kandydata na prezydenta, taka też będzie po objęciu przez niego stanowiska. Wróci polityka bardziej zdecydowanego nacisku na Rosję w kwestii praw człowieka. Dwustronnych szczytów – wszystko na to wskazuje – nie będzie. Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. Maksimum to spotkanie na jakimś wielostronnym szczycie.

Andriej Suszczencow (dyrektor Instytutu Badań Międzynarodowych MGIMO): Stosunki między krajami nie wrócą do stanu pełnofunkcjonalnych i w pełni roboczych, jakimi były za Busha juniora lub Obamy do 2014 roku. Nad nimi zawsze będzie dominował 2016 rok (to jest zwycięstwo Trumpa w wyborach, po których demokraci oskarżali Rosję o ingerencję w proces wyborczy). Od tamtej pory samo środowisko międzynarodowe stało się inne, kraje są bardziej skupione na sobie. Rosja wiąże już mniejsze nadzieje na poprawę relacji z USA. Nie ma co oczekiwać przełomów. Ważne, by unikać konfliktów. Przywrócić zdrowy rozsądek w relacjach dwustronnych, bo w ostatnich latach pełne były skandali. Dlatego nazwałbym te stosunki tak: wzajemnie zdystansowani i oderwani od siebie.

Thomas Pickering (były zastępca sekretarza stanu USA i były ambasador w Rosji): Konieczne jest powstrzymanie wzajemnych represji wobec dyplomatów oraz przywrócenie godności i szacunku w stosunkach wzajemnych. [Strona rosyjska musi – przyp. red.] także oprzeć się ingerencji w wybory w USA. Należy poszukać możliwości znalezienia obszarów współpracy – być może za pośrednictwem zaufanych przedstawicieli wysokiego szczebla lub pośredników.

Matthew Rojansky (dyrektor Kennan Institute w Waszyngtonie): Nie oczekuję dużych zmian. Ci, którzy odmówili poprawiania relacji między USA i Rosją, teraz nie znaj-

eprasa.pl 78edc793a0

dą powodów do nadziei. A ci, którzy nadzieję mają, mogą długo czekać na jakiekolwiek pozytywne sygnały.

Kontakty Kremla z władzami Partii Demokratycznej

Andriej Kortunow: Jeśli mówić o współoddziaływaniu na najwyższym poziomie, to wiadomo, że między Putinem a Bidenem i całą Partią Demokratyczną nie ma tzw. chemii. Stosunki te jeszcze w czasach prezydentury Baracka Obamy nie były zbyt pozytywne. Ale jeśli mówić o współoddziaływaniu na poziomie urzędników, to tutaj może być łatwiej. Nie tylko z uwagi na pewne sympatie, ale po prostu Biden będzie delegował więcej spraw. Ale czy Kreml zacznie zmieniać establishment „pod Bidena"? Raczej nie. Jeśli obecni wykonawcy rosyjskiej polityki zagranicznej się zmienią, to nie z powodu Bidena.

Aleksandr Dynkin (prezes Instytutu Gospodarki Światowej i Stosunków Międzynarodowych Rosyjskiej Akademii Nauk, IMEMO RAN): Podział establishmentu na demokratów i republikanów to wymysł technologów politycznych i jest bardzo sztuczny. Są tacy, którzy mówią, że teraz trzeba zakończyć wszelkie stosunki USA z innymi państwami, a jest ich niemało. Uważam, że łączy nas jedno – to zrównanie równowagi potencjałów strategicznych, a tu trzeba koniecznie zachować równowagę, przejrzystość i kontrolę. Rosja i Stany Zjednoczone to jedyne dwa kraje, które mogą zniszczyć się nawzajem w 30 minut.

Andriej Suszczencow: Nigdy nie byliśmy nastawieni na pracę z jakimiś grupami. Mamy scentralizowany interfejs polityki zagranicznej. Rosyjskie elity i przywódcy nie spodziewają się żadnych przełomów ani ze strony UE, ani Stanów Zjednoczonych, a po [byłym prezydencie Dmitriju] Miedwiediewie nie orientują się na żaden efekt zewnętrzny w tym, co robią. Najważniejsze dla Rosji to równowaga, stabilność i obrona na obwodzie zewnętrznym. Myślę, że nie będzie tu żadnych zmian.

Thomas Pickering: Rosja będzie chciała unormować kontakty, omówić strategiczne kwestie i współpracę, wznowić regularną dyplomatyczną wymianę. Ale nie spodziewa się, że sprawy potoczą się tak jak kiedyś.

Sankcje przeciwko Rosji

Andriej Kortunow: Podczas kampanii wyborczej Biden cały czas mówił o konieczności zwiększenia presji sankcjami na Rosję. Niewykluczone, że w ślad za Europejczykami również USA wprowadzą sankcje za otrucie Nawalnego. Możliwe jest też bardziej aktywne wykorzystanie listy Magnitskiego, nawet jej rozszerzenie. Zapewne będzie dyskusja o tym, czy Biden gotów jest podnieść sankcje na nowy poziom – wobec banków, wobec rosyjskiego eksportu surowców, sankcje dotyczące możliwego wyrzucenia Rosji z międzynarodowych systemów rozliczeniowych. I tutaj opinie się rozchodzą. Jeśli będą przyjęte sankcje sektorowe – to będzie poważnie zagrażać amerykańskim interesom narodowym, bo może zacząć się destabilizacja rynków, także globalnych. Nie jest jasne, czy Biden gotów jest za to wszystko płacić. Większość ekspertów uważa, że nie jest, a to znaczy, że sankcje będą nosić bardziej symboliczny niż zasadniczy charakter.

Aleksandr Dynkin: Myślę, że polityka sankcji będzie kontynuowana. Biden już wykonał szereg ostrych deklaracji. Tutaj palma pierwszeństwa należy do demokratów. Jeśli przy Trumpie wprowadzono sześć rund sankcji, to przy jego poprzedniku-demokracie Obamie – 46 rund.

Andriej Suszczencow: Ja traktowałbym te sankcje jako constans, przy którym będziemy żyć zawsze – to taka nowa opłata handlowa.

Thomas Pickering: Najbardziej prawdopodobne, że sankcje będą utrzymywane, dopóki nie zostaną usunięte przyczyny, dla których je wprowadzono: wschodnia Ukraina i Krym.

Matthew Rojansky: Kongres nie będzie cofał jakichkolwiek z już przyjętych sankcji, a ministerstwo finansów nadal będzie pilnować ich przestrzegania i wznawiania. Jednak w porównaniu z niebywałym napięciem między Kongresem a prezydentem Trumpem z powodu relacji USA i Rosji, po styczniu między Białym Domem a Kongresem mogą pojawić się bardziej normalne stosunki. To oznaczałoby większą koncentrację na władzy wykonawczej w obszarze tego, jak prowadzić politykę zagraniczną, i mniejszy nacisk w kwestii sankcji. Oczywiście wszystko zależy od tego, co robi Rosja. Jeśli będzie jakaś dodatkowa prowokacja, na przykład na Białorusi, oczekujcie nowych sankcji.

Powrót dyplomatów

Andriej Kortunow: Można oczekiwać, że Biden przywróci pełnowartościową dyplomatyczną obecność. Na to będą naciskać urzędnicy, którym wojna ambasad dostarcza większej liczby niedogodności. Myślę, że Bidenowi przyjdzie to łatwiej niż Trumpowi, dlatego że nie jest on oceniany w USA jak agent Putina. Taka neutralna rzecz może przejść.

Andriej Suszczencow: Przyjście Bidena może sprzyjać powrotowi wydalonych dyplomatów i doprowadzeniu ich liczby do koniecznego poziomu. Nie jest to trudne i nikt nie straci. Ale w związku z pandemią cała turystyka i poziom komunikacji biznesowej między krajami „leży".

Polityka w WNP

Andriej Kortunow: Wygląda na to, że będzie zwiększone wsparcie dla Ukrainy i innych krajów, które przeciwstawiają się Rosji. Dyplomatycznie i ekonomicznie będą popierane te siły, które orientują się na Zachód. Relatywnie

eprasa.pl 78edc793a0

rzecz ujmując, poparcie może być okazane Radzie Koordynacyjnej opozycji białoruskiej w tym przypadku, jeśli ona taką pomoc będzie gotowa przyjąć.

Aleksandr Dynkin: Wybór Bidena zapowiada dużą ideologiczną konfrontację w różnych kwestiach – i w pierwszej kolejności w krajach postsowieckich: Ukrainie, Mołdawii, Gruzji, Białorusi.

Thomas Pickering: Za dużo nieufności jest w kwestii uregulowania sytuacji na wschodzie Ukrainy, żeby dojrzeć jakiś interes lub dążenie do osiągnięcia tu porozumienia.

Matthew Rojansky: Ukraina stała się politycznie drażliwym zagadnieniem dla Bidena i dlatego, najprawdopodobniej, będzie on ograniczał swój udział w tej kwestii, przekazując go do rozwiązania, tak jak jest teraz, urzędnikom średniego szczebla i zawodowym dyplomatom. To oznacza szeroką ciągłość z poprzednią polityką USA, wsparcie ukraińskich reform, umiarkowane poparcie dla walki Ukrainy z Rosją na Wschodzie i kontynuację presji na Rosję. Zresztą i tak rokowania w sprawie Ukrainy oficjalnie prowadzą Niemcy i Francja, a nie Waszyngton.

NATO

Andriej Kortunow: Nie patrząc na negatywne wypowiedzi, Trump poważnej szkody NATO nie uczynił. Przy Bidenie zmieni się retoryka, ale nic więcej.

Andriej Suszczencow: Myślę, że z przyjściem Bidena, wszyscy w Europie odetchną. Ale teza, że Europejczycy powinni wydawać więcej na NATO, pozostanie. Tarcia między USA i Europą utrzymają się. Europejczycy zastanawiają się nad nowymi podatkami dla USA, problemy noszą strategiczny charakter – jest to warte setki miliardów dolarów.

Thomas Pickering: Ataki na członków Sojuszu w związku ze zwiększaniem finansowania, jakie były przy Trumpie, zakończą się. Ale częściowo nacisk będzie kontynuowany. Natomiast nie będzie żadnego rozszerzenia NATO.

Matthew Rojansky: Oczekujcie bardziej tradycyjnego podejścia USA do NATO, możliwe, że wizyty w Europie na samym początku prezydentury Bidena, z posłaniem „kochamy i wspieramy naszych sojuszników". Ale USA i tak będą chciały, żeby sojusznicy poszli na podział finansowego brzemienia i podniesienie wydatków na obronę, dlatego że ta polityka była prowadzona po kolei w administracjach Busha, Obamy i Trumpa.

Umowy o nierozprzestrzenianiu lub ograniczeniu zbrojeń

Andriej Kortunow: Zwycięstwo Bidena może przynieść dużo większą przewidywalność w kreowaniu dwustronnych stosunków. I przede wszystkim w kwestiach kontroli zbrojeń i strategicznej stabilności, jeśli oczywiście Biden pozostanie w ramach swoich przedwyborczych obietnic.

Andriej Suszczencow: Biden obiecuje, że „Nowy START" będzie przedłużony. To nie najgorzej. Ale na tym pozytywny program będzie zakończony.

Aleksandr Dynkin: Trump przez cztery lata nie rozpoczął ani jednej kampanii zbrojnej i próbował wyprowadzić swoje wojska. Myślę, że zetknął się z dużym oporem na tym kierunku. Udało mu się częściowo zmniejszyć kontyngent w Afganistanie. Myślę, że Biden nie będzie miał takich zamiarów. Będzie mógł zmiękczyć stosunki z sojusznikami – z Francją i Niemcami. Czy zechce on wrócić do atomowej umowy z Iranem – nie jest co do tego przekonany, ale to by nie było najgorsze. Myślę, że odblokuje WTO, może wprowadzić z powrotem USA do paktu klimatycznego i będzie mniej arogancki wobec takich międzynarodowych porozumień. Donald Trump próbował rozwiązać problem z Koreą Północną jednym ruchem – nie wyszło.

Thomas Pickering: Nie wykluczam możliwości powrotu USA do wspólnego planu uregulowania sytuacji wokół irańskiego programu jądrowego z przejściem do kolejnego etapu. Jeśli chodzi o Koreę Północną, tutaj trudno cokolwiek osiągnąć nawet z pomocą Rosji. Już prędzej wypada rozpatrywać etapowy marsz, a nie ideę wielkiej transakcji Trumpa. Rosja także będzie się starała przedłużyć „Nowy START" o pięć lat.

Matthew Rojansky: Nowa umowa START najpewniej będzie przedłużona nie później niż na początku lutego, gdy jej ważność wygasa. Mogą zacząć się rozmowy o innych możliwych porozumieniach – takich jak nowa umowa o rakietach średniego i bliskiego zasięgu – oraz omówienie szerszych problemów strategicznej stabilności: Kosmos, broń cybernetyczna, broń hipersoniczna.

Syria

Andriej Suszczencow: Za Trumpa USA nie były tam kluczową siłą na lądzie. Sytuacja jest tam bardzo złożona. Z udziałem Turcji, która prowadzi autonomiczną politykę i dostarcza nieprzyjemności nie tylko Rosji, lecz także Iranowi, i USA. Turcja pokłóciła się ze wszystkimi, ale ma tam inicjatywę.

Thomas Pickering: Perspektywa współdziałania w Syrii jest nieokreślona, jeśli tylko Rosja nie przejawi jawnego zainteresowania wspólną pracą, poczynając od generalnego wstrzymania ognia i kończąc na powołaniu rządu przejściowego. Ale nieufność jest tam całkiem spora.

Matthew Rojansky: Nie oczekuję na tym odcinku dużych zmian. Chociaż administracja Bidena może być mniej zmotywowana do wyprowadzenia niezbyt już dużych pozostałych w Syrii amerykańskich wojsk. Ale nie należy też oczekiwać znaczącego zwiększenia wojskowej obecności Stanów Zjednoczonych w Syrii. ■

eprasa.pl 78edc793a0

Ryszard Czarnecki

Wigilia – czas narodzin Chrystusa. I nie tylko...

„Przybieżeli do Betlejem pasterze, grając skocznie Dzieciąteczku na lirze" – 24 grudnia w tym roku, tak jak w ubiegłym, jak 10, 50 i 150 lat temu, będziemy śpiewali kolędy, obchodząc Boże Narodzenie. Było to najważniejsze wydarzenie w dziejach ludzkości. Ale przecież nie było to 24 grudnia wydarzenie jedyne. Właśnie w Boże Narodzenie 1287 roku zaczął się kolejny, trzeci najazd Mongołów na Polskę. Ich armia dowodzona przez Nogaja rozpoczęła oblężenie Krakowa. Skądinąd wyznawcy Mahometa wybrali sobie szczególny dzień na oblężenie chrześcijańskiego miasta...

Warszawa jest stolicą Polski od roku 1596 roku. To wiedzą niemal wszyscy. Ale mało kto zdaje sobie sprawę z faktu, że formalnie Mazowsze z Warszawą zostało włączone do Królestwa Polskiego decyzją Sejmu w Piotrkowie zaledwie 67 lat wcześniej, czyli w 1529 roku.

Boże Narodzenie było radosnym dnem nie tylko dla chrześcijan, lecz także, partykularnie, dla wrogów Rosji będącej zaborcą Polski. Właśnie w Wigilię 1806 roku Francuzi dali łupnia Rosjanom w bitwie pod Czarnowem koło Pułtuska. Równo rok później w nieodległej Warszawie powołano Radę Stanu Księstwa Warszawskiego, która była rządem – zalążkiem polskiej państwowości.

W tejże Warszawie 91 lat później odsłonięto – w 100. rocznicę urodzin wieszcza – pomnik Adama Mickiewicza. Stało się to asumptem do zamanifestowania wolnościowych dążeń Polaków pod zaborem rosyjskim.

Po agresji Niemiec na Polskę, co stało się – przypomnijmy wszystkim chorym na historyczną amnezję – początkiem II wojny światowej, właśnie w Boże Narodzenie Niemcy spalili synagogę w Siedlcach. Warto o tym fakcie powiedzieć tym wszystkim, którzy dzisiaj, fałszując historię, przypisują ludobójstwo Żydów nie germańskiemu „Narodowi Panów", lecz tym, którzy – obok Żydów – najbardziej z ręki Niemców ucierpieli, czyli Polakom.

Mieliśmy w tamtym czasie swoją martyrologię nie tylko z ręki Niemców. Charakterystyczne, że w czasie Bożego Narodzenia Niemcy unikali publicznych egzekucji. Tymczasem Ukraińcy właśnie w Boże Narodzenie 1942 roku zamordowali 60 naszych rodaków – mieszkańców wołyńskiej wsi Połonka. Równo rok później w Wigilię Ukraińcy w innej części Kresów Wschodnich RP, bo na Podolu w Ihrowicy, dokonali ludobójstwa 89 Polaków.

Tego też dnia w 1955 roku Uniwersytet Poznański otrzymał imię Adama Mickiewicza, który przyszedł na świat równo 157 lat wcześniej na Nowogródczyznie.

Skądinąd nie on jeden spośród zasłużonych dla Ojczyzny Polaków urodził się w ten sam dzień co Jezus Chrystus. 21 lat przed narodzinami wieszcza przyszedł na świat znany późniejszy aktor teatralny Ludwik Adam Dmuszewski. A 14 lat przed Mickiewiczem urodził się wybitny generał Tomasz Łubieński. Wigilia 1796 roku była dniem narodzin polskiego arystokraty, polityka, wydawcy źródeł historycznych i mecenasa sztuki – Tytusa Działyńskiego.

W tym samym dniu co Mickiewicz przyszedł na świat architekt Adam Idźkowski. Już w XIX wieku w Boże Narodzenie urodzili się Adam Epstein, bankier i filantrop (1800), Adam Raciborski, polski lekarz, autor podręczników do medycyny, uczestnik powstania listopadowego (1809). Adam Stanisław Krasiński, biskup wileński i pisarz (1810), Adam Jasiński, biskup przemyski (1812), Ignacy Krzyżanowski, pianista i kompozytor (1826), Ludwik Wierzbicki, budowniczy kolei (1834), Adam Wiślicki, dziennikarz i publicysta (1836), Adam Bełcikowski, historyk literatury, poeta i dramaturg (1839), Jan Massalski, porucznik, powstaniec styczniowy (1844), August Potocki, działacz rolniczy i społeczny (1847), Adam Kopyciński, ksiądz katolicki, teolog i publicysta (1849), Seweryn Udziela, etnograf (1857), Roman Statkowski, kompozytor (1859), Józef Klebba, polski kowal, a jednocześnie kaszubski poeta i pisarz (1860), Adam Didur, śpiewak operowy (1874), wreszcie Józef Trzemeski, generał, polarnik (!), lekarz (1878) i Stefan Jaracz, wielki aktor i dyrektor teatru (1883) oraz Walerian Czuma (1890), generał, obrońca Warszawy we wrześniu 1939.

Cóż, ktoś, kto urodził się 25 stycznia jak ja, może tylko zazdrościć tym, którzy przyszli na świat w dniu narodzin naszego Pana… ■

eprasa.pl 78edc793a0

Marcin Wolski

NASZ ORĘŻ

Czasami zdarza się, że zazdroszczę muzułmanom. Czego? Ich bezkompromisowego stanowiska w sprawie swojej wiary, świętości i zasad.

Nie mówię, żeby od razu podrzynać gardła durniom, którzy profanują kościoły i atakują nabożeństwa, ale nie mogę zgodzić się z pełną bezkarnością wobec atakującej nas barbarii. Ostatnio przekroczono kolejny Rubikon w kwestii szargania świętości. Ugodzono w postać Jana Pawła II. Jakiś czas łudziliśmy się, że ogłupione bydło przynajmniej Jego nie odważy się zaatakować. Szacunek do Karola Wojtyły nie wynika przecież jedynie z przesłanek religijnych. Niewierzący patrioci szanowali Go za niebywałe zasługo dla wyzwolenia Polski i Europy z jarzma komunizmu, intelektualiści doceniali Go w wymiarze intelektualnym – mój nieżyjący ojczym, lewicowiec i kolega akademicki Lolka, jeszcze w latach 60. twierdził, że to największy umysł, jaki wydała Polska, a zwykli ludzi doceniali Jego zmaganie z chorobami, ze starością, ze śmiercią. Jego „papiestwo bezpośredniego kontaktu" skierowane było na cały świat, Jego otwarcie wobec młodzieży stało się zobowiązaniem dla następców.

W świecie odartym z charyzmy i powagi był dla nas prawdziwą latarnią morską.

Czy popełniał błędy? Zapewne. Był jedynie człowiekiem. Ale na ile wynikały one z niedoinformowania, a na ile z niemożności wygrywania wielu wojen naraz?

Zwycięstwo z komunizmem okazało się łatwiejsze niż przeciwstawienie się fali laicyzacji, ateistycznej propagandy, cywilizacji śmierci. A także grzechom wewnątrz samego Kościoła. Dowodem skali problemu jest, że jego następca nie podołał i po prostu abdykował (Opatrzność z jakiegoś powodu utrzymuje go przy życiu, tak jakby dawała znak niezgody na obecny dryf Watykanu). A ten cofa się do narożnika jak pięściarz zasypany lawiną ciosów, powtarzając „przepraszam, przepraszam, przepraszam".

Czy powinien przepraszać? A jeśli tak, to za co? Pedofilia okazała się użyteczną maczugą. Powiedziałbym jednak, że maczugą zastępczą. Hasło wywołuje od razu obraz zapłakanych dziewczynek w wieku przedszkolnym – te jednak bywają najczęściej ofiarami w kręgu własnej rodziny (najnowsze badania mówią o kilkunastoprocentowym udziale kontaktów kazirodczych we francuskich rodzinach), a to, co zarzuca się pewnej liczbie księży, dotyczy głównie efebofilii, która jest *de facto* wczesnym, inicjacyjnym stadium pederastii. Albowiem prawdziwą zarazą, z którą musi zmierzyć się Kościół, jest mniej lub bardziej jawny homoseksualizm w jego szeregach („lawendowa mafia"). I szkoda, że w tej sprawie obecny papież nie jest bardzo rygorystyczny. Powód jest prosty. Pedofilia została okrzyknięta złem absolutnym (choć narasta na Zachodzie ruch na rzecz jej legalizacji), a homoseksualizm jest we współczesnym świecie czymś jak najbardziej chwalebnym. I tu domagałbym się jakichś działań Kościoła, samo przypominanie, zresztą łagodne, stanowiska Pisma Świętego nie wystarczy. Może trzeba nawet zniesienia celibatu, który nie opiera się na żadnym dogmacie, a jedynie tradycji.

Na pewno Kościół musi stać się Kościołem zdeterminowanej obrony. Nawet za cenę utraty wiernych i dochodów. Prorocy wieszczyli, że czeka nas nowa epoka męczenników i katakumb. Zapewne najwyższa pora się na nią przygotować, z takimi symbolami w sercu jak święty Jan Paweł II. ■

„Papiestwo bezpośredniego kontaktu" Jana Pawła II skierowane było na cały świat, Jego otwarcie wobec młodzieży stało się zobowiązaniem dla następców. W świecie odartym z charyzmy i powagi był dla nas prawdziwą latarnią morską.

eprasa.pl 78edc793a0

Tomasz Sakiewicz

Warto walczyć

W ciągu III kwartału tego roku bezrobocie w ogóle nie wzrosło rok do roku. Nawet jeżeli ten wynik się pogorszy w ostatnim kwartale, to i tak nie spodziewam się tragedii. To zasługa zarówno uzdrawiania polskich finansów przez ostatnie pięć lat, jak i właściwych decyzji tuż po wybuchu pandemii.

Znamy opowieść o siedmiu latach tłustych i siedmiu latach chudych. Sen faraona o tłustych i chudych krowach wyjaśnił mu Józef Izraelita, który dzięki temu uratował Egipt przed głodem. Polski rząd zachował się właśnie jak władca Egiptu. Zgromadzono potężną poduszkę finansową, która służy dzisiaj ratowaniu gospodarki. Skąd wzięła się ta poduszka? Z zatkania dziur w systemie podatkowym, czyli ograniczenia złodziejstwa. Oczywiście mimo prób nie udało się zlikwidować zupełnie deficytu, a tym bardziej spłacić długów. Co do pierwszej kwestii, to rząd był dosłownie o włos, bo w tym roku pierwszy raz budżet miał być zrównoważony. Długów gromadzonych jeszcze od czasów Edwarda Gierka i zamienianych na kolejne papiery skarbowe spłacić się tak łatwo nie dało. Ale dzisiaj poduszka finansowa polega na czymś innym – na zdolności do obsłużenia kredytu. To udało nam się osiągnąć, dzięki rozwojowi gospodarki i załataniu dziur. I ta poduszka posłużyła przede wszystkim ratowaniu miejsc pracy. Patrząc na dziewięć miesięcy tego roku można śmiało powiedzieć, że się udało. Wyniki gospodarcze są lepsze, niż sądziliśmy, spadek PKB w Polsce będzie wynosił nie więcej niż 2–3 proc., finanse mimo ogromnych wydatków wytrzymują, a firmy mimo problemów, zachowały swój potencjał, przede wszystkim nie zwalniają masowo ludzi. Prawdopodobnie sposób dotacji państwowych sprzyja legalnemu zatrudnianiu, co zawęża szarą strefę i daje też wpływy z podatków i ZUS. To trochę jakby zwolnić z części danin państwowych tych, którzy unikają oszukiwania fiskusa. Może to jakaś wskazówka na przyszłość?

Nie chcę przesądzać, czy polskie rozwiązania są najlepsze z możliwych czy też można było wymyślić coś lepszego. Mają jednak kilka bardzo ważnych dla biznesu cech: są szybkie, proste i przewidywalne. To powoduje, że wielu przedsiębiorców nie traci nadziei i walczy o przyszłość. Nastawianie jest kluczem w sukcesie każdej inicjatywy, ale w biznesie to szczególnie ważne. Nastawienie rządu na utrzymanie miejsc pracy jest po prostu „zaraźliwe" i pracodawcy, którzy nawet nie dostaną wielkiej pomocy, widzą, co jest właściwe i premiowane.

PATRZĄC NA DZIEWIĘĆ MIESIĘCY TEGO ROKU WIDZIMY, ŻE WYNIKI GOSPODARCZE SĄ LEPSZE, NIŻ SĄDZILIŚMY, SPADEK PKB W POLSCE BĘDZIE WYNOSIŁ NIE WIĘCEJ NIŻ 2–3 PROC., FINANSE MIMO OGROMNYCH WYDATKÓW WYTRZYMUJĄ, A FIRMY MIMO PROBLEMÓW, ZACHOWAŁY SWÓJ POTENCJAŁ, PRZEDE WSZYSTKIM NIE ZWALNIAJĄ MASOWO LUDZI.

Jeszcze ciekawsze jest, skąd rząd wziął pieniądze na nową tarczę, skoro przy poprzednich wysupłał ostatni grosz. Odpowiedź jest tylko jedna: efekt podjętych działań stworzył wartość dodaną. Mniej firm ostatecznie potrzebowało pomocy, a te, które ją otrzymały, mają lepsze wyniki, niż się spodziewano.

Czy to znaczy, że nie mamy kryzysu? Niestety mamy i wcale niemały. Nie ma jednak katastrofy. Wystarczy zobaczyć, co dzieje się w pozostałych państwach UE, żeby wiedzieć, jak mogło być gorzej. ■

eprasa.pl 78edc793a0

CYFROWY POLSAT

NOWA OFERTA TELEWIZYJNA

ULUBIONE KANAŁY W JEDNYM PAKIECIE ZA **30 ZŁ/MIES.**

Na start pełna oferta TV przez

3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

TV SATELITARNA TV KABLOWA IPTV

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach z pakietem M z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe, w którym cena wynosi 30 zł/mies. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna do 27.12.2020 z możliwością przedłużenia.

„Joker". © Warner Bros. 2019. „Faworyta". © 2018 Twentieth Century Fox Film Corporation, TSG Entertainment Finance LLC, Channel Four Television Corporation and Jayhawker Holdings, LLC. „Paragraf 22". © Paramount. Wszystkie prawa zastrzeżone. LaLiga Santander, Bundesliga, Serie A TIM w ELEVEN SPORTS. Zdjęcia: DFL/Bundesliga via Getty Images, Getty Images.